

Madera Marta Kroplówka z marzeniami

© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2008 Text

© copyright by Marta Madera, 2008

Ilustracja na okładkę oraz projekt strony tytułowej Joanna Rusinek

iiiiiii

f

\

Wakacje

Spokój jeziora

Lilka leżała na brzuchu na drewnianym pomoście i wdy-hała cudowny zapach wodorostów, wody i wakacji. A także Jłku świętej pamięci rybek i innych jeziornych stworzeń.

Zupełnie jej to nie przeszkadzało.

Była sama.

To ostatnie, szczerze mówiąc, zdarzało się jej rzadko, cieszyła się bardzo tymi chwilami, chociaż równocześnie idrobinę już tęskniła za hałaśliwym, kolorowym mieszaniem, gdzie na czterdziestu paru metrach kwadratowych toczyli się i przemieszczali: rodzice, dwie przesadnie ruhliwe dziewczynki, dwa nieprzepadające za sobą nawzajem :ociaki, niewiele większy od kociaków pies rasy chihuahua, wany Ciufcią, ona sama i żółw.

Może akurat żółw tłoczył się najmniej, zazwyczaj siedział r swoim ulubionym miejscu, czyli za filtrem w akwarium, 'ikr był zielony, żółw również.

Spokojnie obserwował codzienną bieżącą bursztyno-/ymi oczami.

Czasem z politowaniem kiwał głową.

Lilka odnosiła niekiedy wrażenie, że z żółwiem rozumie ją najlepiej.

Podobnie podchodzili do życia.

Żółw miał swój filtr, ona - błękitny fotel przy oknie, za wiklinową szafką, na której stały jej książki i drobiazgi. Jeżeli, oczywiście, nie „pożyczyła” ich sobie akurat któraś z siostrzyczek.

Oboje uwielbiali obserwować świat.

Lilce, tak w ogóle, przeszkadzało bardzo mało rzeczy.

Chociaż ostatnio zrobiło się ich jakby więcej. Odrobinę.

Pewnie dlatego, że była w „trudnym” wieku. Tak twierdziły wszystkie znajome ciocie, przychodzące czasem do mamy na pogaduchy. Te niepalące zasiadały przy kuchennym stole, rozglądały się nerwowo za jakimiś ciasteczkami (mama w końcu nauczyła się mieć pod ręką rozmaite przegryzki), zakładały nogę na nogę i wzdychały:

- Wszystko dobrze, tylko czemu te nasze dzieci muszą być w takim trudnym wieku?

I zaczynała się opowieść o Ance czy Grażynie, skądinąd doskonale Lilce znanych.

Wcale nie podsłuchiwała specjalnie, po prostu w bloku z wielkiej płyty ściany nie stanowią dla dźwięków większej przeszkody. Czasem któraś z ciotek podnosiła się od stołu, jak gdyby chciała przymknąć drzwi od kuchni. Nic z tego.

W domu Lilki nie było drzwi od kuchni.

Mama zdjęła je dawno temu, bo tylko przeszkadzały. Tato wyniósł je do garażu. Leżały tam pewnie do dziś w jakimś zapomnianym kącie.

Gorzej było z ciotkami palącymi, te mama od razu wystawiała na balkon. Wychodziła tam razem z nimi, chociaż sama przestała palić dawno temu. Wykazywała jednak zrozumienie dla cudzego nieszczęścia zwanego uzależnieniem.

Tato ten rodzaj nieszczęścia nazywał raczej głupotą.

Ciotek balkonowych nie dało się podsłuchać, a szkoda.

Lilka lubiła wiedzieć.

W domu nikt nie miał przed sobą żadnych większych tajemnic, po prostu niektóre sprawy były wspólne trochę bardziej, a niektóre trochę mniej. Do wspólnych należały liederownie dzieci. I zwierzęta. I porządek w mieszkaniu, a raczej próby opanowania wiecznego bałaganu. Każdy opiekował się każdym, jak popadło, bez wyznaczonego harmonogramu, za to wszystko musiało być zrobione, gdyż w przeciwnym wypadku tato zabierał głos i prezentował ledną ze swoich słynnych min.

Na widok takiej miny mniejszy z kotów schował się kiedyś pod piekarnik. Do spraw nieco mniej wspólnych zaliczały się osobiste zajęcia każdego z domowników i kwestie odzieżowe. Pod tym względem w domu panował cudowny luz, nawet czteroletnia Jagódka samodzielnie wybierała sobie ciuszki i przepastnej komody. Swoją drogą, smarkula miała całkiem niezłe wyczucie smaku i koloru, zapewne po mamie. Mama służyła jako głos doradczy, ale nigdy nie narzucała swojego «dania, wychodząc z założenia, że w wychowaniu dzieci istnieją sprawy znacznie bardziej zasadnicze niż kolor i fason wdziewanej spódnicy.

Do spraw osobnych zaliczały się wieczne kłopoty natury finansowej, w które rodzice usilnie starali się nie wtajemniczać potomstwa.

Nic z tego.

Lilka i tak wiedziała swoje.

Nie przeszkadzało jej zbytnio, że większość ciuchów otrzymała w spadku po starszych kuzynkach (kuzynki zamieszkiwały różne kraje świata, od Austrii po Australię, i przysyłane raz na jakiś czas ubrania były ładne i modne

-3> "

— niejedna koleżanka z klasy rzucała na jej spódniczkę czy sweterek okiem pełnym uznania).

Nie pragnęła tych wszystkich kolorowych zabawek, filmów czy kolejnych gier komputerowych. Miała zwierzęta. Swoje własne: żółw, młodszy kot oraz Ciufcia były od zawsze pod jej osobistą kuratelą. Żywe, a nie na baterie, jak u większości koleżanek z klasy.

Z komputera korzystała, kiedy się dało: w szkolnej świetlicy, w domu - wieczorami, kiedy smarkule siedziały już w wannie, a mama jeszcze nie dopadła swojego zdezelowanego, oklejonego taśmą laptopa (właśnie zgubiła przedostatnią śrubkę). Czasem u sąsiadki.

Lilka kochała komputery - dawały dostęp do wszelakiej wiedzy. Ponad rok temu odkryła dla siebie strony National Geographic i podobne. Godzinami mogła czytać, wyszukiwać i poznawać świat. Nie stroniła również od gier, chociaż na te ostatnie brakowało jej czasu, a niekiedy - nerwów.

W efekcie - w rozmaitych strzelankach i grach zręcznościowych na głowę bili ją chłopcy z klasy i jej własna średnia siostrzyczka. Ale w strategii i grach logicznych nie miała sobie równych.

Porównując się z rówieśnikami, nie czuła się gorsza.

Starannie przeanalizowała samą siebie pod tym względem po łzawych

zwierzeniach jednej z koleżanek. Baśka prawie ryczała. W jej domu ustawicznie brakuje pieniędzy, nie na życie, ale na takie rzeczy jak komórka dla niej, palmtop, spodnie firmowe zamiast podroby rodem ze stadionu...

Lilka w duchu wzruszyła ramionami. W największym lumpeksie na Starówce można było wygrzebać spodnie dowolnej firmy, jeśli miało się tylko chęć oraz cierpliwość, jeżeli chodzi o komórkę - na upartego wystarczyło wypytać

licznych wujków, prawie każdy trzymał jakiś model sprzed trzech lat w szufladzie. Z kieszonkowego uezierać na starter za dwadzieścia złotych - i gotowe. Sama tak zrobiła.

Ale Baśki nie interesowała komórka po wujku. Po co jej stara? Chciała mieć taką, jak Alicja, z dostępem do Internetu, aparatem fotograficznym, dyktafonem i odtwarzaczem MP3. Z inną nawet nie ma się co pokazywać. Lilka ponownie wzruszyła ramionami. Jej zdaniem telefon to nie kolega ze szkolnej dyskoteki. Służy do odbierania wiadomości, a nie pokazywania się.

Baśka po pewnym czasie również wzruszyła ramionami i odeszła z poczuciem, że nikt jej nie rozumie.

Pod tym względem były zupełnie różne, choć dzieciństwo spędziły na tym samym trzepaku.

Lilka poważnie zastanowiła się nad sobą.

Jeśli miałyby czegoś zazdrościć tym, których rodzice zarabiali ciężkie pieniądze (znała takich kilkoro), to podróży.

Ciągnęło ją do całego ogromnego świata. Na pamięć znała - jedynie teoretycznie - amazońskie puszcze, zabytki południa Europy, ogromne

miasta Ameryki Południowej, kanadyjskie lasy. Wiedziała wszystko o faunie i florze dowolnego zakątka kuli ziemskiej. I co z tego?

Za granicą znalazła się tylko raz, jak rodzice byli młodzi, zwariowani i mieli trochę więcej kasy do wydania. Namiętnie jeździli na nartach, i to nie w Białce albo Szczyrku, ale wszędzie w Europie. Wtedy zabrali ją do Francji, w Alpy. Miała osiem miesięcy.

Nic z tego, cholera, nie zapamiętała.

Czasem próbowała zmusić oporny mózg do uwolnienia obrazów i dźwięków, które, jak wiedziała, gdzieś tam sobie trwały, zakopane w głębi szarych komórek.

Podobno ludzki mózg zapamiętuje wszystko od pierwszej chwili, tylko do większości wspomnień sprzed drugiego roku życia nie mamy dostępu.

Może dlatego, że mózg jest nastawiony na przechowywanie w świadomości jedynie informacji niezbędnych do dalszego rozwoju - tak wiele ich jest w ciągu pierwszych miesięcy, że dodatkowe rzeczy ulegają zatarciu. A może dlatego, że te pierwsze miesiące totalnej zależności od innych, kiedy człowiek nie może nawet przemieścić się w inne, lepsze miejsce ani porozumieć z otoczeniem, są tak przykre, że lepiej je wyrzucić z pamięci?

Uważa się, że nowo narodzone dzieci przez kilka tygodni uśmiechają się wyłącznie wtedy, kiedy śpią. Lilka miała okazję obserwować to zjawisko u swojej najmłodszej siostrzyczki. Wszystko się zgadzało. Mama powiedziała, że dziecko uczy się uśmiechać w miarę poznawania twarzy najbliższych i ich reakcji. A to senne zjawisko to nic innego jak odruch, w dodatku sprzężony z mało romantycznym przemieszczaniem się gazów w jelitach.

Lilka wyrobiła sobie na ten temat własne odmienne zdanie. Mianowicie sądziła, że uśmiech od zawsze jest po prostu uśmiechem - oznaką szczęścia, zadowolenia, radości. Te kilka tygodni po urodzeniu musi być straszne. Zamiast stałego dowozu pokarmu - głód, nowe dźwięki, za zimno albo za gorąco. W tyłek mokro. Świecą po oczach, przyzwyczajonych do łagodnej ciemności. Z czego tu się cieszyć?

Tylko w snach wraca spokój i utracone poczucie bezpieczeństwa. Można się uśmiechnąć.

Z czasem człowiek się przyzwyczaja i zaczyna radować tym, co ma. A jest inne wyjście?

•&:•

\* ty

Lilka zamykała oczy i szukała wspomnień. Jak pachnie <rancja? Co widziała, przytroczona do mamy w nosidełku? Jak wygląda świat z perspektywy bobasa, podawanego z rę-d do ręki?

Podobno była roześmianym, zadowolonym z życia dziec-dem. Co ją tak śmieszyło?

Czasem wydawało jej się, że już-już widzi jasny pokój, nieg za oknem, kolację na dziwnym, kwadratowym stole, 'amięta. Ale jak ośmiomiesięczny niemowlak mógł wyglą-lać przez okno?

Chyba to tylko wyobraźnia.

Dlaczego inni mogą jeździć sobie po świecie, chociaż wiat ich nic, ale to nic nie obchodzi? Wracają z tych swoich wypraw opaleni, obładowani pamiątkami, pokazują zdjęcia noreskich plaż i luksusowych hotelowych basenów...

A jak człowiek chce się od nich dowiedzieć, jak tam jest naprawdę, co

czują i myślą tubylcy, jak toczy się to fascy-lujące Inne Życie - nie mają do powiedzenia prawie nic. niektórzy potrafią opisać smak potraw. Ciepło morskiej wody. Park rozrywki.

I tyle. Taki sam lunapark, jak wszędzie.

Tymczasem Lilka chciałaby poznać wszystko od pod-zewki. Poznać tych Innych. Wiedzieć, co myślą, jak sobie adzą, dlaczego się śmieją. Co Ich przeraża.

Dobrze, że wysłali ją przynajmniej na tę Suwalszczyznę.

Zawsze to coś innego niż Mielec i Mielec. Fajne miasto, de czy dlatego trzeba w nim spędzić całe życie?

Świat jest przecież taki wielki.

Czy istnieje gdzieś człowiek, który na własne oczy obej-zał cały świat?

Chyba nie. Te kilkadziesiąt lat może nie wy-tarczyć.

o i

9 • o W . . ▼•

>^ \*

V

Właśnie. Życie jest krótkie, a Lilka ciągle tkwi w jednej okolicy tylko dlatego, że wiecznie brakuje tych głupich pieniędzy.

Leżąc wciąż na pomoście i przypatrując się małym, ruchliwym rybkom, powzięła rzetelne postanowienie: będzie osobą bogatą. Opływającą w fundusze.

Jeszcze nie wie dokładnie, jak to robi. Ale musi się udać.

- Ona śpi — stwierdziła przenikliwym szeptem Paulinka, pochylając się nad wyciągniętą na tapczanie Lila tak, że jasne kędziorki połaskotały Lilkę w nos. Mała chwilę nasłuchiwała. - Całkiem śpi.



Jej braciszek postanowił zbadać sprawę trochę głębiej. Małe paluszki grzebały Lilce w oku, usiłując rozchylić zaciśnięte powieki.

- Ma oko - wydał werdykt po namyśle. - Ale nie patrzy. Śpi. Albo nie żyje.

Paulinka przyłożyła ucho do klatki piersiowej.

- Puka - ucieszyła się. - Chyba żyje.

Mateuszek wypróbował, czy stopa Lilki jeszcze działa, przejeżdżając po niej kanciastym patyczkiem. To przesądziło sprawę.

Lilka zerwała się z pościeli.

- Żyje! — zawołały bliźnięta i rozpoczęły codzienny rytuał skakania po łóżku, niezależny od tego, czy pod kołdrą znajdował się właśnie jakiś kluczowy fragment jej osoby, czy też nie. Lilka wydała z siebie słaby jęk.

- Dzieci, nie budźcie cioci! - Ich matka stanęła w progu ze stosem świeżo wypranej bielizny pościelowej.

- Ona nie śpi! - stwierdziły, co niewątpliwie było prawdą. - Dzień! Jest już dzień!

- Nie śpię - przyznała Lilka, nieco przyduszona dwoma potworkami w pasiastych piżamkach. - Żyję, nie śpię i zaraz wam wypowiem największą bitwę poduszkową w historii województwa podlaskiego!

Dzieciaki pisnęły z zachwytem, ciotka pokręciła głową.

- Nie chcę widzieć poduszek na podłodze - roześmiała się i znikła w korytarzu.

Poduszki fruwały raczej po tapczanie, ale...

- Zrobiłem śnieg! - zapiszczał zachwycony Mateusz, sięgając do wnętrza rozprutej kołdry i wyrzucając w powietrze kolejną garść pierza. Lilka zreflektowała się po minucie, plując piórami.

- Przestań! O rany, przestań!

Głowa cioci, czujnej istoty, pojawiła się w drzwiach. -Co się... O!

- On zrobił śnieg - wyjaśniła Paulinka.

Kolejny piękny wakacyjny dzień zaczął się tym razem od wielkiego sprzątnia.

Opowieść o świecy

Ciocia Kasia miała rude włosy, spory brzusek, który bezskutecznie starała się ukryć pod workowatymi tunikami i swetrami, oraz radosne podejście do życia. Spodziewała się właśnie trzeciego potomka.

Dwoje innych, umorusanych trzylatków ładowało się właśnie Lilce na kolana.

- Kocham cię najbardziej na świecie - wyznała Paulinka, ocierając z ufnością nos o jej ramię.

- Ja też, ja też! - krzyczał Mateuszek, ciągnąc ją za sweterek z drugiej strony. - Ja cię kocham naj-o-krop-niej! Ty jesteś naj-pięk-niej-sza! Jak Królowa Śniegu.

- Królowa Śniegu była zła - poprawiła go siostra. -Jesteś piękna jak Kubuś Puchatek!

- Albo Fiona! - dodał mały ze szczerego serca. -I Shrek! - A co będzie żałował ulubionej cioci.

Lilka zachichotała, a potem obejrzała się przez ramię. Ciekawe, co o takich gorących wyznaniach myśli matka dzieciom?

Ciocia, oparta o piec (prawdziwy, z przypieckiem, na którym można było nawet spać), obdarzyła całą trójkę promiennym uśmiechem.

- To bardzo ładnie, dzieci, że kochacie ciocię - powiedziała ciepło. - A teraz dajcie jej spokojnie zjeść, zupa na stole.

Tak naprawdę Lilka dla dzieciaków była kuzynką, i to trzeciego rzędu.

Mieli wspólną prababcie. Ale ze względu na różnicę wieku ciocia zdecydowała, że właściwym określeniem dla dorastającej już Liluni będzie „ciocia”, niezależnie od następstwa pokoleń.

Z początku Lilka czuła się dość nieswojo z tym określeniem. Później, o wiele później, po wielu niespodziankach, jakie szykował dla niej los w te wakacje - zrozumiała.

W świecie cioci Kasi, jej dzieci i męża, w którym niepodzielnie panował naturalny rytm wyznaczany przez pory karmienia koni, kur i bajecznie kolorowych kaczek pewnej rzadkiej odmiany oraz inne obowiązki gospodarskiego życia, do podstawowych zasad rodziny należały świadomość swojego miejsca i szacunek dla starszych.

Starszych choćby o niecałe dziesięć lat.

Lilka też pokochała ciocię, jej lśniący czystością dom i su-owe zasady. Ciocia, choć wciąż młoda - cztery lata młodsza )d jej własnej mamy - budziła respekt. Była jednocześnie >ardzo miłą i ciepłą osobą.

Razem z wujkiem prowadzili nietypowy tryb życia — jrzez całą zimę mieszkali w Suwałkach, w „miastowym” nieszkanu - ale wczesną wiosną przenosili się do swego gospodarstwa nad brzegiem jeziora, gdzie żyli wśród koni, cur i kaczek. Mieli również ogromną pieczarkarnię, gdzie ia drewnianych półkach, wyłożonych kompostem, dojrzewały małe białe grzybki, nieodparcie przywodzące na myśl riatifnatów z Doliny Muminków. Lilka błądziła wśród pó-ek, z Paulinką w ramionach i Mateuszkiem uczepionym jej ndyjskiej, wakacyjnej spódniczki, i opowiadała im o Hatif-latach, Muminkach i Małej Mi.

Słuchali uważnie z oczami jak spodki. Musiała tylko pil-lować kolejności - raz Paula na rączkach, a Mati u boku, to :nów na odwrót. Jeśli zbyt długo

zajmowała się tylko jed-iyt, niezależnie od tematu opowieści lub zabawy, wybujała piekielna awantura. Tak to już jest z bliźniakami.

Nauczyła się rozpoznawać wyraz znudzenia czy też pokucia krzywdy na małych buziach i zapobiegać aferom, za-tim na dobre się rozkręciły.

Ze wstydem pomyślała, że dla tej dwójki rozbrykańców na więcej cierpliwości niż dla swych własnych, młodszych ióstr.

Może klimat tak na nią wpływał.

Nagle pomyślała o tym, jakie wrażenia z wakacji przed-;tawi swoim koleżankom z klasy: „Codziennie rano wychodziłam z ciocią na drugie podwórko sypać ziarna dla zgłodniałego drobiu. Potem przychodził czas na fascynującą wyprawę do pieczarkarni z dwójką trzylatków, z którymi dyskutowałam o Muminkach i życiu.

Popołudnia spędzałam samotnie nad jeziorem, kąpiąc się albo wylegując na pomoście. Wieczorami uczyłam się od cioci wyszywania poduszek haftem krzyżykowym i również rozmawiałam o życiu. A czasem nawet - o miłości".

Parsknęła śmiechem. Też mi „fascynująca" opowieść.

A jednak, mimo wszystko, były to bardzo udane wakacje.

— Złapałam twoje spojrzenie - powiedziała ciocia, wyjmując z koszyka robótkę dla siebie i Lilki. Bliźniaki już spały, utulone do snu kolejną Lilkową bajeczką. Na ich potrzeby musiała przypomnieć sobie ulubione opowieści mamy z wczesnego dzieciństwa. Nie było to trudne, ponieważ mama powtarzała je do dziś, usypiając najmłodszą Kluseczkę. Co nieco dobiegało do żółtego pokoju, który Lilka dzieliła z Misia.

„Znam je doskonale - pomyślała tego wieczora Lilka, posyłając uśmiech bliźniakom, których oczy świeciły znad kołderki jak cztery brązowe

paciorki. - I nawet umiem powtórzyć tak, żeby się podobały - stwierdziła z zaskoczeniem. - Dlaczego więc to mama zawsze musi usypiać Kluseczkę, choć często pod koniec dnia pada ze zmęczenia? Dlaczego nie chciałam opowiadać ich Misce, gdy o to prosiła?"

Ciocia spojrzała na Lilkę znacząco, zatem Lilka skupiła się na słowach cioci.

- Które spojrzenie ciocia złapała? - spytała ze śmiechem. - Trochę ich dzisiaj było.

■&':■«

- Patrzyłaś, czy nie jestem zazdrosna. Bliźniaki cię uwiel-iają.

- A ciocia nie ma nic przeciwko temu - bardziej stwier-ziła, niż spytała Lilka.

- A ty bywasz zazdrosna? - zapytała w odwecie ciocia. Lównież zabrzmiało to jak stwierdzenie.

Lilka zastanowiła się uczciwie, ale niezbyt długo.

- Czasem jestem. Potwornie. Zwłaszcza że mama jest niesprawiedliwa - pożaliła się. — Zawsze poświęca więcej wagi młodszym córkom. I zawsze to ja muszę ustępować, ikby co.

- Ja jestem młodszą siostrą - powiedziała z uśmiechem iocia. - Zawsze mi się wydawało, że moja starsza siostrzycz-a ma więcej praw i przywilejów i że jej jest lepiej. Może cho-zić spać później. Może oglądać filmy z rodzicami, a mnie wyganiają spać po dobranocce - to chyba najbardziej odczuwałam i miałam za złe. Dostaje same nowe ciuchy, a ja muszę onaszać po niej. Ma swoje poważne, szkolne sprawy, a mnie awet nie wolno dotknąć jej zeszytów i muszę się trzymać dala od jej biurka. To, że powinna mi ustępować, też wie-ziałam. Traktowałam to jako jedyne z

należnych mi praw. aka zemsta, rozumiesz. Często to wykorzystywałam. Lilka roześmiała się nagle, bo przypomniało jej się, jak im nauczycielka pięcioletnią Miskę czytać i pisać, a Miśka odwdzięczyła się, odrabiając za nią zadania domowe. Wbrew ikazom.

W zeszytcie ćwiczeń do klasy trzeciej było wtedy miejsce a wykonanie plakatu promującego zachowania sprzyjają-e zdrowiu. Miśka, używając nielegalnie jej własnych, pa-elowych kredek, nasmarowała wielki kosz pełen jabłek, iłkiem udanych bananów oraz pomarańczy. Pod spodem » " : § > . ■

drukowanymi kulfonami wypisała zaś pamiętny slogan: „MYJ OWCE”. Nauczycielka poczuła się z lekka zszokowana zarówno poziomem prac plastycznych, jak i przekazem. Trzeba przyznać, że sama Lilka nie zauważyła wcześniej tego dzieła, ponieważ najzwyczajniej w świecie zapomniała o zadaniu. Doznała równocześnie ataku paniki i śmiechu. Nauczycielka była na poziomie, zrozumiała. Lilka odrobiła zadanie samodzielnie na osobnej kartce, korzystając zresztą z pomysłu siostrzyczki, tyle że umyte zostały owoce.

Pół roku później Miśka znów przystąpiła do odrabiania zadań, tym razem z czwartej klasy. Sama chodziła do zerówki. Polecenie w zeszytcie ćwiczeń brzmiało: „Wybierz i przepisz dwa logicznie powiązane ze sobą zdania z czytan-ki, tworzące odrębną całość”.

W Lilkowym zeszytcie Miśka napisała wyrazistym drukiem: JESIENIĄ ROLNICY KOPIĄ BURKI. Z BURKÓW ROBI SIĘ CUKIER.

Smarkula wciąż miała tendencję do „zjadania” niektórych samogłosek. „Logiczne - chociaż, muszę przyznać, trochę makabryczne. Biedne Burki. Lilianie proponuję pilnować zeszytów przed młodszym rodzeństwem, a

rodzicom gratuluję udanej pociechy" - napisała pod pracą znająca życie pani od polskiego.

Lilka opowiedziała cioci oba wydarzenia. Ciocia uśmieła się serdecznie, trzymając oburącz za okrągły brzuch.

— Teraz ciocia sama stanie przed podobnym problemem - zauważyła Lila, patrząc znacząco na jej splecione dłonie.

- Wiem - przyznała ze spokojem. - Już przed nim stoję, jak sama pewnie zdążyłaś zauważyć. I wiesz, co ci powiem?

- Że każde dziecko kocha się tak samo? - spytała Lilka i leciutkim znużeniem. Słyszała to zdanie od mamy wystarczająco często, żeby zdążyło jej się znudzić.

- Nie wiem, czy tak samo - spojrzała na nią zaskoczona ciocia. - Raczej nie

- dodała po namyśle. - Ale wiesz, najlepszą opowieść o dzieleniu się prawdziwą miłością usłyszałam, jak byłam jeszcze bardzo młoda. Co śmieszniejsze, każdy i nas ją słyszy przynajmniej raz w roku, tyle że mało kto wraca na to uwagę. Uczestniczyłaś kiedyś w mszy w Wielką Sobotę, z poświęceniem ognia i wody?

- No pewnie! - potwierdziła Lilka. Oprócz rorat, na które chodziła z dziadkiem ciemną nocą przez uspione jeszcze ulice Mielca, z kolorowym lampionem w drżącej z porannego chłodu dłoni, msza w Wielką Sobotę była jednym z najwspanialszych wydarzeń roku. Nauczyły się z babcią uciskać do kościoła zaraz za procesją i obserwować, jak płomienie świec obejmują w posiadanie zaciemnioną świątynię. \ później pojawiał się błysk światła, rozbrzmiewały organy potężny śpiew.

Dla Lilki najpiękniejsze doznania religijne zdecydowanie Tiały coś

wspólnego ze światłem, ciemnością i płomieniami świec.

Dla cioci chyba także.

- Jest taki fragment w pieśni pochwalnej Chrystusa -> wiatła o naturze ognia. „Dzieli się on, nie doznając uszczerb-cu”. Pamiętasz to?

Lilka powoli pokręciła głową. Szczerze mówiąc, zawsze rhloneła klimat, nie wsłuchując się w słowa.

- A widzisz. - Ciocia Kasia pokiwała głową i odwró-iwszy zręcznie swoją skomplikowaną robótkę, rozpoczęła kolejny ścieg. Spod jej palców wyrastały na białym płótnie

»•:♦••

kwiaty i motyle. — Powiedziała mi to moja babcia, twoja prababcia. Nie pamiętasz jej.

- Miałam dwa latka, jak umarła - wyszeptwała Lila. - Nie wiem o niej zbyt wiele.

- Była bardzo mądra. - Uśmiech cioci stał się ciepły i odległy, sięgała do wspomnień. - Mądra i dobra, i bardzo odważna. Spędziłam wtedy u nich święta, rozmawiała ze mną tak, jak ja z tobą teraz. - W jej głosie odezwały się tęsknota i duma i Lilka pomyślała nagle, po raz pierwszy w życiu, o długim łańcuchu pokoleń, o tych wszystkich kobietach i młodych dziewczętach, które w takie właśnie wieczory nad haftami dzieliły się wspomnieniami i rozmawiały o najważniejszych życiowych sprawach.

„Tak powinno być

- zrozumiała nieoczekiwanie. - Szkoda, że moja mama jest taka zabiegana. I nie umie haftować”.

- Babcia opowiadała mi o dawnych czasach, o tradycji i o tamtej pieśni, którą słyszałyśmy wcześniej w kościele



- kontynuowała ciocia, jakby odgadując myśli Lilki i gwałtowną tęsknotę za tymi, których nigdy nie poznała. - Mówiła mi, że to najpiękniejsza opowieść o miłości. To właśnie miłość jest tym ogniskiem, które się dzieli, nie doznając szkody. Odpalałaś kiedyś jedną świeczkę od drugiej?

Lila spojrzała na ciocię jak na szaloną. Jasne, że tak!

- Sama widzisz - roześmiała się ciocia, bezbłędnie odczytując jej minę. - Czy pierwszej świeczce, po odpaleniu, ubyło płomienia? Nie! I tak właśnie jest z miłością. Można rozpałcić następne ognisko, lampę, świeczkę, pochodnię - nie gasząc poprzednich. Można kochać męża, każde z kolejnych dzieci inaczej, ale tak samo mocno. Płomień się dzieli, nie doznając uszczerbku. Tak jak w starej pieśni.

- Prawdziwa z ciebie poetka, moja Kasiu - podsumował wujek, dla kontrastu przytupując w progu przybrudzonymi gumiakami. Pewnie zamykał pieczarkarnię i wszystkie zwierzęta. Przyniósł ze sobą zapach mokrego zmierzchu stodoły.

- Zdejmij, kochanie, to eleganckie obuwie - poprosiła ciocia. - Zamiatalam dzisiaj.

- Widzę. - Wujek zostawił gumiaki na progu i podszedł do stołu. - Piękny ten nasz domek. Jak zawsze, zresztą - dorzucił, ogarniając spojrzeniem jedną z trzech niewielkich izdebek, wypełnionych staroświeckim umeblowaniem wszelkim rupieciem.

Lilka, przyzwyczajona raczej do miejskiego minimalizmu, po raz pierwszy zgodziła się z nim całkowicie.

Wujek wyciągnął ręce i takim samym gestem pogładził 30 głowach i

ciocię, i Lilę.

Wszystko się zmienia

- Mam dla ciebie wiadomości, i dobrą, i... sama nie wiem jaką - powitała ją w progu ciocia Kasia. Lilka właśnie wyływała się jak szalona w jeziorze.

Wracała do domu na irżących ze zmęczenia nogach.

- Najpierw złą - zdecydowała, patrząc na nią spód mo-trych kosmyków.

- Obie są powiązane. Sama nie wiem, co o tym sądzić, 'ierwsza to taka, że twoi rodzice nie bardzo mogą się po :iebie zgłosić. Mają spory zakręt w tej swojej pizzerii i ani volnej chwili.

Lilka jęknęła. To typowe dla rodziców. Zawsze firma na pierwszym miejscu, potem wszystko inne.

- Po drugie - ciągnęła ciocia, nie zważając na minę Lilki - nie oznacza to wcale, że będziesz musiała tuc się sama pociągiem. Nie pozwolimy na to. Możesz pojechać z wujkiem, ma różne sprawy do załatwienia na południu Polski. Tyle że musielibyście wyruszyć w krótkim czasie, może nawet jutro,

„Akurat, kiedy zaczęłam się do was przyzwyczajać - burknęła w duchu Lilka. - No, ale cóż. Wakacje i tak kończą się za tydzień”.

- Może być - mruknęła niechętnie. - Ale wcale nie jestem zachwycona — przyznała, co wywołało uśmiech na twarzy cioci.

-Tak będzie najlepiej, Liluniu, chociaż najchętniej zatrzymałabym cię dłużej - oświadczyła, a Lilka uświadomiła sobie, że to prawda. - Było nam dobrze z tobą.

- A mnie z wami - wyznała najzupełniej szczerze.

' Ostatni wieczór poświęciły na pakowanie, sprzątanie, wymyślanie prezentów. Nie było leniwych rozmów przy robótce i świecach.

„To, co najfajniejsze, kończy się zawsze zupełnie nieoczekiwanie” - pomyślała Lilka z ciężką pretensją do losu i świata.

Opowiedziała zafascynowanym bliźniakom najbardziej zakręconą kosmiczną bajkę, jaką знаła. Usnęły, uczepione jej obydwu dłoni. Nazajutrz pożegnała się z całym zwierzyńcem, pieczarkarnią pełną Hatifnatów i rybkami w jeziorze. Na koniec ucałowała dwa pulchne pysiaczki i wyściskała ciotkę na cały długi rok. Nadchodził pogodny, wciąż jeszcze letni

zmierzch. Przed nimi, bez większej przesady, do pokonania Polska wzdłuż.

- Przyjedź koniecznie w następne wakacje! — wołała za nią ciocia. - Przyjedźcie z siostrzyczkami! Tadek, nie szarżuj na drodze! Dziecko wieziesz!!!

Wujek poruszał krzaczastymi brwiami, skręcając za bramą z piskiem i fantazją. Puścił oko do Lilki, przypiętej bezpiecznie pasami na przednim fotelu.

Ciotka, jak zwykle, zdążyła jeszcze pogrozić mu palcem.

Jechali szybko. Wujek, z początku milczący, rozkręcił się z czasem, widząc, jak wdzięcznym słuchaczem jest Lila. Pewnie, że słuchała - z wypiekami na twarzy - ponieważ wuj mówił o tym, co ciekawiło ją najbardziej: o szerokim świecie. Całą młodość spędził, jeżdżąc na różne kontrakty (jako specjalista od spraw wodociągów). Był w Libii, Iraku, Emiratach Arabskich. Barwnie opowiadał o tamtej kulturze, o tym, jak budził go głos muezina, o wariackich, żywo gestykułujących kierowcach na drodze, kolorowych sukach (miał na myśli rodzaj targowiska, nie psa), piekielnie mocnej i słodkiej herbacie, którą popijali wszędzie dosłownie wszyscy (można było zostać poczęstowanym w sklepie czy urzędzie) i

która była najlepsza na upały... Lilka dowiedziała się, jak ugotować jajka w piasku, i że koniecznie trzeba się targować, bo inaczej arabscy kupcy się obrażą (to wiedziała wcześniej).

- Dobrze było, ale się skończyło. Ciotka się bała - wyjaśnił, gestem ręki odganiając od siebie lęki swojej żony i wszelkie fałszywe wyobrażenia o świecie arabskim. - A przecież tam było zupełnie bezpiecznie. No, może w czasie wojny iracko-irańskiej nie bardzo. W czasie nalotów musieliśmy

-« •/♦.•

J' "

kryć się po piwnicach, wiesz? A raz rakietę spadła do ogrodu sąsiada, ale nie wybuchła. Leżała tylko, taka wielka, szara...

- To straszne! - Lilka nie mogła sobie jakoś wyobrazić świata, w którym z nieba tak po prostu spadają rakiety. Nawet jeśli nie wybuchają.

- Straszne rzeczy dzieją się teraz w Iraku. Taki piękny kraj... taki piękny... - westchnął wuj ciężko i zamyślił się. - Ale masz rację. Wojna to okropna rzecz, Liluniu. Potworna i niezrozumiała. Zjeździłem ładny kawałek świata i dlatego wiem, jak wielkie szczęście mamy, żyjąc tu i teraz. Tam, gdzie dzieci mogą dorastać spokojnie i nie grozi im codziennie śmierć ani kalectwo. Piękne mam dzieci, prawda?

- Najpiękniejsze na świecie - potwierdziła gorąco Lilka. - Jesteście jedną z najfajniejszych rodzin, jakie znam. Zaraz po mojej — dodała uczciwie. I nagle zatęskniła za swoim gwarnym mieszkaniem, za błękitnym fotelem w kącie przy akwarium i za siostrzyczkami. Tak. Wakacje są świetnym wynalazkiem, ale najlepszy jest powrót do domu.

Wujek ucieszył się wyraźnie z tej pochwały i ściał kolejny zakręt z ułańską fantazją.

Za kierownicą zmieniał się w młodego chłopca, trochę szalonego, zachwyconego wyprawą i nocną jazdą w dal. Droga była pusta.

Chwilę jeszcze gadali leniwie, aż w końcu Lilka zasnęła.

Zatrzymali się tylko raz, na małej stacji benzynowej w szczerym polu.

Lilka wypła duszkiem colę, wujek - kawę. I tak dziesięć minut później zapadła w sen ukołyszana deszczem, który wziął się nie wiadomo skąd.

Niestety, nie tylko ona.

■&:• \*

Nie pamiętała wstrząsu ani uderzenia.

Zapamiętała tylko pojedyncze doznania i obrazy, porozrywane, nielogiczne jak sen. Leżała w czymś miękkim i mokrym. Błoto? Trawa?

Ktoś coś krzyczał, jakiś człowiek aodbiegł do niej i znieruchomiał, a później wołał: „Tutaj! Panie doktorze, tutaj, szybko! Ona chyba żyje!”.

„Pewnie, że żyję!” - oburzyła się w duchu Lilka i na dowód spróbowała się poruszyć, przez co zobaczyła w oczach milion gwiazd i straciła przytomność.

Jakieś ręce podnosiły ją, dużo rąk. Chciała unieść głowę, ile jej szyja była jakby zamknięta w twardym pancerzu. Przestraszyła się, szarpnęła. Ktoś położył dłoń na jej czole, ciepłą i przyjazną. Powieki jej ciążyły i nie chciały słuchać.

Pamiętała jeszcze ostre światło i natarczywy, drażniący dźwięk, który z czymś się kojarzył, lecz nie wiedziała z czym. Bolało. Poczula ukłucie.

Zastrzyk? Myśli plątały się dziwnie, odpływała w sen. Nie wiedziała, gdzie jest, a co gorsza, nie mogła sobie przypomnieć, gdzie powinna być.

Gdzieś jechali. Trzasnęły drzwi.

Szereg lamp, uciekających w tył jak wagony pociągu, na białym suficie.

Nic się nie zgadzało.

Szpital

Mama

- Proszę podejść, ale ona jest wciąż pod wpływem leków, może nie reagować. Niech się pani nie przestraszy - usłyszała z oddali.

- Nie przestraszę się - zapewnił dobrze znany głos, co sprawiło, że po raz pierwszy od dłuższego czasu Lilka znalazła w sobie dość siły, aby otworzyć oczy. Jasne światło poraziło je natychmiast. Spróbowała raz jeszcze.

- Mama? - wyszeptała z trudem przez ściśnięte, obolałe gardło. Zupełnie, jakby na kolację połykała jeże na surowo.

- Jestem. - Mama przypadła do niej, pochyliła się nad nią, pogłaskała. Była taka blada. Rozczochrana. Kochana.

- Mamo? - tylko tyle zdołała powiedzieć, zawierało się w tym pytanie.

- Jestem z tobą, kochanie. Przyjechałam zaraz, jak się dowiedziałam, naprawdę... Przepraszam, że tak długo to trwało, ale z początku myśleliśmy z tatą, że coś nam się pomyliło, że wracasz we wtorek, dopiero jak ciocia Kasia zadzwoniła...

Długo trwało? Ale co? Ciocia Kasia? Jaka ciocia Kasia? Nagle Lilka sobie przypomniała. Przecież wracała z wakacji do domu, od cioci. I wujek...

■ty'; »

- Co się...? Wujek? - wyjąkała z widocznym przerażeniem. Mama zrozumiała.

- Nic nie pamiętasz? - spytała. Lilka pokręciła głową.

- Wracałaś z wujkiem z Dworczyńska, od cioci, przez całą noc. Nad ranem mieliście poważny wypadek. On również trafił do szpitala. Żyje, połamał

sobie tylko kilka kości - powiedziała z furją. - Ma szczęście, bo sama chętnie bym mu te połamała! Jechać z taką prędkością w taki deszcz! Na noc! Nie wiem, dlaczego w ogóle się na to zgodziłam! Dziecko zer pasów! Lilka powoli pokręciła głową. Ścisnęła mamę za rękę. Słabo, ale silniej się nie dało.

Uświadomiła sobie, że leży w szpitalnym łóżku, zapakowana w gips od pasa po prawą piętę. W gipsie było również prawe ramię. Dlatego taki trud sprawiało poruszanie się, i nawet oddychanie.

- Miałam pasy - powiedziała z wysiłkiem.

„Jestem mumią za życia - pomyślała w duchu. - Białą, sztywną mumią”.

- Wyleciałaś przez przednią szybę zaraz po zderzeniu, kolanie - wyjaśniła mama, gładząc jej dłoń dość nerwowo. - Gdybyś miała zapięte pasy, niewiele by się stało. Ale... to już naprawdę nie jest takie ważne, przepraszam - zreflektowała się nagle. Mama zawsze była dość impulsywna. Od razu wypowiadała wszystko, co miała na myśli. Przez bladą buzię Lilki przeleciał cień uśmiechu, właśnie taką mamę kochała naj bardziej.

- Nie denerwuj się, Pyszczku, przepraszam. Najważniejsze, żebyś teraz nabierała sił. Jestem z tobą i zostanę tak długo, jak będzie trzeba.

o i

Lilka czuła się bardzo zmęczona, ale uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Już dawno nie słyszała tego określenia. Jej pierwsze „imię”. Kiedy były maleńkie, każdą z nich mama nazywała po swojemu: Lila była Pyszczkiem, Miśka - Ryjkiem, a Jagoda - Kluseczką. Tylko do Jagódki, najmłodszej, a w dodatku pulchnej jak balonik, określenie przyłgnęło na dłużej. Właściwie nikt w rodzinie nie nazywał jej inaczej. Klusia kończyła

właśnie cztery latka i zaczynała delikatnie protestować.

- Gdzie są Baby? - Lilka po raz pierwszy rozejrzała się po białej sali. Nie miała pojęcia, do którego szpitala trafiła. Czy wpuszczają tu dzieci? To znaczy - w odwiedzin, nie jako pacjentów?

- Dziewczynki zostały z tatą w Mielcu - wyjaśniła mama, przysiadając na łóżku. - Bardzo się o ciebie martwią i płaczą. Miśka przysięgła, że jak wyzdrowiejesz, odda ci swoje neonowe pisaki. - Znow uśmiechnęły się do siebie. Neonowe pisaki, przywiezione przez tatę „z prawdziwej Kanady”, to był Miśki najcenniejszy skarb. Trzymała je w mamy szufladzie z bielizną i używała tylko do najważniejszych na świecie rysunków, na przykład laurek.

- A my gdzie? - Lilka przymknęła oczy. Ciekawe, że zwykłe rozmawianie jest takie męczące. Musiała jednak wiedzieć. Dobrze, że mamie nie trzeba było tłumaczyć dwa razy.

- Jesteś w Uniwersyteckim Szpitalu Dziecięcym w Krakowie, Pyszczyku. Przewieźli cię tu z Tarnowa, bo... Bo wymagałaś poważnej operacji, a tylko tutaj są w stanie zająć się tobą jak należy.

- Wypadek był w Tarnowie? - Lilka zdziwiła się tak mocno, że aż z wrażenia wyszło jej całe, długie zdanie. Tak blisko domu... .

- Niemal pod Mielcem, kochanie - westchnęła z goryczą mama. - Przejechaliście całą Polskę, żeby rozbić się trzydzieści kilometrów od celu podróży, taki los. No, ale nie martw się, wszystko będzie dobrze. Grunt to spokój. Opiekują się tobą najlepsi lekarze.

Lilka chciała jeszcze zapytać, co tak naprawdę jej dolega i jaką przeszła operację, ale okazało się to zbyt skomplikowane. Zamiast tego zapadła w sen.



Mama siedziała u Lilki cały dzień, całą noc i cały dzień następny. I kolejne dwa. Wychodziła tylko na chwilę, by rozmówić się z lekarzem. Raz nie było jej przez pół popołudnia, ale nie poprawiło jej to nastroju. To znaczy - s'miała się, żartowała i paplała, ale Lilka i tak wyczuwała jej zmartwienie. I zmęczenie. Ciągle niemal w tych samych ciuchach, r nieładem na głowie.

- Idź sobie, odpocznij - powiedziała jej w końcu Lila.

- Wyjdź do miasta albo coś. Będę sobie spać - zapewniła. -Gdzie ty w ogóle się zatrzymałaś, mamó? W tym Krakowie?

Mama skrzywiła się lekko. Odmruknęła coś niewyraźnie. Lila dalej patrzyła na nią pytająco.

- Tu jest taki hotel, przy szpitalu - wyjaśniła niechętnie.

- Szczerze mówiąc, myślałam, że skorzystam z gościny Karoliny, mojej najlepszej przyjaciółki z roku, ale ona... nie bardzo może. Wczoraj poratowała mnie młodzież z pobliskiego ikademika, udostępniając prysznic, kanapę i kawę. Studentki medycyny mają tutaj praktykę. Bardzo miłe dziewczęta. Me... chyba w końcu muszę wynająć sobie pokój albo coś. Nfie przejmuj się - to zdanie padało ostatnio bardzo często, 8 czego Lilka bezbłędnie wnioskowała, że istnieją poważne sowody do przejmowania się.

aroliną? - zagadnęła na chybił trafił. - To kiedyś na koncercie? Mieszka w ol-

m domu, ze schodami?

kVko \ criewódta oczami.

lenie. To znaczy - zamieszkuje iJKfc/fsrro do końca jej własny okdta ostrzeżenia, myiyco się stało, parę dni,

■к тема-

a pozostanie

:\Akadiu\ak

III

^^^&i& - Л?

/ иГПГГ^

\эш.

- Co jest z tą Karoliną? - zagadnęła na chybił trafił. -To ta ciocia, z którą byliśmy kiedyś na koncercie? Mieszka w olbrzymim domu, ze schodami? Mama fuknęła lekko i przewróciła oczami.

- „Mieszka” to dobre określenie. To znaczy - zamieszkuje w nim, ale z tego, co widzę, nie jest to do końca jej własny dom. Zresztą, powiem ci, bo to głupie. Tak dla ostrzeżenia. Umówiłam się z nią na kawę, powiedziałam jej, co się stało, i zwyczajnie poprosiłam o przenocowanie przez parę dni, ewentualnie trochę dłużej...

Tu mama zawahała się lekko; nie poruszały jeszcze tematów zasadniczych, to znaczy - jak długo Lilka pozostanie w szpitalu.

Lilka sama już rozumiała, że to nie będzie „kilka dni”, ale na razie nie życzyła sobie rozważań na ten temat.

- No i? - ponagliła mamę.

- No i Karolinka zaczęła trochę kręcić - że nie wie, bo chyba wyjeżdża, mogą zacząć remont, nie mają umeblowanych pokoi na górze... Widać, że

było jej zarazem głupio i niezręcznie. W końcu stanęło na tym, że spyta męża - i chyba o to chodziło cały czas. Wygląda na to, że ona bez jego przyzwolenia nie może zrobić kroku. Zadzwoiła. A on, wyobraź sobie, się nie zgodził!

Lilka dość nieoczekiwanie parsknęła śmiechem na widok śmiertelnego oburzenia mamy i jeszcze na myśl, co by było, gdyby jej własny tato zwyczajnie „się nie zgodził” na jakikolwiek pomysł jego nadzwyczaj dynamicznej żony. Chyba po prostu nie było takiej opcji.

- Czemu? - spytała, ciągle rozbawiona tą ostatnią myślą. Mama spojrzała na nią ze zdziwieniem. Sama była naprawdę zła.

.,&•■

- Bo pracuje nad ważnym projektem i musi mieć spokój. Bo byłby kłopot z dodatkowym kompletem kluczy. Bo obca osoba w domu to niewygodna rzecz.

- Ciocia Karolina ci to powiedziała?

- Prawie - zreflektowała się mama. - Mniej więcej. W każdym razie było jej strasznie głupio. Chciałaby pomóc, ale nie może.

- Jakby naprawdę chciała, to by pomogła - zauważyła Lilka z przekonaniem. W tej chwili, w szpitalnym łóżku, obłożona tym całym gipsem czuła się stara, doświadczona i zmęczona życiem. - Nie martw się, mamó. Na pewno się znajdzie jakieś rozwiązanie. A poza tym możesz przecież zostawić mnie na kilka dni.

- Mogę, ale nie chcę - oświadczyła mama. - Już puściłam cię samą na wakacje i żałuję.

- Nie samą, tylko do rodziny - skorygowała Lila. - Jak się czuje wujek?

- Jako tako. A, właśnie! - przypomniała sobie. - Ciocia Kasia dzwoniła

kilka razy, ale zawsze spałaś. Bardzo cię chce uściskać i przeprosić.

Przyjedzie pojutrze.

- Przecież nie ma mnie za co przepraszać. - Lila wzruszyła lewym ramieniem, tym bez gipsu. -To był wypadek. Mamo, a jak ciocia sobie teraz ze wszystkim poradzi? Sama na gospodarstwie i z małymi dziećmi? Kto z nimi zostanie?

- Nie mam pojęcia — przyznała mama. - Pewnie przyjedzie do nich wujka mama albo coś.

- Ona jest chora. Wujek mówił - zmartwiła się Lila. - O, obiadek. Znowu dostanę tylko burą zupę... Lepsze to niż nic.

- Głodna jesteś? - ucieszyła się wyraźnie mama. -To bardzo dobrze. To znak, że zdrowiejesz.

29 •'φ.

Ale nie wszystko było dobrze. Kilka dni później Lilka za-gorączkowała i zamiast nabierać sił, stawała się coraz słabsza. Którejś nocy potwornie rozboleł ją brzuch.

Znowu świat się rozsypał na fragmenty niepowiązanych z sobą zdarzeń. Pamiętała to wszystko jak przez mgłę - gdzieś ją wieźli, coś przesuwali, warczała maszyna. Było jej zimno i gorąco, i bardzo niedobrze. Bolały ręce, skłute wenflonami. Wymiotowała.

Nad jej łóżkiem przewijały się zmartwione twarze - mama, to znów tata, ciocia Kasia, babcia i dziadek... Jakaś wiotka brunetka, jakby żywcem wyjęta z gotyckiej baśni, o wielkich oczach i demonicznym makijażu. Chyba ją kiedyś gdzieś widziała, lecz pamiętała tylko jak przez mgłę. Wszystko ginęło we mgle.

Małe dziecko krzyczało głośno, histerycznie. Była noc. Księżyc zaglądał

do pokoju.

Szybkie kroki pielęgniarki. Szum aparatury.

Ciemność.

Fi ona

Fiona siedziała w bujanym fotelu i trzymała przed sobą szeroko rozcapierzoną dłoń. Paznokcie schły. I schły. Ziewnęła - trochę ze znużenia, trochę z powodu kolejnej nieprzespanej nocy.

Wczorajszy koncert okazał się dużym sukcesem. Wszystkie jej koncerty były zazwyczaj udane. Jako menedżer średnio znanych zespołów z pretensjami do przyszłej sławy nie miała sobie równych. Rzeczywiście, sporo jej podopiecznych

•,Y°/ 30

wyłynęło na szerokie wody i radziło sobie wcale nieźle. „Zwariowane Zebry" wydawały właśnie drugą płytę!

I to wszystko dzięki jej, Fiony, perfekcyjnemu wyczuciu rynku oraz sile przekonywania. No, może jeszcze trochę dzięki talentowi i pracowitości samego zespołu. Ale tylko trochę. Najważniejsze, to zapakować i sprzedać. A co?

Cóż. W odpowiednim opakowaniu ludzie kupią wszystko.

Zadzwoił telefon. Fiona, oczekująca już od czterech dni na wiadomość od pewnego atrakcyjnego artysty grafika, zerwała się w jednej chwili. Miała wrodzoną słabość do artystów.

Zapomniawszy się na ułamek sekundy, oparła dłoń na oparciu fotela, wtulając świeżo pomalowane paznokcie we włochaty koc. Oczywiście, koc, korzystając z okazji, pozbył się zbędnych włosków. Zakłęła.

Teraz będzie miała perfekcyjny manikiur. Z futerkiem.

- Słucham? - odezwała się, mimo wszystko swoim najwdzięczniejszym głosem.

- Marian Walczewski z tej strony. Czy rozmawiam z Felicją?

- Witaj, kuzynku - nie ukrywała zdziwienia, ostatni raz widzieli się z cztery lata temu. Na chrzcinach kolejnej z je-lo licznych córek. Miał mnóstwo córek. Dziadek nabijał się rtedyś, że ścisły umysł, Maniek, próbuje zastosować reguły statystyczne do spłodzenia syna, gdyż, statystycznie rzecz biorąc, co drugi człowiek na ziemi jest mężczyzną. Nieste-y, nie w tej rodzinie. Marian miał pewnie problem na co izień ze spamiętaniem tych wszystkich kobiecych imion dookoła, cóż dopiero mówić o zapamiętaniu, że ona sama ad dawna używa innego imienia! Nikomu nie wolno nabywać jej Felicją. Tłumaczyła to wszystkim tysiąc razy. Ale są tacy, co słuchają, i tacy, którzy potrafią tylko wdzięcznie kiwać głową. Tak naprawdę od wczesnego dzieciństwa nie przepadała za kuzynem. Zawsze miał same piątki, mył starannie zęby i chodził grzecznie spać po dobranocce. Podobno.

- Czym mogę ci służyć? - zapytała.

- Mam problem - wyjaśnił Maniek bez ogródek. - Jak się zapewne domyślasz. Ludzie dość rzadko dzwonią po kilku latach milczenia, żeby pogadać po prostu o pogodzie.

Fiona uśmiechnęła się wbrew sobie. Czasami Maniek był całkiem do rzeczy.

- Fakt - przyznała. - No, to dawaj ten problem. O co chodzi?

- Moja najstarsza, Lilka, miała wypadek. Poważny. Nie mogli sobie

poradzić w Tarnowie, więc przewieźli ją do Krakowa, złamania w kilku miejscach, potłuczona w środku, wczoraj musieli operować drugi raz. Wycięli jej śledzionę.

- O, cholera! - Z przejęcia Fiona przygryzła swoje świeżo pomalowane paznokcie. Zresztą, po kocu nic im już nie pomoże. - Jak mogę pomóc? Słuchaj, mam paru znajomych lekarzy, uruchomię ich!

- Na razie jest pod dobrą opieką, dziękuję ci bardzo... Chodzi mi o coś bardziej przyziemnego - wiesz, moja żona od tygodnia już koczuje w Krakowie, musiała wynająć pokój w hotelu i, co tu dużo mówić, z kasą nie jest dobrze...

- Zwariowałaś? - oburzyła się Fiona. - W jakim hotelu, dawaj ją tutaj natychmiast! Przecież mam dwa pokoje z kuchnią, pomieścimy się! Jeśli trzeba, to wszyscy. Głupi jesteś, wyrzucać tyle kasy w błoto, jak jestem na miejscu. Chyba zmartwienie na mózg wam padło, tylko to was usprawiedliwia, dlaczego nie zadzwoniliście od razu???

- Myślałem, że może ktoś ci mówił — przyznał nieśmiało Marian. — I wiesz, nie chciałem się zwałać na głowę, masz przecież tyle swoich spraw...

Fiona zawsze trzymała się na uboczu rodziny, wiecznie zajęta, wiodąc swoje tajemnicze, barwne życie, stanowczo potępiane przez tak zwaną starszyznę. Westchnęła.

- Wiesz przecież, że nie mam zwyczaju plotkować z cio-teczkami - wypaliła. - Kto mi miał powiedzieć? Ale nie traćmy czasu na głupie gadanie, decyduj: przysyłasz żonę do mnie czy lepiej, żebym przyjechała najpierw do szpitala?

- Może przyjeźdź, Felusiu. - Maniek wyraźnie ucieszył się z tej propozycji.

- Ona uparła się spędzić tam kolejną noc, ale ja widzę, że pada na twarz. Może we dwójkę uda nam się odkleić matkę od chorego dziecka, ja sam nie mam siły. Zadzwoiłem do ciebie w sumie z czystej desperacji - przyznał szczerze.

- To ja zadzieram kiecę i lecę - rzuciła Fiona, pomijając milczeniem ostatnie wyznanie. - Który oddział?

To, że z całej małomiasteczkowej rodziny Mariana najbardziej nie znosiła jego przemądrzałej żony, nie miało w tej chwili najmniejszego znaczenia. Jeden koncert w roku też może się odbyć bez jej bezpośredniego nadzoru. Będzie dyrygować wszystkim przez telefon.

Przecież chodzi o dziecko.

Tym razem Lilka wynurzała się z mroku powoli i bez entuzjazmu. Ciężko jej było zebrać się do życia. Bolały ją ręce, głowa, rana po zabiegu.

Mama została z nią jeszcze tydzień. Później musiała pojechać do Mielca. Babcia średnio radziła sobie z dziewczynkami, no i interesy... Mama nie wspomniała o tym ani

33#o^.

£r> słowem, ale Lilka przecież wiedziała. I bez jej feralnego wypadku rodzicom było bardzo ciężko, w firmie już od dawna nie działało się dobrze. „Jestem tylko kłopotem dla wszystkich” — myślała w tych chwilach, kiedy jej głowa na to pozwalała. I zamykała oczy.

Gotycka brunetka odwiedzała ją każdego dnia. Jeszcze zanim Lilka była zdolna do rozmowy, siadała przy jej łóżku i zagadywała albo po prostu trzymała ją za rękę i uśmiechała się. Wnosiła do błękitnej, szpitalnej sali powiew szaleństwa i życia. Rozśmieszała mamę. Bezceremonialnie dyrygowała pielęgniarkami i wyciągała lekarzy na długie rozmowy.



-To twoja ciocia... Fiona. Moja najmłodsza kuzynka, może ją pamiętasz? Mieszka w Krakowie. Bardzo nam pomogła - wyjaśnił tato, złapawszy nieco przytomniejsze, pytające spojrzenie Lilki. Skrzywił się przy tym imieniu, jakby było kwaśne. Fiona też się skrzywiła.

- Tylko nie ciocia, błagam - zaprotestowała. - Ciocie mają grube uda i wałki na włosach. Fiona, tak po prostu. Dobrze?

- Fiona - powtórzyła bezgłośnie Lilka. Może być i Fiona. Już wiedziała, skąd ją zna. Od czasu do czasu pojawiała się na większych rodzinnych uroczystościach i zawsze na jej temat krążyły bliżej nieokreślone, frapujące plotki.

- Rodzinna czarna owca, dosłownie i w przenośni. -Fiona wpadła w jej tok myślenia ze śmiechem, obrzucając wzrokiem swą czarną, koronkową suknię. Tato znów się skrzywił.

- Przesadzasz, Felusiu - powiedział miękko, a ciotka, ku zdumieniu Lilki, pokazała mu język. - Masz złote serce, chociaż w czarnym opakowaniu.

.jjk;. 34

- E tam - machnęła ręką. - Po prostu raz w życiu chcę się czuć potrzebna. Czysty egoizm. Będę się tobą trochę opiekować pod nieobecność rodziców. Mogę?

Lilce nie bardzo udało się kiwnąć głową, więc się uśmiechnęła.

Z Prokocimia na Starowiślną było dość daleko, ale na szczęście bez żadnych przesiadek. Fiona nie przepadała za podróżowaniem komunikacją miejską, korzystała raczej z taksówek. Jej samochód pokrywał się kurzem w garażu przyjaciela, czekając z utęsknieniem, aż właścicielka odzyska utracone dość lekkomyślnie prawo jazdy. W zeszłym roku poszalała z punktami - głównie za jazdę z nadmierną prędkością i fantazją, a ostatnio

nawet z prędkością, fantazją i jeszcze pod prąd. Stróżowie prawa nie mieli litości.

„Jeszcze siedem miesięcy” - westchnęła Fiona i usunęła swój żołądek z zasięgu łokci pewnej starszej pani, która z zapalem przepychała się do wolnego krzesła. Jakiś tłuszcioch oddychał jej tuż nad uchem. Młoda kobieta usiłowała utrzymać na kolanach wiercącego się pięciolatka. Pięciolatek zadawał pięć pytań na sekundę. Na odpowiedziach mu specjalnie nie zależało.

- Mamo, czy ryby mają zęby? Bo wiesz, są takie ryby, piranie, one gryzą. Ale tylko wtedy, jak naprawdę muszą. Czy psy gryzą, jak muszą, czy czasem też dla przyjemności? A czemu, skoro psy nie myją zębów, to im nie wypadają? Mamo, a czy wiesz, że wujek Tolek nigdy, ale to nigdy nie myje zębów? Dlatego mu wypadły i ma sztuczną szczękę. Mamo, a czy on ma sztuczną całą szczękę, czy tylko zęby? Czy takie zęby się przykleja, czy przykręca? Ja też chcę mieć sztuczną szczękę, ale taką jak wampir. Z metalowym kłębem.

Jakby przyszedł złodziej i chciał ukraść ciebie, to ja go ugryzę. Też nie będę mył zębów. Mamo, a kiedy one mi wypadną? A czy wiesz, że babcia też nie myje zębów?

Matka chłopczyka osłabła i zakryła twarz szalikiem, nie wiadomo, czy ze wstydu, czy z tłumionego śmiechu. Pan z pieskiem na kolanach tłumaczył swojej towarzyszce, że agresja wśród młodzieży jest wynikiem nadużywania telefonów komórkowych. Oni tak gadają i gadają przez te telefony, telefony wytwarzają ultradźwięki, a te ultradźwięki przenikają przez czaszkę i podnoszą temperaturę mózgu. I stąd ta agresja. Elegancko ubrana pani w średnim wieku, jakby na potwierdzenie jego wypowiedzi,

skończyła ochrzaniać męża przez telefon i spojrzała na swój aparat z przerażeniem. Dwaj młodzieńcy, wskutek ścisku leżący jej na plecach, zgodnie zarechotali.

Odwróciła się z furją, co rozśmieszyło ich jeszcze bardziej.

Gdzie ci ludzie jadą późnym wieczorem i w takich ilościach? I dlaczego tramwajem? Wszyscy potracili prawo jazdy czy co?

„Akurat teraz przydałby się samochód, jak nie wiem co - zirytowała się na siebie Fiona. - Ale pech. Chyba jestem osobą nieodpowiedzialną”.

Nie była to myśl, która nawiedzała Fionę zbyt często.

Wypadek Lilki i ciężkie zmartwienie jej rodziców wstrząsnęło nią mocniej, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. Zaangażowała się w pomoc w stopniu, który zaskoczył nawet ją samą - nie tylko udostępniając im swoje niewielkie mieszkanie, ale w zasadzie przejmując, jak umiała najlepiej, opiekę nad dziewczynką.

Najbardziej zaskakujące było to, że całkiem nieźle sobie radziła.

Do tej pory Fiona, jak mogła, unikała dzieci, chorób, zmartwienia i cudzych kłopotów. Ale tym razem po prostu nie potrafiła zachować dystansu.

Marian i Halina byli jej bardzo wdzięczni. Okazało się, że Fiona, lepiej niż ktokolwiek inny, dogaduje się z lekarzami i całym personelem, potrafi dopilnować nieuważnych niekiedy pielęgniarek, załatwić brakujące lekarstwa, zrozumieć ten dziwaczny język, którym nie wiadomo po co posługują się na co dzień specjaliści.

- Śledziona spełnia funkcje immunologiczne oraz eliminuje z ustroju dysfunkcyjne erytrocyty — powiedział jej, na przykład, szalenie przystojny skądinąd młody chirurg, kiedy poszła zapytać, co właściwie

Lilce wycięli i czym to grozi.

- Panie, z całej tej przemowy rozumiem „funkcja”, „ustrój” oraz „oraz”, ale mi to nijak do śledziona nie pasuje. Niech pan do mnie nie mówi po chińsku - ofuknęła go.

- Proszę prosto, jak krowie na miedzy. Czyli?

- Zżera czerwone krwinki, które się zestarzały - uśmiechnął się lekarz. - Taki śmietnik. I pomaga walczyć z bakteriami. Pani podopieczna będzie miała nieco słabszą odporność, będzie jej trzeba podać kilka dodatkowych szczepionek, ale to później, oraz chuchać i dmuchać, bo każde przeziębienie może przebiegać poważniej - wyjaśnił cierpliwie. Był, jak to lekarz, wyraźnie zmęczony.

- Tak lepiej - pochwaliła Fiona. - Chuchać, to znaczy co? Nie wypuszczać z domu?

- Skąd, większość ludzi bez śledziona radzi sobie zupełnie dobrze i prowadzi niemal normalne życie - uspokoił ją.

- Zdrowa dieta, odpowiednia higiena snu, właściwe leki, w razie choroby porządny antybiotyk dłużej niż u innych. I wszystko będzie dobrze.

Miał piękne oczy, niebieskie. A pod nimi fioletowe worki.

- Jest pan żonaty? - wypaliła zniecierpliwiona Fiona. Lekarz wytrzeszczył na nią oczy.

- Nie - odparł odruchowo. - A co to ma do rzeczy?

- Tak myślałam. Panu też by się przydała odpowiednia higiena snu - zaśmiała się lekko i przystąpiła do dalszego wypytywania o stan zdrowia Lilki.

Dwa tygodnie minęły niczym koszmarne sen, z którego nie sposób się wydostać. Dni były podobne do siebie jak krople wody. Fiona

przychodziła popołudniami, opowiadała zabawne historie, z których Lilka śmiała się uprzejmie, uważając na brzuch, ale - które tak naprawdę niewiele ją obchodziły.

Mama przyjeżdżała co piątek i zostawała do niedzieli. Przywoziła jej zdjęcia dziewczynek i kolorowe laurki. Miśka napisała do niej długi list.  
Kochana Lilu!

Pszyjedź już do domu. Mama nie pozwala ruszać twoich rzeczy ale Kluska rusza. Ona namalowała na ścianie kaktusa i mówi rze to słońce. Ona ugryzła kota a kot uciekł z domu, ale tata go znalazł i znófgo ugryzła. Kota, a nie tatę. Boję się, rze ucieknie. Kot, nie tata. Dostałam szustkę z pisania ze słuchu i dwie truje też. Za szustkę dostałam od babci 6 zł, a za truje nic. Dlaczego? Pani powiedziała rze jestem najlepsza z plastyki. Pani na tańcach mi kazała tańczyć za chłopaka bo jestem

-U '

\* 38

.?•

największa. Nie chcę być największa. A mama mi ciągle daje witaminy. Musze odrabiać zadania domowe. Czy w szpitalu też musisz odrabiać zadania domowe? Mama mówi rze jesteś w gipsie. Dlaczego? Basia też była w gipsie i malowała na nim kwiatki. Zólf siedzi tyłem. Dlaczego? Tata mówi rze on tęskni. Ja też tęsknię za tobą. Dlaczego nie mogę do ciebie przyjechać? Namaluję ci kwiatka ale nie kaktusa.

Całuję Misia

Tato przyjechał razem z mamą w ostatni weekend. Próbowali jakoś Lilkę zagadać, rozruszać. Mama długo siedziała u lekarza. Wróciła z pionową kreską między oczami.

- I jak tam? - uśmiechnęła się jakby nigdy nic. Lilkę to jakoś zirytowało.

- A jak ma być? - Wzruszanie zdrowym ramieniem wychodziło jej coraz lepiej. - Leżę tu i leżę, i nawet nie wiem, ile jeszcze. Oni mi nie mówią i wy też nie bardzo. Tylko Fiona rozmawia ze mną jak z człowiekiem.

- Polubiłaś ją? - Mama wyraźnie wolała ten temat.

- Jest w porządku - przyznała Lilka. - Niektóre pielęgniarki też są bardzo miłe, pani Gosia na przykład. No i doktor Marek.

- Cieszę się, że są obok ciebie życzliwe osoby - westchnęła mama. - Strasznie żałuję, że nie mogę być przy tobie cały czas.

- Jak długo jeszcze? - nie wytrzymała Lila. - Dlaczego nie chcecie mi powiedzieć? Czuję się jak przedmiot. Albo

o I

39 \* °Щк) '

mały dzidzius! Wszyscy mnie tylko obsługują, bez żadnych wyjas'nień! Mama milczała przez chwilę.

- To trochę moja wina - przyznała w końcu - prosiłam, żeby cię nie martwić. Sama ci chciałam powiedzieć... Widzisz, to może potrwać jakiś czas... Co najmniej cztery tygodnie tutaj. A później rehabilitacja.

- W domu?

- Najpierw w szpitalu, na innym oddziale. Naprawdę, nie wiem dokładnie, jak długo to potrwa, córeczko. Najważniejsze, żebyś wróciła do zdrowia. A ty ciągle taka słabiutka...

- A co ze szkołą, mamó? Kaśka już chodzi do tej nowej klasy, zapomniała o mnie...

- Ależ skąd! - palnęła się w głowę mama. - Przywiozłam ci całą masę listów! Przepraszam cię bardzo, najmocniej cię przepraszam!

I wysypała z torebki mnóstwo mniej lub bardziej kolorowych kopert.

Po raz pierwszy buzia Lilki się zarumieniła. Zwłaszcza kiedy zauważyła na jednej z nich szpiczaste, nierówne pismo Damiana. Zdrową ręką zgarnęła listy na kupkę.

- Nie czytasz od razu? - zaśmiała się mama. - Myślałam, że pękasz z ciekawości...

- Pękam. Ale zostawię sobie na deser, gdy ciebie nie będzie - powiedziała Lilka wymijająco. Po raz pierwszy i ona miała swoje tajemnice. A co! Mama uśmiechnęła się i zarazem uniosła brwi.

Filip

- Ładny masz muflon - zauważył ktoś cienkim, rażnym głosikiem, poufale trącając Lilkę w ramię. - Niebieski. Ja mam różowy. Powinno być na odwrót.

- Czemu na odwrót? - spytała półprzytomnie Lilka, otwierając oczy. Sześć-, może siedmioletni chłopczyk przysiadł ostrożnie na brzegu łóżka. - To jest wenflon.

- Wleflon - zgodził się chłopczyk. - Albo jakoś tak. Różowy jest babski. Piżamy też mam babskie, w kwiatuszki. Wcześniej miałem dres, ale się pobrudził. Jak mi ta Świnka Morska zmieniała ten wlef... welf... to różowe.

- Świnka Morska? - zdumiała się Lilka

- No. Ta pielęgniara z zębami. Chłopaki z sali tak ją nazywają. Podobna, no nie?

Lilka musiała się roześmiać. Rzeczywiście, pani Gosia miała w sobie coś z gryzonia.

- Poza tym „świnia” to nieładnie o starszych, a ona jest wredna. „Świnka

morska" brzmi lepiej, prawda? A panią Malwinę nazywają „Szeleszczący Koń”.

Lilka parsknęła, odruchowo przytrzymując brzuch. Pani Malwina miała wielkie, wystające zęby i wadę wymowy, w dodatku zawsze chodziła w sztywno wykrochmalonym fartuchu. To przezwisko było również nadzwyczaj udane.

- A ty jak się nazywasz?

- Filip. Naciągają ci kości? - Postukał opaloną ręką w gips Lilki. -

Bartkowi naciągają. Jedną nogę ma krótszą i wkręcili mu takie wielkie śruby, mówię ci. Wygląda jak Robocop.

- Nie, miałam wypadek. Złamałam nogę i zwyczajnie musi mi się zrosnąć.

- Dali ci śrubę?

- Nie wiem - zastanowiła się Lilka. - Ale chyba nie.

- Szkoda - westchnął, nie wiadomo dlaczego, Filip. -A Małgosi przywiązali ręce do łóżeczka, wiesz? Żeby sobie nie dłubała w buzi. Ona miała taką dziurę w buzi i jej zszyli. Teraz będzie wyglądać normalnie, jak człowiek. A wcześniej wyglądała jak mały zajaczek, Bartek mi mówił.

- Małgosia to ta dziewczynka, którą ciągle noszą na rękach po korytarzu? - zainteresowała się Lilka. Coś niecoś widziała ze swojego łóżka, ale, szczerze mówiąc, mało się tym dotychczas zajmowała.

- No. Studentki ją noszą. Bo inaczej ciągle, ale to ciągle ryczy. Studentki są fajne. Jedna mnie tylko wytargała za uszy, bo ścigaliśmy się wczoraj z Mirkiem na kroplówkach.

- Na kroplówkach? Jak się można ścigać na kroplówkach?

- Normalnie. Trzeba się trzymać stojaka z kroplówką i odpychać nogą. Ja jestem szybszy, ale kiepsko mi idzie zakręcanie. No i przywaliłem w drzwi



dyżurki. Trochę mi się ten wleń... flon przekrzywił i dlatego Świnka Morska musiała mnie ukłuć jeszcze raz. Ja myślę, że zrobiła to za karę. Wiesz, straciłem przy tym mnóóóstwo krwi - pochwalił się Filip, przewracając oczami. - Trochę się wyrywałem.

- Te wrzaski wczoraj wieczorem to byłeś ty? - parsknęła Lila. - Myślałam, że kogoś zarzynają.

- Nie chciałem płakać, więc musiałem wrzeszczeć. Płkanie jest babskie.

- Aha. A dlaczego ty jesteś w szpitalu?

- Bo się przewracam - wyjaśnił pogodnie. - Ciągłe i ciągle się przewracam, nawet jak idę prostą drogą. I głowa mnie boli. To znaczy bolała w domu, tu jest jakoś lepiej.

Będą mi operować głowę, wiesz? Wywiercą dziurę i wyjmą tę całą chorobę. Doktor Marek mi mówił. Lilka zagapiła się na dzieciaka w osłupieniu.

- Nie boisz się? - spytała, zanim zdążyła się zastanowić. Filipek wzruszył ramionami.

- Trochę - przyznał po chwili. - Ale nie za bardzo. Doktor Marek powiedział mojej mamie, że wszystko będzie dobrze. Bo ona płakała, chociaż jest taka duża. Baby ciągle płaczą.

- Ja nie płaczę.

- Wiem. Siedzę w tym szpitalu i siedzę, i wszystkich już znam. Dlatego pomyślałem, że możesz być fajna. Chociaż baba. Idę na telewizję, a jak wrócę, pogramy sobie w bierki, chcesz?

- Mam sprawną tylko jedną rękę. I to lewą.

- Przecież w bierki gra się jedną ręką. Po co ci więcej? A ja jestem mniejszy. Będzie sprawiedliwie.

Zerwał się z łóżka i już go nie było. Lilka ostrożnie pokręciła głową.

Zabawny ten dzieciak. I taki dzielny.

Gdyby ktoś jej miał wiercić w głowie, umarłaby ze strachu.

„Chociaż - pomyślała sobie - jeszcze dwa miesiące temu na myśl o tym, że będą mi rozcinać brzuch, też bym prawdopodobnie uciekła do lasu. Tyle że na połamanych nogach nie bardzo by się dało”.

W bierki szło jej tak sobie i nawet Filip musiał przyznać, że to żadna zabawa, jak się tak ciągle wygrywa i wygrywa. Za to nauczyła go grać w makao. Szczeniak był całkiem pojętny i ku zdumieniu Lilki nie miał żadnych kłopotów i rozpoznaniem cyferek.

- Filip, a ty już chodzisz do szkoły?

43 П<^.

^ \*

- Skąd. Miałem być w zerówce, no, ale choruję.

- Umiesz czytać?

- No jasne. - Pociągnął nosem i wytarł sobie go w rękaw piżamy, tym razem w kaczuszki. - Babcia mnie nauczyła. Inaczej zanudziłbym się na śmierć. Mam dwie małe siostry, straszne mazgaje. Ani się z tym pobawić, ani nic. Spróbuje je człowiek wkręcić do jakiejś akcji, popchnie do przodu albo przestawi, a one już ryczą. Potem się na człowieka wszyscy patrzą.

No to wolę czytać sobie komiksy. Lubisz komiksy?

- Nie bardzo - przyznała Lila. - Wiesz, też mam dwie młodsze siostry.

- Fajne? - spytał z niedowierzaniem Filip.

- Czasem. Ale u mnie na ogół to one rozrabiają. A ja też czytam, tyle że wolę takie zwykłe książki.

- Książki są babskie - podsumował Filip. - Próbowałem czytać Małą

księżniczkę, straszne nudy. I książkę o dinozaurach, lepsza, ale za dużo trudnych słów. Komiksy są najfajniejsze. Jak dorosnę, zostanę Spidermanem. Tylko że po tej operacji. Nie mogę się tak przewracać i przewracać, sama rozumiesz. No, bo jakby to wyglądało w akcji?

- A skąd weźmiesz te różne zdolności, no i sprzęt?

- Jak dorosnę, to sprzętu będzie, ile dusza zapagnie, zobaczysz. Sam niektóre wymyślę. Samochody będą latać w powietrzu, wiesz? - Obrzucił szybkim spojrzeniem Lilkę, zapakowaną w gips. - Ale nie będą się zderzać, bo w powietrzu jest dużo miejsca przecież. I jeszcze wymyślę takie specjalne roboty, które będzie można wpuszczać do człowieka przez ucho. One mu tam w środku wszystko naprawią, bez rozcinania. A potem wyjdą, też przez ucho, i zameldują: „Zadanie wykonane. Wróg unicestwiony”.

•^\* 44

Filip używał mnóstwo mądrych słów. I chyba jednak więcej niż troszeczkę bał się operacji.

- Bo ja będę jeszcze naukowcem, wiesz? I zrobię te roboty specjalnie po to, żeby dzieci nie musiały kłaść się do szpitala. Po prostu przyjdę ze swoim sprzętem do chorego dziecka i wszystko naprawię mu w domu.

Przez sen.

- Jesteś tu, Filipku? - Młoda blondynka w okularach zajrzała do sali. - Słysząc cię już z daleka.

- Mama! - zerwał się Filip, zeskoczył z łóżka i natychmiast klapnął na podłogę. Rzeczywiście, miał problemy z utrzymaniem równowagi. Roześmiał się, otrzepał i podszedł do kobiety, na wszelki wypadek trzymając się już poręczy Lilkowego łóżka.

Uściskała go, podniosła.

- Mamo, mam koleżankę. Taką dużą! I mądrą! - entuzjasmował się Filip, mocno ściskając mamę. - Nauczyła mnie grać w kakao! Właśnie, przywiozłaś mi może nutellę do kanapek? Tu mają, ale mało. Załatwiłem sobie z cicią z kuchni wymianę za ser, ale ona nie zawsze może, a ja nie znoszę sera. Jajek też nie znoszę - zachichotał. — Nawet u ptaków jajka znoszą wyłącznie samice. Strasznie długo cię nie było, mamusiu.

Dlaczego?

- Całe dwa dni - uśmiechnęła się jasnowłosa pani, tuląc go do siebie. - Za to teraz zostanę na dłużej, aż do... Cieszę się, że masz przyjaciół - zmieniła prędko temat. - Chodź, pokażę ci, co dla ciebie mam. Cała rodzinka przysłała ci różne prezenty.

- Prezenty! - ucieszył się Filip, wciąż wisząc mamie na szyi. - Uwielbiam prezenty. Jak dorosnę, zostanę Świętym Mikołajem.

4\*       "

Dyżur był męczący. Jak zazwyczaj, zresztą.

Marek posiedział na kanapie całe piętnaście minut, po czym wstał, westchnął ciężko i zabrał się do porządkowania zdjęć rentgenowskich, oddzielając te, które będą mu jeszcze potrzebne, od tych, które można odłożyć do archiwum. Dochodziła siódma.

- Cześć, wujku, co robisz? Ojej! Jaka fajna czaszka? - zachwycił się cienki głosik tuż przy drzwiach. Marek zamrugał oczami.

- Cześć, Filipku! Już nie śpisz?

- Szeleszczący... to znaczy, pani Malwina mnie obudziła. Dała mi takie paskudne do wypicia, błe. Będą mi robić prześwietlenie - pochwalił się. - Czy ten kościotrup jest prawdziwy? - zapytał, celując palcem w zdjęcie

rentgenowskie, wiszące na negatoskopie.

- Prawdziwy. To właśnie to, co nazywasz prześwietleniem. Takie zdjęcie.

- Mój tato też zrobił zdjęcia z prześwietleniem. To znaczy, prześwietliły mu się i nic nie było na nich widać. Mama się złościła, bo to miała być pamiątka z Rzymu. Teraz mamy na pamiątkę z Rzymu same białe placki. Ale przecież Rzym nie zajac, nie ucieknie. Nawet nazywa się tak: Wieczne Miasto. Tato mówił. No, to do następnych wakacji postoi na pewno. Po co się złościć? A do czego wam takie szkielety? Czy to szkielety dzieci, które już nie żyją?

Doktor Marek poczuł lekki zawrót w niewyspanej głowie. Chyba nie posiada zdolności pedagogicznych, ani troszkę.

- Nie - spróbował mimo wszystko. - Dzieciom, to znaczy pacjentom, robi się zdjęcia takim aparatem, który wypuszcza z siebie specjalne promienie. Te promienie przechodzą przez całe ciało, przez niektóre rzeczy bardziej, a przez

%Y0% 46

inne mniej. Dlatego widać kości i to, co jest w środku żywego człowieka. To jest czaszka, sam widzisz, a tu - tutaj na przykład widać żebra. I serce, widzisz?

- Nie. - Filip przekrzywił głowę i spojrział na doktora spod długich, ciemnych rzęs. - To coś w ogóle nie wygląda jak serce. Serce powinno być takie, o! - Narysował kształt w powietrzu. - Tu jest jakiś kapeć.

- Takie serce jak na rysunkach to tylko symbol, takie uproszczenie, rozumiesz? A prawdziwe serce wygląda właśnie tak... no, może troszkę inaczej, bo akurat to serce jest z wadą. Zresztą, dobrze trafiłeś, o takim sercu mówi się, że ma sylwetkę podobną do buta.

- Z wadą? - powtórzył Filip. - Babcia miała kozaki z wadą. Wysłała je paczką. I jeszcze mówi, że tato ma wady. Na przykład lenistwo. Czy ty, wujku, też masz taką wadę: lenistwo? Bo ja mam. Pewnie po tacie. Najbardziej nie lubię sprzątanania.

- Lenistwo? - zastanowił się doktor Marek. - No, lenistwo to akurat nie. Ale inne wady mam.

- Jakie? - chciał wiedzieć natychmiast Filipek.

- Bo ja wiem?... Może wręcz przeciwnie: za dużo pracuję. I bywam niemiły - dodał po namyśle, przypominając sobie nocną scysję z pewną mamuszką histeryczką.

- Niemiły? Skąd. Wujek jest bardzo, ale to bardzo miły. A te skrzydła to co? Czy to anioł?

- Nie, to po prostu fragment szkieletu. Tak wyglądają na zdjęciu łopatki, one są z tyłu.

- Łopatki? - roześmiał się Filip. - Zamiast skrzydeł? Anioł z łopatkami?

- Każdy człowiek ma z tyłu łopatki. Filip niepewnie pomacał się po plecach.

- Ja nie mam - stwierdził z przekonaniem. - Ty też nie - wydał wyrok, przyglądając się doktorowi. - Coś ściemniasz.

Marek już miał przystąpić do porządnego wykładu z anatomii, ale przeszkodził im w tym, niestety, Szeleszczący Koń, który od dłuższej chwili szukał Filipa po całym oddziale.

- Tu jesteś, nicponiu! - wykrzyknęła, z wyraźnym wysiłkiem powstrzymując się od chwycenia chłopca za ucho. Położyła mu tylko kościstą rękę na ramieniu. - Tomografia wydzwania, wszyscy cię szukają, a ty zawracasz głowę panu doktorowi. Marsz na badania! A doktora

zapraszamy na poranną odprawę.

- Niektórzy to dopiero mają wadę serca - mruknął cicho Filip i obdarzył doktora krzepiącym uśmiechem, nieco tylko szczerbatym. - Straszną wadę: po prostu jego brak.

Bartek

Dwa dni później do popołudniowej rozgrywki dołączyła Fiona i wysoki, może czternastoletni chłopiec ze skomplikowanym aparatem na lewej nodze.

- To jest Bartek. - Filip elegancko przedstawił kolegę. - Chciałby z nami zagrać. Próbowałem go nauczyć, ale myli mi się troszeczkę.

- A ty jesteś Lilka. - Chłopak uśmiechnął się do onieśmielonej Liii. - Lilka, co ma dwie młodsze siostry i zna się na gadach. Filip mi opowiadał.

- Ja zawsze wszystko wszystkim opowiadam - pochwalił się Filip, przysiadając na swoim ulubionym miejscu.

Fiona skombinowała dodatkowe krzesło i przestrzeń wokół łóżka Lilki zmieniła się po chwili w jaskinię rozrywki oraz gier karcianych. Fiona posiedziała z nimi pół godzinki i pobiegła na jeden ze swoich tajemniczych koncertów. Ona to dopiero prowadzi bujne życie!

Chyba pierwszy raz nie czuła wyrzutów sumienia, że zostawia Lilkę całkiem samą w tym strasznym szpitalu.

- Niezły jesteś. - Bartek poczochnął Filipkowi czuprynkę.

- Znowu nas ograłeś!

- No! - Mały promieniał z dumy. - Ja po prostu mam talent.

- Filip Tulewicz! - zawołała pielęgniarka, przystając w drzwiach. - Chodź na badanie, pan doktor już czeka.

- Szeleszczący Koń. Znów będzie mnie męczyć. Masakra - westchnął chłopiec, wstając ostrożnie. Bartek pomógł mu dotrzeć do drzwi bez wywrotki. Zachwiali się tylko raz.

- Zaraz wracam!

- Tak zaraz to nie - sprostowała uczciwie pielęgniarka.

- To potrwa raczej długo.

- Filip ma jutro zabieg - wyjaśnił Bartek. - Obawiam się, że od tej chwili będzie już pod specjalnym nadzorem. Na czczo i w ogóle.

- Co mu właściwie jest? - spytała cicho Lilka.

- Guz mózgu - odpowiedział równie cicho Bartek. -A dokładnie mózdzku. Słyszałem, jak jego rodzice gadali z lekarzem.

- O Boże! - Lilka nie wiedziała zbyt dużo o guzach, ale brzmiało strasznie.

- To znaczy rak?

- Nie wiem. Mówili, że guz. Cokolwiek by to było, chyba i tak nie jest dobrze.

-I co będzie?

- Operacja. Może się uda. - Bartek zacisnął pięści. -Musi się udać. Taki fajny dzieciak.

49 II^#.

- Musi się udać - powtórzyła szeptem Lila.

Chwilę siedzieli obok siebie w milczeniu. Odechciało im się grać w karty.

- Ja tu jestem już siódmy raz - odezwał się nagle Bartek. - Naoglądałem się różnych rzeczy, wiesz? Nie wszystkie historie dobrze się kończyły. Ale spora część. Najpierw myślałem, że nigdy w życiu nie chciałbym być lekarzem. Tylko męczą dzieci. - Jego białe, równe zęby błysnęły w półmroku. - Ale teraz już wiem, że bym chciał. Ktoś przecież musi to



robić.

- W której jesteś klasie? - spytała nieśmiało. - W pierwszej.

- Liceum?

- Skąd. Gimnazjum. - Pochwycił jej zaskoczone spojrzenie. Myślała, że jest starszy. - Powinienem być w drugiej, ale piątą niemal w całości spędziłem w różnych szpitalach, i nie udało mi się zaliczyć w terminie. Miałem dwa zabiegi na kręgosłup, później ta noga. Dwa razy od tych aparatów złapałem zapalenie kości. Taki pech. - Rozłożył ręce, ale się uśmiechał. - Jednym w życiu prosto, a innym pod górkę. Ale pójdę na medycynę. Znam się na tym, że tak powiem, od środka. Wiem, jacy lekarze są niezli, a jacy do kitu.

- Doktor Marek jest fajny - powiedziała Lilka. - Moja Fiona go polubiła.

- Ta, co tu była? Siostra?

- Ciocia. Ale nie lubi, jak tak do niej mówię.

- Nie chce czuć się staro, co? Tak jakby nazwa coś zmieniała - zaśmiał się cicho. - Niektórzy dorośli są strasznie zabawni.

- Ona chyba w ogóle nie zamierza dorastać - zrozumiała Lilka.

- Widać na pierwszy rzut oka. Niejedna nastolatka mogłaby pozazdrościć twojej „cioci” ciuchów.

- Przy tym wcale niezłe zestawionych ze sobą — dodała Lila po namyśle.

- Też mi sztuka - prychnął. — Dowolne trzy sztuki odzieży z jednolicie czarnej szafy. Zakład, że jakbyś miała wszystkie ubrania w jednym kolorze, też byś potrafiła zestawić je ze sobą. Do tego srebrny krzyż na szyję i wiszące kolczyki. Nic nie trzeba prasować.

- A już szczególnie wiszących kolczyków. Roześmiali się oboje.

Miło jej się gadało z Bartkiem. Równie miło jak w Mielcu z Damianem, a

nawet lepiej, bo bez tego dziwnego napięcia, które ostatnio często się pojawiała, zupełnie jakby duża, naładowana elektrycznością chmura przepływała nad ich głowami.

Z Bartkiem było prościej. Żadnych chmur.

W miejscu tak przesiąkniętym smutkiem i strachem jak szpital - co za ironia losu.

- O, papużki nierozłączki - rzuciła ironicznie siostra Bernadetta. Nazywali ją Świdrujące Oko, zgodnie z indiańską tradycją na oddziale.

Ona, na szczęście, o tym nie wiedziała. Filip, tak jak przewidywali, nie pojawił się więcej. Minał dzień przeznaczony na zabieg, później jeszcze jeden. Lilka nie mogła wytrzymać, napuściła Fionę. Fiona wróciła zmartwiona. Polubiła Filipa.

- Leży wciąż na pooperacyjnym. Jego stan jest dosyć poważny, Liluniu.

- To znaczy?

• \*-,^.-

- Trudno mi powiedzieć. Nie odzyskał jeszcze przytomności albo specjalnie go nie wybudzają, nie wiem. Jego rodzice są przy nim cały czas.

- To niesprawiedliwe - rozplakała się nagle Lila. Filip, mały przyjaciel, który sam ją znalazł, rozśmieszał, pocieszał. Pomógł przetrwać kolejny paskudny, szpitalny tydzień. Filip, przyszyj Spiderman, naukowiec i Święty Mikołaj.

Znali się tylko tydzień - uświadomiła sobie. A z Bartkiem - zaledwie trzy dni.

Niekiedy wydawało się jej, że to wieczność.

Wieczorami czytała listy od siostrzyczek (jeden pisany, drugi rysunkowy - przedstawiał złowrogą postać z niewątpliwie rzeźnickim nożem w ręku,

pochyloną nad leżącym głownogiem o wyraziście rudych włosach). Zapewne była to operacja Lilki w Kluskowej wersji. Mała miała talent. Lilka myślała o domu. Jaki to odległy, nierealny świat. Kochała swoje siostrzyczki, tęskniła za nimi. Ale teraz martwiła się głównie o Filipa.

- Holender - mruknął Bartek, równie poważnie zmartwiony. Od wczorajszego popołudnia nie otrzymali żadnych nowych informacji. Przysiadł na łóżku Lilki, opierając nogę z aparatem na zwędzonym z korytarza krześle.

- Mama Filipa! - Lilka chwyciła go za ramię. - Łap ją! Migiem!  
- Bardzo śmieszne - zamruczał Bartek, szurając krzesłem. Zachwiał się, chwycił swoje kule, w końcu udało mu się wytoczyć na korytarz. Dogonił mamę malca dopiero przy drzwiach. Nic nie powiedziała, pokręciła tylko smutno głową, a on nie miał śmiałości zapytać.

■&'; \*

- Chyba niespecjalnie - zaraportował. - Pewnie gadała z lekarzami, ale nam przecież nic nie powiedzą.

Rano przychodziły sympatyczne studentki medycyny. Mierzyły ciśnienie, podawały leki, pomagały pielęgniarkom przy drobnych zabiegach. Lilka postanowiła skorzystać z okazji.

- Filip? Ten mały chłopiec po kraniotomii? Jest na intensywnej terapii. Nieprzytomny - wyjaśniła jej krótko zagadnięta studentka. - Pamiętam, przychodził do ciebie! - przypomniała sobie. - OK, dam ci znać, jak będzie coś wiadomo - obiecała.

Wspólne zmartwienie zbliżyło ją i nowego szpitalnego przyjaciela.

Spędzał u niej całe godziny między zabiegami. Opowiadał o swojej szkole

w centrum Krakowa, do której dostał się z niejakim trudem, chociaż testy na koniec szóstej klasy napisał najlepiej z całej szkoły.

- To pewnie przez tę dobrze utrwaloną piątą klasę. Zwyczajny fuks. Ale przy przyjęciu do gimnazjum było trochę problemów. Bali się mojej nogi, rozumiesz - powiedział i roześmiał się jak to on. - To znaczy, nie nogi jako takiej, choć rzeczywiście wygląda, jakbym mógł ją odkręcić i przywalić nią wrogom w łeb. Tylko że sobie nie poradzę. To stary budynek, mnóstwo schodów. W pierwszej chwili szanowna dyrekcja oświadczyła rodzicom, że to nie jest szkoła integracyjna.

- No i? - Lilka słuchała z zapartym tchem. Ciekawe, jak ją przyjmą w szkole po wypadku.

- Cóż... Moja mama jest dziennikarką i ma siłę przekonywania - zarechotał chłopiec. - A ja dodałem, że nie przychodzę się tu integrować, tylko pouczyć. I pokazałem, jak wchodzę po schodach.

-1 pozwolili?

- Pozwolili. Rodzice ubezpieczyli mnie dodatkowo. Pochodziłem przez cały tydzień, było w porządku. Tyle że zabieg w tym roku nie udał się, jak trzeba. Musiałem wrócić, niby na tydzień, a zostałem trzy.

- Ja prawie pięć - westchnęła Lilka. - Wrzesień już się kończy.

- Jeden miesiąc to pikuś. Da się nadrobić. A ciebie gdzie przyjęli?

- Do dwójki.

- Dwójki? Ja chodzę do dwójki! Na Studencką. Miałaś być w mojej budzie?

- Skąd, jestem z Mielca. Szkoła na Starówce.

- Fakt, zapomniałem. Szkoda - wyrwało się Bartkowi. - Gdybyś tu była i chodziła ze mną, bylibyśmy sobie przez czas jakiś takie zwyczajne dwie

kuternogi.

Gdzieś tam, w środku, dusza Lilki zwróciła uwagę na to, że nie powiedział „chodziła ze mną do szkoły”. Albo „do klasy”. Po prostu „chodziła ze mną”. Może to skrót myślowy - zauważyła w duchu. Ale i tak zrobiło jej się jakby cieplej w szpitalnej sali.

Trzy dni później zdjęli jej gips z nogi i przenieśli na rehabilitację. Jakoś tak zniecka, zaraz po porannych badaniach.

„Nie zdążyłam się nawet pożegnać” - pomyślała.

Filip zaczął otwierać oczy i kilka razy ścisnął mamę za palec, jak doniosła zaprzyjaźniona studentka medycyny. Pamiętając ruchliwego, wszędobylskiego dzieciaka, Lilka jakoś nie mogła uwierzyć, że to wydarzenie wypada nazwać sukcesem.

Może wszystko szło ku lepszemu. A może nie.

Zeszyt z kluczykiem

Oddział rehabilitacyjny był zupełnie inny. Kolorowy. Mnóstwo maluchów płaczących się pod nogami. Dużo ćwiczeń, ale też więcej gwaru i radości. Lilka niezmiernie się dziwiła tym wszystkim, nieraz wyraźnie chorym, cierpiącym dzieciom - skąd biorą tyle energii i pogody ducha?

Wykonywała posłusznie ćwiczenia. Początkowo męczyły ją tak, że na nic innego nie miała już siły. Brakowało jej rozmów z Bartkiem i małym Filipem. Ciekawe, co u niego. Czy powiedział już jakieś pierwsze słowa? Dużo o nim myślała. I doszła do wniosku, że powrót do zdrowia po ciężkiej chorobie naprawdę przypomina powtórne narodziny.

Nawet mówić musi się człowiek uczyć jeszcze raz. Chodzić. Jeść. I - przede wszystkim - śmiać się.

W dodatku okazało się, że Miśka miała rację - w szpitalu też można

odrabiać lekcje. Odwiedziła ją pani pedagog, wypytała o wszystko - klasę, dotychczasowe oceny, zainteresowania. To ostatnie Lilka wymyśliła, ponieważ nie czuła zainteresowania niczym. Umówiły się na następny dzień na jakieś straszne testy.

- Nic się nie bój, nie chodzi mi o wystawianie ocen z wiedzy - oznajmiła. - Muszę się jednak dowiedzieć o tobie troszkę więcej, tak, żeby pomóc ci rozpocząć naukę w pierwszej gimnazjalnej. Nie powinnaś stracić roku. Jesteś bystrą dziewczyną, poradzimy sobie - pocieszyła ją i odeszła, zabierając swoje karteczki z notatkami.

To było równocześnie pocieszające i przerażające.

Nie tak wyobrażała sobie początek gimnazjum. Zdecydowanie nie tak.

- Musisz się uczyć - powiedziała wieczorem Fiona, po cierpliwym wysłuchaniu zdenerwowanej Lilki. - Będziesz miała przynajmniej jakieś zajęcia.

- Mam mnóstwo zajęć - warknęła Lila. - Ćwiczę, jem i śpię. Co dzień o barbarzyńskiej porze daję sobie zmierzyć temperaturę i inne potwornie ważne parametry. Wystarczy.

- Zwariowałaś? - Fiona jak zwykle nie owijała w bawełnę. — I co: to, że miałaś wypadek, oznacza, że już do końca życia nie zamierzasz chodzić do szkoły? Chcesz zostać babcią klozetową albo nocnym stróżem?

- A nadaję się do czegoś innego? - zapytała dość celnie Lilka. - Wstaję z trudem. Nie mogę zgiąć nogi w kolanie. Muszę prosić o pomoc, żeby zrobić siku.

- To jeszcze nie są przeciwwskazania do nauki - stwierdziła Fiona, śmiejąc się w duchu z własnych mądrych sformułowań. Stanowczo za dużo czasu spędzała ostatnio w towarzystwie lekarzy. Zwłaszcza jednego.

- Przeleżałam jak sznycel prawie dwa miesiące i świat się od tego nie zawalił - buntowała się Lila. Fiona poczuła, że opadają jej ręce.

- A właśnie, że się zawalił! - rzuciła zirytowana. - Wszyscy się o ciebie martwią, mama, tata, dziewczynki... Robimy, co możemy, żebyś się pozbierała i wróciła do świata żywych. A ty śpisz. Nic ci nie pasuje. Ten twój kudłaty kolega nie przyszedł cię odwiedzić?

Przypadkiem - a może i świadomie - trafiła w sedno sprawy.

- Nie. - Lilka, ku własnemu zawstydzeniu, pociągnęła nosem. - Nie przyszedł. Pewnie go wypuścili do domu.

-&°: 56

- E, może nie pozwalają mu opuszczać oddziału - zbagatelizowała Fiona.

- Mógł zadzwonić. - Lilka szczerzej owinęła się błękitnym kocem, prezentem od mamy.

- A wie, jak się nazywasz?

- Litości, Fiona! Widział moje nazwisko na karcie chorobowej milion razy. Poza tym jak myślisz, wszyscy na oddziale stracili pamięć i głos? Przecież wystarczy zapytać byle kogo. Po prostu nie chciał. I tyle. Skończmy ten niezręczny temat.

Fiona nie znalazła już żadnej możliwości usprawiedliwienia tego skądinąd sympatycznego młodzieńca.

- Ech, faceci - powiedziała w końcu z głębi serca. - Nigdy nie przejmuj się facetami. Weź się lepiej do nauki: mówię ci to niejako stara, zrzędliva cioteczka, tylko jako samowystarczalna kobieta z doświadczeniem. Ucz się, rozwijaj i baw po pachy. Żadni faceci nie są nam do tego potrzebni. Lilka od razu zwróciła uwagę na słowo „nam”. Przyjrzała się Fionie uważnie znad kocyka.

- Jak się udała piątkowa kolacja z doktorem? - skojarzyła nagle. -

Umówiliście się jeszcze raz?

- Wiedziałaś? - zdumiała się Fiona.

- Dzieci dużo wiedzą. - Zmarszczyła zabawnie nos, naśladowując własną mamę. - Pewna studentka doniosła mi w zaufaniu, że pewna pielęgniarka jej mówiła, że słyszała, jak pewien piękny, ale nieprzystępny doktor pytał się dyskretnie swojego kolegi, do jakiego lokalu mógłby zaprosić pewną piękną kobietę. Wzbudziło to na oddziale niemałe poruszenie. Z tego, co wiem, doradzono mu „Taco Mexi-cano”. O ile się nie mylę, piątkowy wieczór spędziłaś właśnie tam?

- Rany, to była tajemnica! - zmartwiła się Fiona. - Umawianie się z pacjentkami czy rodzinami pacjentów jest nieetyczne. Sam tak powiedział.

- Z pacjentkami na pewno - roześmiała się Lilka. - Przez dłuższy czas byłam chyba najstarsza na oddziale. Ale wy przecież możecie umawiać się, ile chcecie!

- No, niekoniecznie. To szalenie skomplikowane sprawy - ucięła Fiona, przeskakując nagle do niedostępnego świata dorosłych. Na sekundę może.

- Ale ty nikomu nie mówiłaś, prawda? - nie wytrzymała.

- Skąd. Nie miałam pewności, i nie miałam komu -uspokoila ją Lila. -

Poza tym przenieśli mnie jeszcze tego samego dnia, pamiętasz?

- Uff. Popatrz, popatrz, a myślałam, że udało nam się utrzymać znajomość w tajemnicy...

Lilka nie była o tym przekonana.

- No nie wiem. Wydaje mi się, że wszystkie studentki do niego wzdychają, i nie tylko. Nic dziwnego, że wiadomość o randce rozeszła się jak pożar...

Jest bardzo miły, prawda?



- Miły - westchnęła Fiona. - Ale taki sztywny. Jak kij.

- To znaczy?

- Żyje z zegarkiem w ręku. Może przeznaczyć na miły wieczór dwie godziny, nie więcej, bo rano musi wstąpić; nie napije się lampki wina, bo mogą go wezwać do pracy; we wtorek ma dyżur zwykły, w środę pod telefonem, w czwartek szkolenie... Ech, o czym ja w ogóle gadam z dwunastolatką! - zreflektowała się nagle.

-Trzynasto— poprawiła Lila. Zastanawiała się nad czymś przez chwilę. - Ale lubisz go?

- Lubię. W ściśle określonych godzinach. W poniedziałki i piątki po południu, od osiemnastej do dwudziestej trzy-

dzieści pięć. Tak, jak on mnie - odparła buntowniczo Fiona. - Nie wiem, czy mi to odpowiada.

- Zawsze to coś — zauważyła Lila i posmutniała. Bartek się nawet nie odezwał. Jednym słówkiem. Damian też nie napisał do niej tak, jak zwykle.

Przypuszczalnie dlatego, że ostatnio mu nie odpisała.

- A jaki z tego morał? - Fiona uniosła palec wskazujący. - Morał taki, moja droga, że o własne dobre samopoczucie musimy dbać same, nie czekając na innych po-lepszaczy. Dlatego też posłuchaj rady starej cioci - uszy do góry. Nos w literaturę - szkolną, w twoim wypadku. Wszystko będzie dobrze. Same sobie zapewnimy udane i owocne życie.

- Nie wiem, czy wszystko będzie dobrze — rzekła Lilka, naciągając swój kocyk niemal pod sam nos. - Chciałam być kiedyś podróżnikiem, wiesz? Jeździć po świecie. Opisywać go. Wygrałam konkurs literacki w szóstej klasie, wiesz? Drugie miejsce miał Damian, wściekły był. „Magiczne

miejsca mojego dzieciństwa". Pisałam o Sandomierzu, pojechałam tam z dziadkami. A teraz? Nigdzie się nie ruszę! Nie dość, że noga, to jeszcze muszę uważać na każde przeziębienie. Dorota, ta studentka, wszystko mi wytłumaczyła. I co mi pozostało?

- Wiesz, ja też wygrałam swój pierwszy większy konkurs w szóstej klasie - ucieszyła się Fiona. - Tyle że poetycki. Piszesz czasem wiersze?

- Czasem - przyznała Lilka. - Ale takie raczej nie na konkurs. Prywatne. Tu w szpitalu też, leżę sobie i wymyślam różne takie tam...

- Zapisujesz?

Lilka tylko wzruszyła ramionami.

59 ЛЙ,

- Po co? Tutaj, jak sama zresztą widzisz, nie ma prywatności. Wszyscy wszystko wiedzą. Jaką mam pewność, że nie dobierze się do nich wścibska studentka albo znudzona pa-cjentka z drugiej sali? .

Fiona obrzuciła spojrzeniem tymczasowe królestwo Lilki - łóżko, miejsce na parapecie, obdrapaną, metalową szafkę, której drzwiczki nie dawały się domknąć, a szuflada -otworzyć.

Zerwała się, wybiegła. Lilka pokręciła głową. Ta Fiona.

Niby dorosła, a czasem zachowuje się jak dziewczynka. Ciekawe, co ją ugryzło tym razem?

Nie było jej dobre pół godziny. Przecież nie pojechała do miasta. Bez sweterka?

Czarny, szalenie obcisły sweterek zostawiła na łóżku Lilki.

- Masz! - Zdyszana, lekko zarumieniona, rzuciła jej na łóżko niewielką paczuszkę. - To prezent. Moim zdaniem paskudny, ale innych nie

znalazłam. Poleciałam aż do Tesco, poznaj ogrom mojego poświęcenia. To

znaczy, w Tesco były, ale tylko takie: jeden z tym psem z wytrzeszczem, co się boi duchów, drugi z jakąś pokracczną małpą. Trzeci w Myszki Miki. Uznałam, że te wiotkie panienki ze skrzydłami pasują do ciebie najlepiej. Jedna cię nawet przypomina. Też ruda.

-To „Witch” - roześmiała się Lilka, wyjmując z kolorowej torebki gruby brulion. - Widać, że nie masz dzieci, byłabyś na bieżąco. I co z tym zrobić?

- Pisać. - Fiona wzruszyła ramionami. - Widzisz, ten zeszyt ma całkiem porządną kłódkę. Możesz w nim zamknąć wszystkie swoje myśli. Nie dorabiałam kluczyka - uśmiechnęła się. - Będziesz chciała, to sama mi kiedyś pokażesz. Aha, byłabym zapomniała, proszę: oto pióro do kompletu. Z nabojami.

Lilka pomyślała przelotnie, że nikt jeszcze, na całym świecie, nie dorobił kluczyka do niej samej. Kiedyś wydawało się jej, że może Damian. Ale to było kiedyś.

Może Bartek, ostatnio, ale znali się przecież tak krótko...

I jeszcze przyszło jej do głowy, że to niezły temat na wiersz...

Od fioletowego zeszytu z kluczykiem zaczęła się, tak naprawdę, powolna rekonwalescencja Lilki.

Przebrnęła przez testy, przez kolejne, bolesne ćwiczenia. Przez falę zniechęcenia i rezygnacji. Przez złość na świat.

Tęskniła za domem, siostrami, dawnymi przyjaciółmi ze szkoły podstawowej, wiodącymi swoje tajemnicze, odległe już życie. Gdzieś tam w Mielcu. Ciekawe, czy wciąż przychodzili po szkole do pizzerii rodziców?

I za nowymi przyjaciółmi z oddziału chirurgii, którzy przemknęli przez jej

szpitalne życie jak meteoryt na sierpniowym niebie.

I za spokojem ostatnich wakacji. Wakacji z meteorytami.

Jeszcze miesiąc temu - nie, to już nawet dwa miesiące - leżeli z ciocią i wujkiem na kocu w ogrodzie, podziwiając Plejady. To wujek pokazał jej pierwsze spadające gwiazdy. Był to dokładnie dzień jej urodzin, trzeciego sierpnia, i samo niebo urządziło pokaz fajerwerków.

Jakże czuła się szczęśliwa tamtego dnia.

A później ten sam wujek zasnął za kierownicą. Przy ogromnej, zupełnie niedorzecznej prędkości, z którą prowadził samochód - cóż z tego, że na pustej drodze - wystarczyło, żeby spowodować wypadek.

Wypadek, który doprowadził Lilkę do tego ciemnego pokoju, dzielonego z dwiema małymi dziewczynkami - jedna

61 • .^K

z nich miała na imię prawie tak samo jak ona - Lidia (czyli też Lilka). Pani Marta, lekarka, wzywała je na ćwiczenia, wołając: „duża Lila” albo „mała Lila”.

„Mała Lila” miała śmieszne, cieniutkie warkoczyki, które splatały jej panie pielęgniarki (rozpływając się nad „malutką księżniczką”, która tak wspaniale i cierpliwie dawała się czesać). Jej mama przyjechała tylko raz, siedmioletnia Lidka była najstarsza z czworga rodzeństwa. Pół roku wcześniej została ciężko poparzona. Wylała na siebie cały gar rosółu. Leczenie, które zastosowano, nie wystarczyło - jak sama mówiła - w niewielkim podhalańskim szpitalu „skopali sprawę”. Na szyi i na rękach miała szpecące, grube blizny. Rączki nie zginały się tak, jak trzeba. Śliczna główka była cały czas przechylona w bok. Poparzona szyjka skręcała się w jedną stronę.

Co dzień rano panie pielęgniarki wkładały małej Lilce specjalne ubranko - zapobiegające dalszemu narastaniu blizn - czarne i ciasne. Czasami sprawiało ból.

„Mała Lilka” bardzo starała się nie płakać. Wcale.

„Duża Lilka”, sama zaskoczona tym faktem, znów nader często znajdowała samą siebie pogrążoną bez reszty w fascynujących grach typu „wojna” czy „makao”. Wszystko, żeby wywołać uśmiech na małej, chudej buzi.

Powoli, niepostrzeżenie, role odwróciły się na tyle, żeby Lilka zauważyła, że sama stara się dla „małej Liii” zrobić to, co bezskutecznie próbował dla niej zrobić Bartek. A nawet mały Filip.

Powoli Lila poczuła się jak najważniejsza przyjaciółka. Prawie starsza siostra.

Czytała małej bajki, śmiały się, żartowały, kibicowała dziewczynce w ćwiczeniach.

%ΦJI 62

Wieczorami rozmawiały o domach.

— Byłam z babcią — opowiadała „mała Lilka”. — Wszyscy byliśmy.

Mama poszła w pole. Gabrysia płakała, spadła z huśtawki. Babcia przykładała jej kompres, ja też chciałam pomóc, jak Gaba spadła, babcia akurat nalewała zupę, Kaśka była już głodna i ja trochę też. Pomyślałam, że zrobię to sama. Zleciałam ze stołka, no i się wylało. Kaśkę też poparzyło, ale tylko w rękę, wsadziła sobie od razu do miski. Wiesz, moja mama złości się na babcię cały czas. Nie rozmawiają ze sobą. A babcia płacze. No i modli się.

— Nie martw się, przejdzie jej. Moja mama już się nie złości na wujka -

pocieszyła ją Lila i przedstawiła historię swojego wypadku. - Na samym początku była wściekła, ale teraz już nie. Pomagają sobie. Ciotka przesłała mamie całą górę pieczarek, z czego się mama bardzo ucieszyła, bo do pizzerii są potrzebne. A mama przesłała cioci naszą babcię do pomocy przy bliźniakach, jak wujek był w szpitalu, a jego mama nie dawała rady. Wiesz, tak teraz sobie myślę, że ten nieszczęsny wypadek zrobił coś dobrego - niektóre osoby z rodziny zaprzyjaźniły się ze sobą. Moja mama z Roną, na przykład. Chociaż się różnią jak ogień i woda. Ale gadają ze sobą godzinami.

— Fiona jest piękna — wyszeptała z zachwytem „mała Lila”. -Jak prawdziwa księżniczka.

-Jeden doktor też tak uważa - zachichotała Lilka i u-gryzła się w język. Ups. Chyba przez tę szpitalną atmosferę sama zrobiła się zbyt wylewna. To miejsce dziwnie skłaniało do zwierzeń.

— A u mnie wszyscy się kłócą. Kłócą i krzyczą - posmutniała mała. - Pewnie dlatego, że btakuje pieniążków, wciąż i wciąż. Tatuś jest na rencie, gospodarkę prowadzą mama i wujek, to znaczy jej brat. Z wujkiem też się kłócą. Wujek mówi, że za chwilę rąbnie tym wszystkim i ucieknie do miasta. Ja nie chcę, żeby on uciekał. Kto go wtedy dogoni? A on jest miły. Zabierał nas w pole, jeździłam na sianie.

- A Filip na kroplówkach - przypomniała sobie „duża Lila”. - Ludzie, jak widać, jeżdżą na dziwnych rzeczach. Zagramy?

Ogrom smutków przerastał czasem i przytłaczał. Lepiej było pograć sobie po prostu w makao.

Wieczorami zapalała sobie małą lampkę i pisała, dopóki pielęgniarki nie

kazały spać. Fioletowy zeszytek zapełniał się powoli. Zaczęła też wklejać do niego ważniejsze listy. W tym jednym, najważniejszym, na który wciąż zresztą nie odpowiedziała, pisał jej dawny przyjaciel, Damian:

Cześć, Lilka!

Pusto w tym Mielcu bez Ciebie, wiesz? Jesień, jak na złość, piękna i kolorowa - mama wysłała mnie bez przerwy do parku z chłopakami. Siadam sobie na ławce, czytam książki i pilnuję urwisów, choć tak sobie mi idzie to pilnowanie. Michał spadł z drabinek i podrapał sobie nos, wygląda teraz jak mały Indianin. Oczywiście ochrzan za ten stan rzeczy dostałem ja. Mam za nim biegać po drabinkach czy jak? Zbierałem wczoraj kasztany, strasznie ich dużo tego roku, może dlatego, że nagle zrobiło się zimno i nie chce się rano wychodzić tym wszystkim babciom, które zbierają ich całe torby i wkładają do tapczanów. Podobno to pomaga na reumatyzm. Też nazbierałem całą torbę i podzieliłem sprawiedliwie -pół dla mojej babci, pół dla Twojej. Ucieszyła się — a ja cały czas myślałem o tym, jak w zeszłym roku zbieraliśmy te kasztany razem. Ułożyłaś potem piosenkę o kasztanach, pamiętasz? Ja pamiętam każde słowo.

Buda jak buda — bez rewelacji, ale też nie najgorzej. Siedzę z Konradem, Maciek poszedł do szkoły na Borku. Konrad jest OK. Strasznie nam dużo zadają do domu, wściekli się. Z anglika baba piłuje jak diabli, męczę się nad tym jak potępieniec - ale dla Ciebie to by pewnie była pestka. Kaśka twardo trzymała dla Ciebie miejsce w swojej ławce, ale w końcu dosadzili jej taką jedną Ewę, z Bobowej. Z pryszczami. Najczęściej wracamy z Kaśką razem po szkole przez wiadukt. Dużo gadamy, przede wszystkim o Tobie. Napisz, co u Ciebie. Do Kaśki napisałaś już trzy razy, myślisz, że

nie wiem? A ja sobie tak stoję na tym wiadukcie i liczę czerwone lokomotywy. Wymyśliłem nawet taką wróżbę -jeśli któregoś dnia przejadą trzy czerwone, jedna po drugiej, to znaczy, że niedługo przyjedziesz Ty. Wczoraj udało misie upolować dwie. Wciąż za mało.

Przesyłam Ci liście z naszego drzewa, tego w parku - niestety zaszuszyły się tak sobie, wcześniej miały odjazdowy kolor. I kasztana.

Czy ułożyłaś Jakąś nową piosenkę? Chodzę do Domu Kultury na gitarę - idzie mi już całkiem, całkiem. Kaśka mówi, że jeszcze miesiąc, dwa - i będę mógł grać nawet na koncertach. Ona też chodzi na muzykę, tyle że na klawisze.

Tak bym chciał, żebyś zdążyła na nasz pierwszy występ.

Pozdrawiam. Pisz koniecznie! Damian

Wkleiła do zeszytu zapisane szpiczastym, chłopięcym pismem kartki oraz dwa zaszuszone, pokruszone już nieco liście kasztanowca. Zaglądała do nich często, wdychając nieuchwytny już niemal zapach mieleckiego parku i jesieni.

I ciągle nie mogła się zebrać, żeby coś odpisać.

Zwyczajnie nie miała nic mądrego do powiedzenia. Przecież nic z tego, co zaprzętało jej myśli — nie mówiąc już o uczuciach - nie mogło być dla Damiana interesujące. Ani podnoszące na duchu.

Niech już lepiej występuje sobie razem z Kaśką.

No właśnie.

Trudna decyzja

Testy wypadły wcale nie najgorzej. Jeszcze lepiej szła dalsza nauka - poza chwilami spędzonymi z „małą Lila” nie miała przecież nic innego do roboty. Poznała kilka nowych osób, ale nie zaprzyjaźniła się już więcej z



nikim.

•'л •

' 66

-S9-:

Bartek się nie odezwał. Bolało. Najpierw starała się o tym nie myśleć, potem — pozwoliła sobie na kilka luźnych wieczornych refleksji, zanotowanych starannie w zamykanym zeszycie. W końcu napisała długą, nostalgiczną baśń o elfach - Nai Złocistej i Elyu Srebrzystym, którzy spotkali się w Krainie Mroku. Baśń była pełna napięcia oraz zwrotów akcji i kończyła się dramatycznym rozstaniem bohaterów. WBREW ich woli. I, oczywiście, z obietnicą ponownego spotkania MIMO PRZECIWNOCI. W jakiś sposób pomogło jej to ochłonać i wygasić niepotrzebne emocje. Po kilku dniach stwierdziła, że naprawdę interesuje ją materiał, który sympatyczna nauczycielka zadawała jej do przerobienia.

Nauczycielka chwaliła Lilkę bardzo, a jej pochwały sprawiały przyjemność.

Ćwiczenia były wciąż wyczerpujące, ale Lilka z zadowoleniem zauważyła, że robi postępy. Odzyskiwała sprawność. Jej organizm dalej nie działał, jak należy, ale wszystko zmierzało ku lepszemu.

Nieuchronnie zbliżał się dzień wypisu ze szpitala. I wtedy właśnie okazało się, że nie wiadomo, co z nią dalej będzie.

- Państwa córka musi pozostać pod opieką specjalisty - podsumował rodzinną konferencję doktor Marek, przebywając pod dachem Fiony częściowo służbowo, a częściowo prywatnie, z czego zresztą rodzina nie zdawała sobie sprawy. Widzieli w nim jedynie ujmującego, przejętego swoją rolą profesjonalistę, który zajmował się młodocianą pacjentką do

tego stopnia, że nie odmówił udziału w spotkaniu na szczycie. Poza terenem szpitala. — To był poważny uraz wielonarządowy, jak państwo wiedzą, konieczna była resekcja... to znaczy, wycięcie - poprawił się pod wpływem przeszywającego spojrzenia niedbale wspartej o parapet Fiony, które oznaczało „po polsku, proszę!” - ...śledziony, zszycie prawego płata wątroby, stabilizacja... - tu rzucił w stronę Fiony przeproszające spojrzenie, naprawdę nie potrafił tego powiedzieć inaczej - ...miednicy, leczenie złamań, w tym j jednego skomplikowanego...

„Sam jesteś' skomplikowany” - przemknęło przez głowę Fiony, trochę nie na temat. Ale to prawda, ostatnio Marek stał się jej największym życiowym strapieniem. Ujmujący, dowcipny, szczery. Równocześnie wprost przeraźliwie pedantyczny i odpowiedzialny.

Dotychczas Fiona unikała jak zarazy ludzi z przerostem odpowiedzialności. Nudzili ją śmiertelnie. Po prostu.

Ale Marek był... uroczy. Przyciągał ją jak magnes i jak magnes odpychał. Dwie strony tego samego zjawiska.

To dopiero problem.

Zorientowała się nagle, że cała rodzina, wraz z obiektem zaprzatającym jej myśli, patrzy na nią wyczekująco.

- No jasne - rzuciła na chybił trafił. - To przecież oczywiste.

- Felusiu, naprawdę? Nie będzie to dla ciebie kłopot? Sama nie wiem... - dukąla niepewnie Halina. -To przecież duża odpowiedzialność, Lilka jest w trudnym wieku...

- Jeszcze nie mamy pewności, czy sama się zgodzi. Ale skoro ty tak uważasz... Ona cię bardzo, bardzo polubiła. - Marian, który w przeszłości

był zmorą jej dzieciństwa, nadętym kujonem nader często stawianym przez rodziców za wzór, a który okazał się nadspodziewanie sympatycznym, lekko zdominowanym przez swoją żonę facecikiem, rzucił

■ L

się do niej i ku jej zdumieniu uściskał ją serdecznie. I ucałował w oba policzki. - W każdym razie, bardzo ci dziękuję za twoją propozycję. Oczywiście, finansowo Lilka nie będzie dla ciebie ciężarem, zadbamy o to. Mam nadzieję, że się dogadacie. Jeśli, oczywiście, ona wyrazi zgodę. Jeśli nie

- poszukamy innego rozwiązania.

- Dziękujemy, Felusiu - dołączyła babcia. - Zawsze uważałam cię za postrzeloną kozę, ale wiedziałam, że można na ciebie liczyć.

Fiona rzuciła spłoszone spojrzenie na doktora Marka. Stał przy stole z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

„Postrzelona koza” - też coś! „Felusia” - jeszcze lepiej.

Na kochaną rodzinę zawsze można liczyć.

Ale ważniejsza była inna sprawa: do Fiony właśnie dotarło, że chyba podjęła, w imieniu wszystkich, jakąś ważną decyzję.

Na szczęście miała podzielną uwagę i, chociaż już po fakcie, zastanawiała się krótko. Zrozumiała.

- Czyli Lilka, jeśli się zgodzi, pozostaje ze mną z uwagi na częste kontrole w szpitalu — podsumowała.

- Oraz dalszą rehabilitację - wtrącił Marek.

- I rehabilitację. Na jak długo?

- Do czerwca, tak przynajmniej przed chwilą ustaliliśmy.

- Babcia spojrzała na nią ze zdumieniem. Chwilę później przeniosła

spojrzenie na doktora Marka i w oku jej błysnęło.

- Do końca roku szkolnego. W porządku. - Fiona łudziła się, że się jej przywidziało, ale postanowiła na wszelki wypadek nie ulegać dalszym rozproszeniom. Dostać się pod uważną obserwację kochanej babuni to nie było coś, czego teraz by sobie życzyła. - Przypuszczam, że bierzecie 69 •\*» .

¶\_y ' .

pod uwagę fakt, że może to wszystko potrwać trochę dłużej. Ja osobis'cie nie mam nic przeciwko temu.

Właśnie tak. Powinna robić wrażenie dokładnej, uważnej i wspaniałomyślnej.

Nawet jeśli oznaczało to wzięcie na wychowanie trzynastoletniej, doświadczonej przez los dziewczynki. Matko święta!

- Oczywiście, trzeba będzie zapisać Lilkę do jakiejś dobrej szkoły - powiedziała dzielnie. - Możecie to spokojnie zostawić w moich rękach. Mam plan - dodała siłą rozpędu, uniesiona nową rolą jedyne oparcia zmartwionej rodziny.

Po sekundzie dopiero uświadomiła sobie, że to szczerą prawdą. Miała plan. A Marek patrzył na nią z wyraźnym uznaniem.

■

Nauczycielka z oddziału wystawiła jej doskonałą opinię. Tak świetną, że w połączeniu ze znakomicie zdanymi testami kompetencji, które Lilka zaliczyła na koniec szóstej klasy, dawała jej spokojnie przepustkę do jednego z najlepszych gimnazjów w Krakowie.

Zresztą, do takiego właśnie gimnazjum, sama o tym nie wiedząc, została wkręcona metodą odrobinę niestandardową.

- Cześć, stary profesorku! - rzuciła w telefon beztrąsko rozparta na kanapie Fiona. Wiedziała, co usłyszy.

- Tylko nie stary! - oburzył się w słuchawce jej dawny wychowawca, obecny przyjaciel i dyrektor renomowanej szkoły. — Może i siwy, ale na pewno nie stary! Sporą część tej siwizny przypisuję zresztą twoim niewinnym, młodzieńczym wybrykom, kochana Fiono. Co słysząc tym razem? Chcesz się przysłużyć jakimś młodym talentom? Mamy w szkole ze

■\$>•':»

dwa obiecujące zespoły muzyczne, zamierzałem do ciebie zresztą zadzwonić w tej sprawie.

- Widzisz, jak świetnie się składa? Już nie musisz dzwonić. Daj mi te zespoły, nie ma problemu. Obejrzy się. Tylko błagam, nie przysyłaj nic, co jedynie charczy i opluwa mikrofon, jak ten wyleniały brodac z drugiej „e”. Już myślałam, że mi każą po nim w studiu podłogę wycierać. Ale tym razem dzwonię w innej sprawie: otóż mam dla ciebie szalenie utalentowaną, młodą uczennicę. Do pierwszej gimnazjalnej. Interesuje się geografią oraz, całkiem ostatnio - również medycyną. Kompetencyjne zdała celująco. Zna angielski.

- Zwariowałaś? Przecież ja nie pracuję w gimnazjum, tylko w liceum!

- Macie przecież jakieś tam klasy patronackie. Czytałam twoje przechwałki w gazecie.

- Patronackie! To znaczy, że wcale nie u nas, tylko w innej szkole, po przeciwnej stronie ulicy!

- Też mi wielkie halo, odległość ulicy - zlekceważyła Fio-na. - Czyli ściśle współpracujecie z tamtą szkołą, prawda? Dyrektora znasz?

- Pewnie, że znam. Jak inaczej moglibyśmy współpracować? To zresztą pani dyrektor, nie pan.

- Sam widzisz. Skoro pani, to jeszcze lepiej, wciąż wywierasz na kobiety nieprzeparty wpływ. No, to bardzo cię proszę, wkręć mi młodą do tamtej szkoły. Do jednej z tych klas pod twoim patronatem.

- Obawiam się, że w takich klasach mają straszne obłożenie.

- Spodziewam się. Wszak wasza sława sięga wzdłuż i wszerz - podlizwała się Fiona. - Nie wygłupiaj się, dla jednej niedużej dziewczynki po ciężkim wypadku znajdzie się przecież miejsce w jakiejś klasie. Macie ich trzy.

- Po wypadku? - przeraził się dyrektor. - O matko, wiedziałem, że jak coś od ciebie, to musi być w tym jakiś haczyk... Błagam, nie przysyłaj mi niepełnosprawnych, tam nie ma warunków. To nie jest szkoła integracyjna.

- Ona jest doskonale zintegrowana, nie bój się. I porusza się całkiem sprawnie, coraz lepiej. To dziecko mojego kuzyna Mariana. Z Mielca.

- Perfekcyjny Maniusz? - Dyrektor przypomniał sobie to i owo z młodzieńczych dyskusji z jego pierwszą, prowadzoną samodzielnie klasą. To było dawno, ale znał ich wtedy naprawdę dobrze. I pamiętał. Być może lepiej niż jakąkolwiek inną klasę później. Intensywność pierwszego razu.

- Zgadza się. Perfekcyjny Maniusz wysłał swoją pierworodną córeczkę na perfekcyjnie zaplanowane wakacje do jednego ze swoich równie perfekcyjnych szwagrów, a ten kretyn, wioząc dziecko w deszczu i po nocy, perfekcyjnie przyfanzolił w słup. Przy prędkości sto dwadzieścia kilometrów na godzinę. Cud, że oboje żyją.

- Cud - przyświadczył dyrektor. - I co, chcesz, żebym osobiście zarekomendował ci ten cud w gimnazjum numer dwa? A twój perfekcyjny

kuzynek co? Przeprowadził się do Krakowa?

- Nie, skąd. Tylko młoda powinna zostać pod opieką lekarzy. Dojeżdżanie z Mielca mogłoby być trochę kłopotliwe.

- Czyli? Gdzie ona będzie mieszkać, ta dziewczyna?

- Jak to gdzie? U mnie!

- O rany boskie - jęknął dyro. - Fiona, uwielbiam cię, wyrosła z ciebie fantastyczna baba, ale, moinł skromnym

■&°: \*

zdaniem, nadajesz się do wychowywania nastolatek jak ja do precyzyjnego cerowania skarpetek. To znaczy — w ogóle.

- No widzisz. Nie masz wyjścia - roześmiała się Fiona. - Ktoś przecież musi wychowywać zabłąkane dziecko. Wy się do tego nadajecie po prostu znakomicie. Wszystko, do czego przykładasz rękę, wychodzi rewelacyjnie.

- Boże, Boże - dobiegło ze słuchawki. - Co ja z tobą mam, lizusico wstrętna. Czy ona... czy ta dziewczynka, moja droga Fiono, jest chociażby troszkę podobna do ciebie?

- Do mnie? Skąd! Prędeż do swojego perfekcyjnego tatusia - przyznała Fiona. - Może trochę fizycznie. Takie same skośne oczy. Ale nic poza tym.

- Przekonałaś mnie - oświadczył jej dawny wychowawca. - No, to widzę was w poniedziałek w gabinecie. Z papierami. Jeśli będą w porządku, może się znajdzie jakieś rozwiązanie.

- Żadne „może” - rzuciła Fiona. - Będą w porządku i musi się znaleźć.

Odpowiadam za dziewczynę i życzę sobie powierzyć ją tobie. W ogóle nie dopuszczam innej możliwości.

Lilka przewracała się z boku na bok i nie mogła zasnąć. Jak to? Więc tak po prostu nie wróci do domu? Do własnego, błękitnego fotela, kotów,

żółwia, książek?

Do Kaśki, Basi, Damiana?

Do małych, kłócących się wiecznie ze sobą siostrzyczek, rysujących po ścianach słońca i kaktusy? Wpisujących się niepostrzeżenie w zeszyt lektur, smarujących rudowłose głowonogi w podręcznikach do ukochanej geografii?

Do wieczornych, burzliwych dyskusji przy stole, podczas których omawiano najważniejsze sprawy - czy to do-

o i

73 \°w

tyczące porządku w pokoju, czy też problemów globalizacji, schyłku cywilizacji, przeczytanej świeżo przez tatusia książki, ostatniego wybryku niesfornej Michaeli, czy też rosnącej ceny jabłek i koperku. Dyskusji, w której każdy, nawet Jagódka, mógł zabrać głos i każdy głos był brany pod uwagę.

Słuchali się wzajemnie. Liczyli ze sobą - niezależnie, czy ktoś miał lat cztery - jak Klusia, czy czterdzieści - jak tatuś. To na pewno stanowiło podstawę jej rodziny.

Dlatego też tym razem również Lilka mogła po prostu odmówić.

Oznaczałoby to konieczność bywania w Krakowie niemal co chwilę.

Niektóre ćwiczenia i zabiegi można było, zapewne, wykonywać w Mielcu, ale rodzice niechętnie przychylali się do tego rozwiązania. Lekarze z Krakowa po prostu dobrze znali jej przypadek.

A przypadek Lilki od samego początku był bardzo skomplikowany. Sam doktor Marek tak powiedział.

Lilka cichutko i dyskretnie poszłochała trochę w poduszkę. Wcale nie



chciała być skomplikowanym przypadkiem. Chciała wracać z Kaśką ze szkoły na Starówce, zatrzymywać się przy wiadukcie, gadać, leniwie patrząc na przejeżdżające pociągi, chodzić z siostrzyczkami na spacer do parku, na lody do cukierni przy Domu Kultury.

Chciała być - tak jak do tej pory - jedną z nich.

Wypadek wszystko zmienił. Nigdy już nie będzie „jedną z nich”.

Musi uważać na zimno, na dietę. Lody - na chwilę obecną - prawdopodobnie w ogóle nie wchodzi w grę.

Zresztą jest zimno. Koniec listopada.

Do połowy czerwca - siedem miesięcy.

■&': \*

Dobrze wie, że wyjazdy do Krakowa oznaczałyby niekończące się wydatki i dezorganizację życia rodzinnego. To mama musiałaby z nią jechać, to tata.

Tu, w Krakowie, będzie na miejscu, pod opieką tej dziwnej, zwariowanej, ale skądinąd sympatycznej Fiony.

Tylko siedem miesięcy.

Może jakoś, mimo wszystko, wytrzyma?

W Mielcu, skulona pod identycznym, błękitnym kocem w paski, leżała Halina. Popłakała sobie w spokoju przez pięć minut. Cichutko, tak jak zazwyczaj płaczą mamy. Żeby nikt nie widział. Jasne światło latarni wpadało przez uchylone okno. Żółw, nie wiadomo dlaczego rozbudzony, wyciągał ku światłu lewą tylną łapę.

Halina pociągnęła nosem i westchnęła ciężko. Dobrze znała swoje najstarsze dziecko, dzielną, odpowiedzialną, uważną córeczkę - i wiedziała, jaką decyzję podejmie. Mimo wszystko.

Tęskniła za nią okropnie.

I ona, i zółw jakoś nie mogli spać tej nocy.

■

Witaj,, rodzinko!

Dwa dni później przyjechali po Lilkę wszyscy — mama, tata, Fiona i nawet dziewczynki. Lilka, podtrzymywana przez tatę - wciąż niezbyt pewnie się czuła na własnych odnóżach - omal się nie przewróciła pod gradem uścisków i żywiołowych pocałunków. Kluseczka koniecznie chciała po dawnemu zawisnąć jej na szyi.

4\*      \*

Lila przykucnęła ostrożnie, śmiejąc się. Jak ta mała wyrosła! I schudła chyba troszkę. Wypiękniała.

Już nie dzidzius, ulubiona rodzinna maskotka. Po prostu dziewczynka o starannie przystrzyżonej, jasnej czuprynce. I w džinsach.

Misia też miała nową fryzurę, sztruksowe dzwony i zieloną bluzę z kapturem, w której Lilka bez trudu rozpoznała swój dawny, ulubiony ciuszek. Sama chodziła w tej bluzie przez pół podstawówki. To było tak niedawno!

A jednak - dawno. W tamtym innym życiu.

- Świetnie ci w tym kolorze - powiedziała do małej serdecznie.
- Też mi się podoba. - Miśka okręciła się na paluszkach.
- Babcia naszyła mi Cornelię na tę twoją plamę. Super, prawda?
- Super.
- Ja też jestem super, prawda? - podskoczyła Jagódka.
- Mam kurtkę księżniczkową! Też od babci!

Babcia wykazywała nieskończoną cierpliwość do wyszukiwania po

lumpeksach specjalnych okazji ku nieskrywanemu zadowoleniu matki trzech dziewczynek. A kurtka była rzeczywiście księżniczkową - złocista, z futerkiem i orientalnym haftem na kieszeniach.

- Dziewczynki, puście Lilę i pozwólcie jej wstać. Pojedziemy do Fiony, tam będzie czas na przytulania i podziwianie strojów. Wyjdźmy w końcu z tego szpitala. - Mama wydawała energiczne dyspozycje. - Marian, wołaj -windę. Mam tego miejsca już powyżej uszu, Lila pewnie też. Zmiatajmy stąd, proszę.

- Winda, winda, winda! - rozdarły się, zaśmiewając do rozpuku, obie smarkule. - Wołamy windę!

■&°: \*

Winda zawsze i wszędzie stanowiła nie lada atrakcję. Ich mieleckie mieszkanie mieściło się na parterze i dziewczynki nie miały z windami zbyt wiele do czynienia.

W windzie natknęły się znowu na doktora Marka z plikiem dokumentacji i zdjęć rentgenowskich, zwiniętych w zgrabne ruloniki.

- Czyli Lila zostaje w Krakowie, prawda? - upewnił się. - W takim razie widzimy się za dziesięć dni w gabinecie u pani ordynator. Zresztą spotkamy się u Felicji jeszcze dziś i ustalimy dokładnie, co i jak. Pewnie będziesz chciała na chwilę pojechać do domu. - Uśmiech przemknął przez jego zmęczoną twarz. Lilka tylko pokiwała głową.

Ciekawe, że doktor Marek mówił po prostu „Felicja”. W jego ustach znienawidzone przez właścicielkę staroświeckie imię brzmiało miło i melodyjnie, i może właśnie dlatego Fiona tym razem nie wściekała się.

-Jak to zostaje w Krakowie! - oburzyła się Miśka, zwisając z ulubionej kanapy Fiony głową w dół. Nogi zarzuciła na oparcie.

- Michaela! Siedź proszę jak człowiek! - zwróciła jej uwagę mama.

- Zawsze jak was pytam o coś ważnego, to wy do mnie o człowieku - mruknęła Misia, powracając jednak do bardziej naturalnej pozycji. -

„Siedź jak człowiek”, „mów jak człowiek” albo „ubierz się wreszcie jak człowiek!”. A ja chcę wiedzieć jak człowiek, czy naprawdę Lilka tu zostaje? Dlaczego?

- Musi pozostać pod opieką lekarzy — wyjaśniła po raz pięćdziesiąty mama.

- Ale ja tak czekałam!

- I ja, i ja! - dodała Kluseczka. - Ja też czekałam!

Lilka, mimo powziętej decyzji, zdecydowanie miała dziś oczy na mokrym miejscu. Pociągając dyskretnie nosem, zasiadła na kanapie między siostrzyczkami.

- Też czekałam - przyznała cicho. - Ale tak trzeba. Wtuliła nos w jasne kędziorki Jagódki. Pachniały miło

szamponem rumiankowym. Misia przytuliła się z drugiej strony i s'cisnęła Lilkę za rękę, mocno, porozumiewawczo.

- Opowiedz nam o babci i o drutach - zadysponowała Jagódka po chwili milczenia. To był ich prywatny wariant bajki o Czerwonym Kapturku. Wersja feministyczna. Różniła się od oryginału przebiegiem wydarzeń po połknięciu Czerwonego Kapturka przez wilka.

- Wpadł Kapturek do brzucha, w ciemności zamrugał oczami - zaczęła powoli, pominawszy przydługi wstęp.

- Ale potem zaczął widzieć! Troszeczkę! - nie wytrzymała Miśka.

- Bo mu się oczy przyzwyczaiły - uzupełniła tonem czteroletniego eksperta Klusia, wielbicielka serialu Było sobie życie. - Patrzy, a tam babcia siedzi

na wątrobie i robi na drutach.

- Nie może siedzieć na wątrobie, bo wpadła do żołądka - sprostowała Misia. - Wątroba nie jest w żołądku.

- Nader słuszna uwaga - mruknął doktor Marek, zaproszony przez rodzinę na dziękczynny obiad. Przybył dosłownie przed chwileczką i jak to chirurg, rozpoczął wizytę od starannego umycia rąk. Stał w progu łazienki z ręcznikiem w dłoniach i patrzył na trzy siostrzane główki, przytulone do siebie na kanapie. W oczach miał dziwne rozczulenie.

- No to na dwunastnicy - machnęła ręką Kluska, co sprawiło, że lekarz spojrział na nią z rosnącym uznaniem.

- „Co robisz, babciu?”. „Szalik - odparła babcia, rażno machając drutami. - Bo strasznie tu zimno. Wiatry wieją. I w ogóle wilgoć w powietrzu”.

„Mam pomysł” — powiedział Czerwony Kapturek. Zabrał babci druty i ukłuł wilka w brzuch. „Wilku, wilku!!!” „Co tam?”- burknął wilk, który właśnie zamierzał przewrócić się na drugi bok i obejrzeć w telewizji Taniec z gwiazdami. „Wilku, czy byłbyś łaskaw zeżreć jeszcze narzutę z fotela? - spytał uprzejmie Czerwony Kapturek. - Babci ciągnie po nogach”.

„Nie!” - warknął i próbował ułożyć się wygodniej, ale w brzuchu ciągle go coś kłuło. „Co wy tam wyprawiacie?” „Przetrzymywanie więźniów w złych warunkach jest niezgodne z Konwencją Międzynarodową! Zjadaj kocyk! Tylko go nie pogryź, bo to pamiątka rodzinna!” - dobiegło z brzucha. Czerwony Kapturek używał naprawdę ostrych argumentów. To znaczy, głównie drutów. W końcu wilk poddał się i zjadł narzutę.

„Dziękujemy!” - rozległo się z trzewi i klucie ustało. „Wilku!”

- rozległo się znowu po dziesięciu minutach. „Co! - zirytował się wilk. - Dlaczego jeszcze marudzicie, zamiast przekształcić się w pokarm,

pożywny i płynny?" - zainteresował się nagle. „Pewnie dlatego, że nie trawisz starych bab, sam mówiłeś. Wrzaskliwych nastolatków pewnie też nie trawisz"

- wyjaśnił mu pogodnie głos z wnętrza. „Wilku, na drugiej półce po lewej w przedpokoju jest latarka. Połknij ją, proszę! Babci oczy już wysiadają w kiepskim oświetleniu". „I bardzo dobrze" - rzucił mściwie wilk. Ale klucie w głębi stawało się nieznośne. Więc wilk, chcąc nie chcąc, połknął też latarkę.

- „Wilku! - zawołała Miśka, zaśmiewając się do rozpuku.

- Wilku, a nie napiłbyś się przypadkiem soku pomidorowego? Tylko proszę, przegryź najpierw parasolką z kąta koło drzwi. Do soczku bądź łaskaw dołączyć szklaneczki".

79 П<^.

- Państwa córeczki mają naprawdę bujną wyobraźnię -zauważył doktor Marek, o wiele bardziej zasłuchany w opowieść z kanapy niż w dyskusję przy rodzinnym stole. Mama uśmiechnęła się nie bez dumy.

- To nasza Lila. Pięknie opowiada, maluje, pisze wiersze. W podstawówce wygrywała wszystkie konkursy na opowiadania. Swoją drogą, przy siostrach ma niezłą praktykę.

- Wdała się w ciebie, Halinko - rzekł ciepło tato. - Sam z przyjemnością słucham twoich opowieści.

Z kanapy dobiegały salwy perlistego śmiechu, a biedny wilk pożerał kolejne sztuki odzieży oraz drobnych przedmiotów codziennego użytku, kończąc na sprzęcie RTV i AGD. Wreszcie, zdesperowany, zadzwonił do gajowego i zażądał natychmiastowej interwencji.

- „Panie - denerwował się wilk głosem Lilki. - Panie, jak przyjadę, kiedy

mi tu kable spod ogona wystają? Jakie kable? A różne, od farelki po kuchenkę mikrofalową... Te baby są koszarne, już mi bokiem wychodzą. Aaaaa!"

- Przybył gajowy i zadzwonił po pogotowie ratunkowe.

- Miśka beztrąsko wprowadziła nowy wątek. -1 pogotowie przyjechało migiem. Po godzinie.

- Z doktorem - podjęła Lilka.

- No, z doktorem Markiem. On jest taki piękny! - zachwyciła się Misia, istota kobieca, zapomniawszy o tym, że obiekt jej zachwyty, mile poruszony, siedzi nieopodal.

- A doktor zrobił sekcję.

- Najpierw resekcję - podchwyciła Lilka ze śmiechem.

- Najpierw resekcję, a na końcu sekcję - zgodziła się Miśka. - I wszyscy żyli długo i szczęśliwie, tylko mikrofalówka przerdzewiała od wilgoci.

- Bo jej zaszkodził sok. Pomidorowy.

- I żołądkowy. Z wątroby.

- Głupia jesteś, po prostu żołądkowy, bo one były w żołądku. W wątrobie jest sok wątrobowy.

- A w dwunastnicy dwunastnicowy.

- A w płucach płucowy. A w uszach jest wata.

- "Włosy są. Wujek ma, takie długie.

- Wujek ma w nosie.

- Wujek ma wszystko w nosie, tak mówiła ciocia.

- A, to zależy, który wujek - podsumowała Miśka. - Niektórzy wujkowie mają wszystko w nosie, a niektórzy nie. Doktor Marek by nie miał. On jest cudowny.

- Cudowny - przyświadczyła z zachwytem Kluseczka.

- Mógłby zostać naszym wujkiem. Pasuje. Mama ma rację, Fiona powinna z nim wziąć ślub - zawyrokowała, dowodząc, że śpiące na tylnym siedzeniu samochodu ośmiolatki mają uszy jak radary i niejedno słyszą. Przy stole rozległ się hałas i nagły brzęk talerzy.

- Hm, hm, więc co to ja mówiłem? - zastanowił się głośno tata. - O, przepraszam, trochę sosu mi się wylało... Felu-niu, ten talerzyk, który upuściłaś, niestety chyba pękł.

Fiona, bardzo czerwona, wynurzyła się wreszcie spod stołu.

- Niestety, sama widzę. Szkoda, to był talerz po babci. Miałam takie dwa. Niech to szlag! - zirytowana potrząsnęła głową.

- Ale popatrz, on pękł na dwie połowy. Spokojnie nadaje się do sklejenia, zostanie tylko niewielki, prawie niewidoczny ślad. A poza tym... w Mielcu mam dwa identyczne talerze, zapewne z tego samego starego serwisu - pocieszyła ją szybko mama. - Podeślę ci w przyszłym tygodniu, razem z Lila. Mam do tego jeszcze cukierniczkę, chcesz?

- Nie ma jak rodzinka - rzuciła półgębkiem Fiona i wreszcie odważyła się spojrzeć na swojego gościa. Siedział, swobodnie wsparty na łokciu. Oczy mu się śmiały.

- Nie ma jak rodzinka - powtórzył. - Z rodzinką należy żyć w zgodzie, a czasem nawet słuchać dobrych rad. Sam ci mogę skleić ten talerzyk. Nie uwierzysz, ale wykazuję całkiem spore zdolności manualne.

- Uwierzę, uwierzę - mruknęła Fiona. - Człowiek, który niedawno składał potrzebne udo trzymiesięcznego niemowlaka, bez problemu poradzi sobie z głupim talerzykiem!

- Coś w tym stylu - zaśmiał się Marek, zaglądając jej w oczy.



Fiona, wbrew woli, znów zarumieniła się wdzięcznie, bo coś do niej dotarło.

Czy Marek, mówiąc o „dobrych radach”, miał na myśli wyłącznie sklejenie babcinego talerza?

Znad oparcia kanapy obserwowały ich trzy pary oczu, jasnych i rozbawionych, i Fiona stanowczo postanowiła pozostawić tę kwestię do rozstrzygnięcia na później.

Gość we własnym domu

- Nareszcie w domu! - Lilka stanęła w progu, wdychając jedyny na świecie swojski, domowy zapach mieleckiego mieszkania. Dominował w nim silnie koci wątek - cóż, cała rodzinka pojechała po nią do Krakowa i kuweta nie była sprzątna od trzech dni.

Kto by pomyślał, że przenikliwy koci smrodek może być najpiękniejszym zapachem na świecie?

■\$>•": «

A jednak.

Koty przybiegły natychmiast, wszędobylskie, ciekawskie, zaglądały do toreb, siatek i pakunków. Ten duży dał się wziąć na ręce i zamruczał. A ten mały - nie. Odwrócił się, prychnął i odbiegł w głąb mieszkania z zadartym buntowniczo ogonkiem.

Zresztą, wcale już nie był taki mały.

- Patrzcie no, hrabia Mietek znowu obrażony - zaśmiał się tato. - Bardzo się dąsał, jak wyjechałaś. Cały dzień leżał na koszu do prania na znak protestu. Teraz przez chwilę nie będzie chciał cię znać.

- Takie kocie fochy - zlekceważyła mama, obserwując kolejne ostrożne podejście Lilki do kotka i kolejny koci skok pod szafę. - Nie martw się, to

najlepszy znak, że cię pamięta i ciągle mu zależy. Jest ciekaw, co zrobisz.

Lilka zamruwała, było jej trochę przykro. Jej ulubiony kotek!

Za drzwiami sąsiadów histerycznie rozszczękała się Ciuf-cia. Zaraz zajrzała do nich ciocia Ewa z psinką w ramionach.

- Jak on wie, że już jesteście! Zawsze to wie! Ale tym razem oszalał z radości, mało ze skóry nie wyskoczył... To pewnie dlatego, że przyjechała jego ukochana pani.

Ciufcia rzeczywiście prawie wychodziła sama z siebie. Podskakiwała na pół metra jak malutka, kosmata piłeczka. Cieszyła się tak, że aż się posikała z tego szczęścia.

- No masz ci los - zawołała mama. - Ale emocje. A kto posprząta po tych emocjach? Oczywiście ja.

- Mam nowe biurko! Mam biurko! Chodź, zobacz moje nowe biurko! -

Miśka ciągnęła Lilkę wprost do ich dawnego, żółtego pokoju. - Zrobiłam tu trochę po swojemu — przy-

znała. - Ale to ci chyba nie przeszkadza, prawda? I tak... wyjeżdżasz.

Pokój dziewczynek zmienił się, to prawda. Lilka, zwłaszcza ze względu na swoją długą nieobecność, spodziewała się raczej podłogi przysypanej stertą klocków, lalek i zabawek, maskotek w każdym kącie i ogólnego bałaganu. Ten pokój był od zawsze terenem walki dwóch przeciwieństw: beztroskiego, zabałaganionego dzieciństwa małej Misi i bezskutecznych wysiłków Lilki, starającej się uzyskać kawałek przestrzeni sprzyjającej bardziej naukowemu klimatowi. Mogła się założyć, że pod jej nieobecność zabawki wzięły górę.

Zamiast tego zobaczyła dwa schludne biurka - jej stare, nieruszone - jeszcze z książką, którą czytała tuż przed wakacjami, z kartką znad morza

od Kaśki. I białe, lśniące nowością biurczko Michaeli. Na blacie siedziało - a jakże - pięć pluszowych miśków, nad nim wisiały przypięty kolorową pineską plan lekcji i kalendarz z koniem. Porządnie ułożone książki i zeszyty. Na półce nad biurkiem książki i kilka gier. Na łóżku lalka Ewelina. I to wszystko.

Nie było jej w domu od czterech miesięcy. Tylko tyle.

A jednak jakaś epoka skończyła się bezpowrotnie nie tylko dla niej.

Wyjeżdżając, zostawiała za sobą kolorowy bałagan, wprowadzany przez jej żywiołową, dziecinną siostrzyczkę, która z trudem gdzieś pomiędzy jedną a drugą zabawą znajdowała czas na rzucenie okiem na zadania pierwszoklasistki. Miśka do szkoły chodziła nawet ochoczo, ale popołudniami była wciąż małą dziewczynką, która najchętniej zdierała poduszki z kanapy i budowała bazę.

A teraz - Lilka wróciła do pokoju małej uczennicy, pilnej, przejętej i dumnej z siebie. Mis'ka wyjęła z szuflady kolorową teczkę i pokazała jej wszystkie prace z kółka plastycznego. I ostatni test z angielskiego, zaliczony na szóstkę. Zapisała się ponadto do szkolnej pracowni komputerowej, była tam najmłodsza, ale pani bardzo ją chwaliła. Już-już chciała pędzić do pokoju mamy i pokazywać, jakiego fajnego programu się uczy - graficznego, ale Lilka powstrzymała jej zapał na chwilę.

- Muszę to wszystko ogarnąć i odpocząć - wyjaśniła, obejmując jedną ręką młodszą siostrzyczkę, a drugą - szalejącego po kanapie psa. Pies podskoczył i polizał ją po policzku. - Przecież widzę, jak dużo się zmieniło. Tylko się nie posikaj!

- Ja? - zdziwiła się Miśka.

- Mówiłam do psa. Chodź, nie przywitałam się jeszcze z żółwiem.

- Dziewczynki! Idźcie umyć ręce, kolacja na stole! - zawołała mama, a do pokoju jak burza wpadła Kluseczka.

- Ten kot mnie podrapał - poskarżyła, taszcząc zrezygnowanego już kota jak kelner szmatę. - Wyrzuć go.

- Gdzie go mam wyrzucić? - zdziwiła się Lila. Klusia wręczyła jej zwierzątko.

- Do kosza. Albo na spacer - zdecydowała, wzruszając ramionami. - Ja by chciałam innego kotka. Małego. Białego. Żeby był prawidłowy.

Lilka parsknęła śmiechem, tuląc do siebie nieprawidłowego kota.

- Ja tam uważam, że ten jest najlepszy na świecie. Jak wszystko, co domowe.

- A ja by chciała białego i żeby był mój. Tylko mój i nikogo więcej. Będę mu obgryzała palce, żeby nie drapał.

«•;♦.-

Po kolacji Lilka miała zamiar wykonać parę telefonów, chociaż nie od razu. Najpierw zasiadła w swoim ulubionym fotelu - wciąż był błękitny, chociaż mama przykryła go miękką, włochatą narzutą w kolorze kremowym, co może pasowało bardziej do wystroju wnętrza, ale Lilce wydało się dziwaczne i nowe. Na szczęście żółw pozostał ten sam.

Urósł. Ale w jego bursztynowych oczach wciąż malowały się dawny spokój i niezmacona pogoda ducha.

Lilka oparła na chwilę czoło o chłodną szybę akwarium. Żółw spojrzał przyjaźnie, bez zdziwienia. Zeskoczył z wyspy i podpłynął, wyciągając szyję. Lilka udała, że przez szybkę łaskocze go w nos.

- Głodny jesteś? - spytała. Żółw leniwie obejrzał się za siebie. W wodzie pływały nasypane niedawno przez mamę kawałki gammarusa.

Ten zwierzak, jak zwykle, zdawał się rozumieć.

- Witamy w domu - powiedziała do siebie Lila w imieniu żółwika.

Podwinęła nogi pod siebie i z powrotem zapadła w ukochany fotel. Zaraz zadzwoni do Kaśki. A może najpierw - do Damiana?

Nie. Jednak do Kaśki.

Nie wiadomo dlaczego, ale tak wydaje się najbezpieczniej.

Przez jej umysł przeleciał, od dawna tam niedopuszczany, obraz Bartka.

Ciekawe, czy spotkają się kiedyś w tym Krakowie? Przypadki przecież się zdarzają, najdziwniejsze.

Zanim wydostała się z prywatnej krainy marzeń, zadzwonił telefon.

Mama przyniosła słuchawkę, oczy jej się śmiały.

- Twój wierny rycerz - szepnęła, marszcząc śmiesznie nos.

Zestawienie tego określenia z poprzednim tokiem myśli sprawiło, że Lilka zarumieniła się jak przyłapana na gorącym uczynku.

- Cześć — zaczęła niepewnie, cichutko.

- Cześć, Lilką! — Damian powitał ją entuzjastycznie.

- Widzisz, upolowałem ostatnio trzy lokomotywy - no i jesteś. Twoja babcia mi powiedziała. Nareszcie! Mogę wpaść? Mam ci tyle do opowiedzenia, nie na telefon, bo znów będzie mi ojciec marudził, że kable blokuję. Kiedy masz czas?

- Mam czas - odparła z pewnym wahaniem. - Ale dzisiaj... Dziś już trochę późno. Może jutro? Nawet rano.

- Rano idę do budy przecież. A ty? Kiedy do nas wracasz?

- Ja... wiesz, przyjdź po południu, pogadamy sobie -wykręciła się Lilka. - Możesz zaraz po szkole, będę w domu. To... dobranoc.

- Dobranoc. - Damian wydawał się trochę zaskoczony zwięzłością

rozmowy. Pomilczał jeszcze chwilę, po czym się rozłączył. Lilka spojrzała na żółwia, pokręciła głową. Wstała, odłożyła słuchawkę na widełki w przedpokoju.

Przechodząc przez przedpokój, zatrzymała się przed lustrem. Z lustra spojrzała na nią blada, chuda buzia o spłoszonym spojrzeniu. Wzruszyła ramionami i poszła do łazienki, skąd dobiegały piski i pluski. Mama kończyła kąpać obie Baby. Baby puszczały sobie wzajemnie w nos bańki mydlane.

- Pomóc ci jakoś, mamó? - zapytała cicho.

- Nie, skąd! - Mama spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Posiedź sobie, odpocznij. Umówiłaś się z przyjaciółmi? Jeśli Damian lub Kaśka chcą, mogą wstąpić na chwilę.

- Nie, nie trzeba. Z Damianem umówiłam się na jutro, po szkole. Do Kaśki... Do Kaśki zaraz zadzwonię. Albo może też - lepiej jutro. Zrobię ci herbaty.

- Jeśli możesz - uśmiechnęła się mama.

- Pewnie, że mogę. Strasznie dawno nie robiłam ci herbaty - powiedziała Lila i poszła do kuchni. - A wieczorna herbatka to coś, co tygrysy lubią najbardziej, czyż nie?

Baby domagały się usypiankowych opowieści. Wszystkie wtarabaniły się do łóżka rodziców - bo największe - i jedna przez drugą wymyślały zupełnie niestworzone, kosmiczne przygody.

W końcu usnęły.

Herbatka zdążyła już dobrze przestygnąć, ale kiedy Lilka usiadła wreszcie przy niej z rodzicami - i tak była to najpyszniejsza herbata na świecie.

Obudziła się z uczuciem, że coś ją przygniata. Jakieś kłaki łaskotały ją

prosto w nos. Po chwili wahania odważyła się uchylić powieki. Pierwsze, co ujrzała, to fragment rudego futra, otulający jej szyję jak kołnierz. Jak kołnierz z lisów, który babcia trzymała w swojej szafie, albo... jak czyjś ogon.

Nagle uświadomiła sobie, gdzie się znajduje, i roześmiała się. Bez wątpienia to BYŁ ogon. Ciufcia spała obok, po dawnemu rozparta wygodnie na poduszce. Nieopodal, wtulony w zagłębienie utworzone przez jej własne ramię, drzemał starszy kot. Otworzył jedno oko i zaraz je zamknął, jakby chciał powiedzieć: „To jakaś chora pora. Spij”.

Spróbowała poruszyć nogami, na których też czuła słodki ciężar. Aha! Młodszy kotek przeprosił się już nieco, ale tylko troszkę i na znak lekkiej urazy ulokował się co prawda na niej, a jakże, ale z daleka - w okolicach nóg.

Cały zwierzyniec rozpierzchł się nagle, powarkując i po-miaukując z protestem, ponieważ do łóżka Lilki ładowały się właśnie jej siostrzyczki. Obie.

- Dzień dobry! - Kluska ucałowała ją rozgłośnie w nos. - Wstawamy?

- Nie wstawamy - zamruczała Lila, unosząc kołdrę i robiąc miejsce dla siostrzyczek. - Proszę się ładnie przytulić, zamknąć oczka, pośpimy jeszcze pół godzinki! - zakomenderowała typowym tonem starszego, zmęczonego życiem człowieka.

Przytuliły się i zamknęły oczy.

- Już? - zapytała Kluska po minucie.

- Nie, jeszcze dwadzieścia dziewięć minut.

-Aha. - Mała umościła się wygodniej, lodowate stopki wylądowały w okolicach brzucha Lilki. -Już?

- Jeszcze nie. Powiem wam, kiedy.

- Dobrze - zgodziła się grzecznie Klusia i zrobiła minę słodkiego aniołka. -

No to powiedz: już?

Roześmiały się wszystkie trzy.

Ciufcia odebrała chichoty jak zaproszenie do natychmiastowej zabawy.

Wskoczyła na kołdrę i zaczęła lizać je po twarzy. Gdzie popadło.

- Faj, idź ode mnie, bo ci kopie z paszczy - skrzywiła się Miśka. - Zęby sobie umyj.

- Dlaczego pieskom kopie z paszczy, a kotkom nie? — chciała wiedzieć Klusia.

- Też kopie, ale kotki mają mniejsze paszcze - znalazła rozwiązanie Michaela. - Więc mniej śmierdzi, na ilość. Lilka, pograsz ze mną w warcaby? Albo w skoczki?

- O tej porze?

•» •';&

- A czemu nie?

Rzeczywiście, czemu nie? Nad Mielcem wstawał właśnie przykurzony, szary świt. Ulicami przemykały pojedyncze pojazdy, jakiś pociąg hałaśliwie hamował przy dworcu. Ktoś rozstawiał z brzękiem skrzynki na chodniku - pewnie dostawa do sklepu na dole. Czyżby była dopiero szósta rano?

- Niech tam. Dawaj te skoczki - machnęła ręką Lilka. - Ale może najpierw włożmy jakieś swetry i ciepłe skarpetki.

Mama Lilki wstawała zawsze pierwsza, kwadrans przed siódmą. Zastała swoje córki pochłonięte burzliwą rozgrywką. Jagoda była sędzią.

- Ona przesuwa! - doniosła właśnie, z przejęciem przygryzając różowy



jęczyczek.

- Nie przesuwam! Małpa!

- Przesuwasz, widziałam - zaśmiała się Lilka. - Nic ci to nie da, i tak wygrałam!

- Znowu! Ale dlaczego! Dlaczego ja ciągle z tobą przegrywam, a z tatą nie?

- Bo tata daje ci fory, a ja nie. Ja gram z tobą całkiem na poważnie.

Zresztą, jakbyś nie była zajęta kombinowaniem na boku, miałybyś spore szanse, znowu przegrałaś tylko o dwa ruchy. To niezły wynik.

- To niesprawiedliwie!

- Dlaczego? Całkiem sprawiedliwie!

- Sprawiedliwie jest wtedy, gdy wygrywam ja. A ty mi nie dajesz.

- Chodzi o to, żeby grać naprawdę. A nie, żeby dawać wygrać.

- Chodzi o to, żeby była zabawa i żeby dziecko się cieszyło - roztoczyła swoją wizję sprawiedliwości Misia. - A dziecko się cieszy wtedy, gdy wygrywa.

- Nie traktuję cię już jak dziecko, tylko jak partnera. Stać cię na to, żeby ze mną wygrywać normalnie. Sama zobaczysz, jaka to satysfakcja.

- Ostatnio ciągle to słyszę: „stać cię na to”, „teraz to już możesz” i „Misiu, nie jesteś już małą dziewczynką!” - rozzłościła się młoda. - A jeśli nie mogę? Jeśli chcę zostać małą dziewczynką? No, bo kiedy mam nią być, jak nie teraz? A skoro przestałam już być taka malutka, to dlaczego dalej muszę chodzić spać po dobranocce i nikt ze mną, tak naprawdę, nie rozmawia?

Lilka stropiła się nieco. Jej mama, podsłuchująca niechcący z przedpokoju, również.



śniadania, przy stole zawsze panowały ruch i gwar. Każdy mógł wypowiedzieć swoje zdanie.

Zawsze myślała, że jej się udało.

Aż do tej pory.

Wypowiedzieć - owszem. Pożartować. Ale kto, tak naprawdę, słucha małych dzieci?

Tyle że te dzieci już nie są takie małe.

„Chyba coś przegapiłam” - pomyślała nagle.

Zamrugła, pozbierała się. Cóż. Przegapiła, a teraz uświadomiła sobie z całą mocą: w jej dobrym, ciepłym, kochającym domu mała, smutna dziewczynka poddaje pod dyskusję kwestię uczciwości. Tylko tyle.

Aż tyle. Należy się tym zająć. Po prostu.

Jak zwykle twarde postanowienie przynosiło ulgę.

Tymczasem nastrój w pokoju dziewczynek wyraźnie się zmienił, Lilka odłożyła na bok szachownicę, pozbierała pionki do pudełka. Mocno przytuliła obie siostry.

- Opowiem wam bajkę, chcecie? ,

- Prawdziwą czy zmyśloną?

- Trochę zmyśloną, a trochę prawdziwą. Tak, jak to zwykle bywa z bajkami.

-Ja najbardziej lubię prawdziwe opowieści - oświadczyła Misia.

- Ja też, ja też! - wyrwała się Jagódka. —Takie prawdziwe, o królewnach, smokach i o czarach...

Dziewczynki roześmiały się, wszystkie trzy, a mama, wciąż znieruchomiała nad górą zimowych swetrów wyciąganych z pawlacza nagle poczuła powiew czasu, który unosił je wszystkie jak wiatr, zmieniał i

przekształcał - sprawiając, że jedna z nich właśnie przestała być małym, słodkim dzidziusiem, druga — staje się człowiekiem coraz bardziej rozumnym (i bardzo krytycznym), a trzecia - młodą dziewczyną, która samodzielnie potrafi już dobrym i wrażliwym słowem rozproszyć lęki młodszej siostry.

Poczuła zarówno macierzyńską dumę, jak i nagły, ściskający serce żal. Wszystko się zmienia. Tyle niewiadomych, tyle nieoczekiwanych odpowiedzi.

A lekarstwem na to - spokój, dobre słowo, baśń.

I porządne, domowe śniadanie.

Krakowianka

Zasady cioci Fiony

- Tu będzie twoje prywatne królestwo - oznajmiła Fiona, prezentując Lilce mały pokój, w którym przez weekend dokonała przemeblowania. -

Wstawiłam ci biurko, pożyczone od sąsiadów. Opróżniłam szafę. Łóżka nie musisz ścielić, zresztą nie ma szuflady, możesz je tylko nakrywać narzutą. Na półkach masz miejsce na wszelakie drobiazgi. Zresztą - czuj się jak u siebie, po prostu.

Lila uśmiechnęła się uprzejmie. W tej chwili akurat chciało jej się płakać. Gdyby była u siebie, zatrzasnęłaby z hukiem drzwi i naciągnęła na głowę gruby koc.

Rodzice kłębili się jeszcze w przedpokoju, wnosząc do mieszkania paczki, pudła i walizki, zawierające wszystko, czego córka mogła potrzebować przez najbliższe miesiące. A raczej - prawie wszystko; będzie jej przecież brakowało siostrzyczek i zwierząt, Kaśki, Damiana i połowy Mielca. Nie mówiąc już o mamie oraz tacie.

Bezmyślnie zasiadła przy biurczku i zajrzała do pustej jeszcze szuflady. Wewnątrz, bezpośrednio na desce, ktoś napisał zielonym flamastrem: „ciąga nauka, nigdy zabawy, a uczeń będzie tępy i niemrawy”. Mimo woli się uśmiechnęła. Może to biurko należało kiedyś do jakiejś fajnej, zwa-  
I o  
riowanej osoby? Może przetrwało w nim trochę dobrych myśli i uczuć, jak czary?

Rozejrzała się po pokoju. Niewielki, ale dość wysoki, jak to zwykle w starych kamienicach, był w jakiś sposób podobny do Fiony: u sufitu wisiała oryginalna lampa, będąca skomplikowaną konstrukcją z drutów, drucików, szklanych paciorków i koronkowej chusty w kolorze pomarańczowym - dawała ciepłe i miłe światło. W oknach wisiało całe mnóstwo zasłon, chust i firanek - a na nich tajemnicze wełniane ptaki ze złotymi dziobami. Takie same ptaki tłoczyły się również na grubej gałęzi, przytwierdzonej wprost do ściany nad starą komodą. Na lustrze w ciężkiej, dębowej oprawie siedziały trzy barwne motyle, wykonane, o ile Lilki wzrok nie zawodził, z miedzianego drutu, koralików i kolorowych rajstop. Jeden z motyli był błękitny, drugi - głównie zielony, trzeci - cytrynowy. Pończochowe skrzydełka pomalowano złotą farbą w skomplikowane zawijasy.

Ciekawe, skąd Fiona wzięła błękitne rajstopy?

Może jednak nie będzie tu tak źle?

Mały, rudy kłębek przemknął nagle po perskim, nieco wyleniałym dywanie i wskoczył Lilce prosto na kolana.

Lilka zerwała się na równe nogi. Kot miauknął i smyrgnął pod komodę.

Lilka za nim.

- Mietek? - Padła na kolana i sięgnęła ręką pod ciężki mebel. Wyciągnęła kociaka i przytuliła go mocno do siebie. - Skąd się tu wzięłeś? Mamo! Tu jest Mietek!

Mama i Fiona, roześmiane, weszły do pokoju.

- To miała być niespodzianka - wyjaśniła mama. - Trochę przedwcześnie ujawniona, ale nam się, spryciuła, wymknął z klatki. Dobrze, że nie wcześniej.

- Ale jak? - Lilka nagle zrozumiała. - To dlatego upieraliście się, żeby pojechać dwoma samochodami, tak? Dziadek go zabrał ze sobą?

- Ano, zabrałem. - Dziadek zatupał ciężkimi buciorami. — A co miałem zrobić? Wszyscy widzieli twój podejrzenie wydłużony nos, pomyśleliśmy, że przyda ci się w Krakowie przedstawiciel rodziny.

- To ja wymyśliłam! - pochwaliła się Fiona. - Zresztą, zawsze marzyłam o kotku, tylko jakoś wcześniej brakowało mi czasu... No, ale teraz będzie nas dwie. Najpierw myślałam, że po prostu weźmiemy kotka ze schroniska, a potem - że może jeden z twoich zwierzaków przyjedzie wraz z tobą.

-Jejku, jak się cieszę - zachwyciła się Lila, wtulając nos w mięciutkie, prychające stworzenie. Już mu się zresztą znudziły te wybuchy czułości. Życzył sobie niezwłocznie pozwiedzać mieszkanie. - Cieszę się jak... jak... nie wiem co. Miśka pozwoliła?

- Pozwoliła. - Miśka wynurzyła się zza dziadziusia. -Przecież widziałam, że ryczysz w poduszkę. Mietek jest bardzo zdolnym pocieszaczem.

- O, ty tutaj? To po co ja się z wami tak wylewnie żegnałam?

- Przyjechałem rano po kota i zgarnąłem jeszcze jedną pasażerkę - zaśmiał się dziadek. - Pomyślałem, że jak ma siedzieć w oknie i buceć, niech się

ze mną przejedzie do tego Krakowa. A Klusia z babką pozostały na gospodarstwie.

- Wcale tak bardzo nie buczałam - nadeła się Miśka, popatrując na dziadka spod grzywki. - No, może troszeczkę. Nie lubię pożegnań.

- I w ten sposób będziemy musiały buczeć jeszcze raz - powiedziała ze śmiechem Lila, mocno przytulając siostrzycz-

◆,y°% 96

kę do siebie. - Nic nie szkodzi. Chodź, młoda, przydasz się. Pomożesz mi się rozpakować.

Po kilku minutach Miśka wpadła przypadkiem do pudła z książkami i przejechała na nich przez pół pokoju, równomiernie rozsmarowując podręczniki po całej podłodze, kot skoczył na komodę, a stamtąd na lampę, i zawisł na koronkach, miaucząc przeraźliwie, a tato, próbując wyplatać kota z abażuru, spadł z krzesła i łupnął się w ciemię.

I okazało się, że nawet w tym całym Krakowie może być normalnie.

Zjedli podeślane przez babcię gołąbki i poszli, wszyscy razem, na spacer wąskimi uliczkami starego Kazimierza. Dotarli nad Wisłę i na zwijające się właśnie targowisko na placu Nowym.

- Ja cię, ile ciuchów - zachwyciła się Misia. - To lepsze niż lumpeks na Starówce! I książki! I różne rupiecie!

Mimo dojmującego chłodu zakończyli spacer lodami na Starowiślnej, najśłynniejszymi w mieście.

- Ostatni weekend - poinformowała ich Fiona. - Przez całą zimę sprzedają tu tylko pączki, zresztą równie świetne, a lody startują z powrotem na wiosnę.

- Mieliśmy szczęście - podskakiwała Misia, oblizując starannie wafelek. -

Mniam, pycha. Ale wielkie gały. Będiesz sobie tu mogła przychodzić nawet co dzień. Ale ci zazdroszczę! I karmić łabędzie, i grzebać w tym całym ciu-chowisku...

- I chodzić na Wawel, spacerować po Rynku, wybrać się na wiosenną wyprawę na kopiec Krakusa — dorzuciła Fiona. - Zobaczysz, Lilka, jak fajnie zostać chociaż na chwilę krakowianką.

^ \*

- Ale nie będzie was wszystkich... - Lilka ogarnęła wzrokiem całą barwną, rodzinną gromadkę. Czuła się jednak odrobinę podniesiona na duchu spacerkiem i tymi wszystkimi cudёнkami dookoła.

— Będziemy przyjeżdżać - obiecała mama, Miśka pokiwała energicznie głową. - Tak często, jak się da.

— Przyjeżdżajcie koniecznie - zapraszała gorąco Fiona, zaciekle przegrzebując torebkę w poszukiwaniu kluczy do mieszkania. Znalazła je w końcu w kieszeni płaszczyka. Lilka przyjrzała jej się z namysłem. W samotnym dotychczas życiu Fiony wiele się zmieniło - zdawała się teraz pasować do całej rodziny.

— Zasady są proste — oznajmiła Fiona, kiedy całe pożegnanie (już nieco mniej łzawe) odbyło się jeszcze raz i wszyscy milczanie odjechali w dal. Zasiadły przy stole w dużym pokoju, pełniącym teraz podwójną rolę salonu i sypialni Fiony. - Masz chodzić pilnie do szkoły, uczyć się przyzwoicie, możesz również prowadzić życie towarzyskie - najchętniej tu, w domu. Twój znajomi, czy też z czasem przyjaciele, zawsze będą pod moim dachem mile widziani. Oczywiście, jeśli pojawią się wśród nich jakieś wredne typy, powiem ci od razu. Liczę na to, że będziemy wobec siebie szczerze.



- Nie planuję przyjaźni z wrednymi typami - oświadczyła Lila.

- No, dobrze by było... Ale w życiu jak to w życiu, a ty jesteś młoda. A ja - ja bywam złośliwa, więc z mojej strony szczerść masz jak w banku. -

Fiona wyjęła z paczki papierosa, obejrzała go, spojrzała na Lilę i westchnęła ciężko. W końcu otworzyła okno na oścież i przysiadła

■\$>•': \*

na parapecie. — Na powrót do domu ze szkoły wystarczy ci godzina. No, góra półtorej, nawet na okrążenie Rynku cztery razy i dotarcie do celu.

Poza tym: nie pij - alkoholu, mam na myśli, zresztą - wątroba ci na to nie pozwala, nie mówiąc już o bardzo młodym wieku. Nie pal, bo to idiotyzm!

- Tu Fiona z odrazą spojrzała na trzymanego w rękę papierosa. - Jakby ci przypadkiem przyszła ochota, to proponuję od razu zwinąć pięć dych w trąbkę, raz na tydzień, i spalić w popielniczce, na jedno wychodzi, biorąc pod uwagę sens tej czynności, a przynajmniej obędzie się bez szkody dla zdrowia.

- A ty? - Lilka pokładała się ze śmiechu, Fiona w roli wychowawczyni to było kuriozum.

- Ja jestem nałogowcem i bardzo żałuję. Męczę się z tym jak potępieniec, wstydzę i bez przerwy piorę ciuchy, bo śmierdzą. Dlatego radzę ci po dobroci: nie zaczynaj, bo będziesz męczyć się tak jak ja.

- To przestań.

- Ha! Gdybym mogła! Gdybym mogła, to już dawno bym przestała. Ale, niestety, nie mogę. Jestem zbyt nerwowa.

- Ty? Nerwowa? - zdziwiła się Lilka. - Ze wszystkich dorosłych jesteś najbardziej wyluzowanym przypadkiem, jaki znam. Może po prostu nie lubisz się męczyć? A zresztą - wiesz, jaki dziadek był nerwowy? A rzucił

palenie. I chyba nawet stał się spokojniejszy od tej pory. Tylko dwa razy grubszy.

- Broń Boże, żebym miała być dwa razy grubsza. I widzisz, jakie straszne rzeczy grożą głupcom, którzy się dali wmanewrować w nałóg? Śmierdzą, kaszlą i marnują kasę. A jak chcą z tym skończyć, to tyją, chociaż gdy jeszcze nie palili, byli całkiem szczupli - otrząsnęła się Fiona. - A z wygod-

nictwem... Bo ja wiem? Może przypadkiem trafiłaś w sedno sprawy? Jedno ci powiem - tu spojrzała na Lilkę z uznaniem.

- Na pewno umiesz być szczerą do bólu. I to właśnie lubię. Pozwól, że skończę moje expose, nie pić, nie palić, nie szlajać się po knajpach, bo do porządnych lokali gimnazjalistów samopas nie wpuszczają, a tam, gdzie wpuszczają, to lepiej nie wchodzić. Będziesz miała ochotę, to cię zabiorę ze sobą na koncert. Zawsze to przy okazji jakaś kultura, chociaż ostatnio zdarzały się imprezy, wobec których to słowo wydaje się mocnym nadużyciem — zagalopowała się lekko.

- Wracając do surowych zasad cioci Fiony: na randki moim zdaniem też jesteś za młoda, chociaż, gdy poznasz jakiegoś sympatycznego kawalera...

- Gdzie ja bym miała poznać sympatycznego kawalera?

- wątpiła Lilka.

- A bo ja wiem? W szkole, na przykład. Więc, jak już poznasz tego sympatycznego kawalera, to życzę sobie go najpierw dokładnie obejrzeć. Tu, w domu. Później ewentualnie mogę wyrazić zgodę na romantyczne spacerki w godzinach popołudniowych. I to chyba wszystko. Trochę na wyrost, ale... bo ja wiem? Tyle się mówi o tym, że młodzież teraz tak szybko dojrzewa.

- W porządku. - Lilce nadal trudno było zachować powagę. — Nie będę pić, palić i łązić po knajpach, a ze szkoły wrócę grzecznie po godzinie. I obiecuję tak szybko nie dojrzewać. Na razie nie mam czasu.

Roześmiały się obie.

- Pojutrze idziemy obejrzeć twoją szkołę. Jest miła, zobaczysz. Chodziłam do liceum przy tej samej ulicy - zresztą, w mojej dawnej szkole macie chyba nawet jakieś fakultety.

W nowej szkole

Gimnazjum numer dwa mieściło się vis a vis sławetnej „piątki”, zwanej wdzięcznie przez uczniów V Zakładem Karnym. Tak naprawdę oficjalna nazwa szkoły, do której najpierw skierowały swe kroki Lilka i jej ciotka, brzmiała: V Liceum Ogólnokształcące im. Augusta Witkowskiego. Przy Studenckiej. Była to dość ruchliwa, zastawiona po obu stronach samochodami uliczka w samym centrum Krakowa, dochodząca z jednej strony do ulicy Podwale i do Plant. Do Rynku szło się pięć minut, do cukierni „Michałek” przy Krupniczej tyle samo. Imponujący budynek szkoły, o szlachetnych proporcjach i nieco przybrudzonych, żółtawych elewacjach, miał trzy skrzydła, otaczające rozległy dziedziniec, na którym mieściło się boisko szkolne. W jednej z bramek, ku zdumieniu Lilki, tkwił zielony fiacik 126 p. „Jak on tam wjechał?” - zastanowiła się przelotnie, podążając za Fioną długim korytarzem w kierunku gabinetu pana dyrektora.

- Witaj, profesorze! - Fiona bezceremonialnie ominęła popijającą kawkę panią sekretarkę i wparowała wprost do drugiego pomieszczenia. Lilka niepewnie przystanęła w progu. - Ups, przepraszam - powiedziała na widok dość wymownej sceny, rozgrywającej się właśnie w gabinecie.

Dyrektor, dość przystojny, siwiejący szatyn, przechadzał się właśnie nerwowo po pokoju. Przed biurkiem stało trzech młodzieńców z płonącymi uszami i wzrokiem wlepionym w nieskazitelnie wyfroterowany dębowy parkiet. Przed biurkiem, na zielonym krześle, siedział z niepewną, nieszczęśliwą miną jeszcze jeden chłopiec.

o I

101 \*rę.\*

j> \*

— Ja nie jestem, kochani, śledczym oficerem — zagrzmiął dyrektor. — Nie mam zamiaru wnikać, kto pierwszy, kto ostatni i kogo poniosło. W tym wypadku mnie to nic, a nic nie obchodzi. Uznaję, że wszyscy działaliście w afekcie, i stosuję, jak sami widzicie, łagodny wymiar kary. Natomiast życzę sobie jednego: nie wiem jak u was, w gimnazjum, gdzie stężenie hormonów na metr kwadratowy przekracza każdą dopuszczalną normę, ale tu, na gościnnych występach, czyli w mojej szkole, ma być spokój! Przypuszczam, że dotyczy to każdej szkoły, więc zapamiętajcie: szkoła to miejsce dla każdego z was, niezależnie, czy ma skróconą kończynę, krzywe zęby, szewską klatkę piersiową czy siano w mózgowicy. I dlatego tu przy mnie macie natychmiast przestać się obrażać. Zwyczajnie pogodzić. Zgoda ma być trwała. A nadmiar młodzieńczej energii... - tu urwał i obejrzał się na Fionę. - Witaj, moja droga, poczekaj chwileczkę. Zaraz się wami zajmę.

Wykonał gest sugerujący dyskretny odwrót z placu boju. Zanim Fiona przymknęła ciężkie, obite skajem drzwi do gabinetu, chłopiec siedzący przy biurku obejrzał się i Lilka, zaglądnąca Fionie przez ramię, gwałtownie wciągnęła powietrze.

Tym chłopcem był Bartek.

Stały przy parapecie, przy zmarniałej paprotce. Co ciekawe, w mieleckiej „trójce” szkolna zieleń również składała się głównie z paproci, nawet doniczki były takie same. Może mieli odgórny przydział z kuratorium? A może belferskie gusta pozostają niezmiennie, niezależnie od miejsca zamieszkania?

— Pewnie paprotki są najbardziej odporne na młodzież — myśli Fiony podążały chyba podobnym torem. - Za mo-

-Sr.\*102

ich czasów były identyczne. Zresztą cała szkoła niewiele się zmieniła. To był ten twój kolega ze szpitala, prawda?

- Chyba tak. - Lilka niespodziewanie dla samej siebie się zarumieniła. -

Ciekawe, w której jest klasie. To znaczy - w pierwszej, wiem, ale jakiej?

- Chciałabyś wiedzieć? No, to zapytamy - powiedziała po prostu Fiona.

Zadzwonił dzwonek i czterech chłopcy wypadli na korytarz.

- Ten cały dyro jest spoko gość - podsumował najwyższy, przeciągając ręką po jasnej czuprynie. - Po prostu spoko koleś. No i... tego... naprawdę sorry.

-Ja też, sorry. - Bartek zaśmiał się krzywo. - Dzięki, że mnie nie wydałeś, w sumie to mnie... ja też nie byłem taki znowu święty. Poniosło mnie, i to chyba najbardziej ze wszystkich.

- Wiemy, wiemy - zaśmiali się chłopcy. - Ty, Nóżka, jesteś furia jakich mało. Ale - w sumie to spoko.

Przybili sobie piątki i dopiero wtedy Bartek się odwrócił.

- O, rany, ty tutaj? - zdziwił się, ale też jakby i ucieszył. -A... co tu robisz?

- Wchodzę w szeregi. Doktory chcą mnie mieć pod ręką, więc na razie

zostaję w Krakowie - wyjaśniła prędziutko Lilka. - No, i trafiłam tutaj, to znaczy, gdzieś obok, ale stąd zaczynamy całą ścieżkę zdrowia. Fiona zna dyrektora.

Bartek otworzył usta i zaraz je zamknął, bo wysoki blondyn trzepnął go znienacka między łopatkami.

- Lecimy do budy, matma się zaczyna. Pospiesz się, stary, bo zanim się przetoczysz, bracie, przez ulicę...

- Zaraz - rzucił krótko Bartek. - Lećcie sami, to moja znajoma.

103 \* \*.^#.

- Znajoma? - Blondyn przejechał po Lilce z góry na dół ironicznym spojrzeniem. - No, nawet niezła znajoma. Te, chłopaki, patrzcie, jakie Nóżka ma „znajome"! Może nas też poznasz, co?

Lilka poczuła, że jakoś go nie lubi.

- Lila, idziemy. - Fiona pociągnęła ją za rękaw. - Pan dyrektor czeka.

- Ja też poczekam - szepnął szybko Bartek. - Jakby co, pamiętaj: najlepsza jest pierwsza „c". Z rozszerzoną matematyką i angielskim.

- Idź już do szkoły, bo się spóźnisz - poradziła Lilka, ale Bartek stanowczo pokręcił głową. — Co ty tutaj właściwie robisz?

- Przyszliśmy z chłopakami uzgodnić kwestię pewnego fakultetu, ale niestety zaczęliśmy od wyjaśniania kwestii między sobą. Ręcznie. Pech chciał, że dyro nas na tym przyłapał - zachichotał. - Spoko, poczekam na ciebie - rzekł głośniej, opierając się wygodnie o parapet, tuż obok paprotki.

- Już raz mi uciekłaś. Muszę cię pilnować.

Trzej kumple, oddalający się spiesznym korytarzem, odwrócili się i rzucili im przez ramię znaczące spojrzenia. Bartek lekceważąco wzruszył ramionami. Fiona, prychnąwszy z rozbawieniem, pociągnęła Lilkę za łokieć

jeszcze raz i Lilka, chcąc nie chcąc, znalazła się w końcu w gabinecie dyrektora.

- Czy mnie wzrok myli, czy w bramce tradycyjnie znajduje się auto waszego polonisty? - spytała na wstępie, uściskawszy przedtem serdecznie dawnego wychowawcę. - Nie znudził się jeszcze młodzieży ten niewinny kawał przez piętnaście lat?

- Skąd, profesor Ziębiński doprowadzony do ostateczności zebrał się w sobie i uskładał na używane BMW. Szesna-

•ϕY 104

stoletnie, za to bardzo długie. W bramkę się nie zmieści... Zaraz, czyj to może być? Zielony?

- Zielony - przytaknęły chórem i Fiona, i Lila.

- To będzie profesora Skoka, wuefisty. Tylko on i chemiczka jeżdżą jeszcze maluchami.

- Za moich czasów też jeździli i ich pojazdy lądowały w bramce - zaśmiała się Fiona.

- Ale jak? - wyrwało się Lilce. Dyrektor z całym spokojem wzruszył ramionami.

- Piętnastu chłopów z klasy bierze pojazd w garść i cichaczem przenosi w wolnej chwili. Staramy się pilnować, ale to walka z wiatrakami. Od piętnastu lat. Kolejne pokolenia zarażają się tym genialnym pomysłem i myślą, że są niezmiernie dowcipni oraz oryginalni... Ech, życie. No, dziewczyny, pokażcie, co tam macie.

Fiona rzuciła mu na biurko teczkę, ręcznie malowaną w dziwaczne, granatowe ryby czy też rybo-ptaki. Wewnątrz znajdowała się cała pieczołowicie pozbierana dokumentacja Lilki - świadectwo, opinia

pedagog ze szpitala i inne papierzyska.

- No, pięknie, pięknie - upajał się dyrektor, przeczesując palcami siwą czuprynę. - Laureatka konkursów literackich oraz olimpiady geograficznej, tak? Muszę ci przyznać rację, droga Fiono - tę młodą kobietę mogę z czystym sumieniem zarekomendować wszędzie. To wspaniale!

Dyrektor promieniał zadowoleniem, uwielbiał laureatów i olimpijczyków, kolekcjonował wybitną młodzież z takim samym zapamiętaniem, jak inni zbierają znaczki czy stare monety.

- Pewnie chciałabyś dołączyć do klasy humanistycznej, prawda? Czy raczej z rozszerzonym blokiem przyrodniczym?

105 •;^p#.

Hm, w pierwszej „a” jest w tym roku wyjątkowy tłok. W „e” też nieciekawie... - mruknął, przewracając strony wielkiego, szarego segregatora.

- A w pierwszej „c”? - zapytała prędziutko Lilka.

- Klasa „c” jest przeznaczona raczej dla umysłów ścisłych. Rozszerzona matematyka, fakultet z fizyki...

- Ja mam umysł szalenie ścisły - zapewniła bohaterko Lila, chociaż na samą myśl o fizyce zrobiło jej się gorąco. Ale z matematyką radziła sobie całkiem nieźle. - Poza tym znam tam kogoś - dodała ucziwie.

- Zna tam kogoś - powtórzyła jak echo Fiona. - Ze szpitala, razem będzie im chyba różniej.

- Ze szpitala to chyba ten Bartek, co tu był - domyślił się dyrektor. - Niezły gagatek. Ogólnie ma dość poukładane w głowie, chociaż nerwus. No, ale to przecież poważna decyzja. Przyjaciół można znaleźć wszędzie, a tu się



liczą przede wszystkim pasje... zainteresowania...

-Ja jestem bardzo zainteresowana... eee... matematyką. - Lilka postanowiła twardo postawić na swoim. - Bardzo, bardzo zainteresowana. Z polskiego przecież mogę być dobra i tak! A w ten sposób poszerzę zakres swoich... zainteresowań.

- Poszerzy zakres - poparła ją Fiona. - Z przyrodniczych jest świetna, z polskiego - wybitna, jeszcze tylko matematyki brak jej do kompletu. Na razie może przecież rozwijać się wszechstronnie, przecież to tylko gimnazjum, nie uniwersytet!

- No dobrze - mruknął dyrektor jakby urażony. Pewnie uznał „tylko gimnazjum” za niefortunne sformułowanie. Ze współpracy z gimnazjum, kształtowania umysłów już od młodych lat, czuł się szalenie dumny. Fiona uśmiechnęła się

• φ.°' 106

przepraszająco. - Dwadzieścia dziewięć osób w klasie... hm... W porządku. Jeśli pani dyrektor wyrazi zgodę, możesz być trzydziesta. Jeśli naprawdę wiesz, co robisz.

- Naprawdę wiem - przyświadczyła gorąco Lila, zarumieniona z emocji.

- W takim razie pozostaje mi zaprowadzić w zaprzyjaźnione bramy nową uczennicę. Rozmawiałem już wstępnie na ten temat, powitają cię tam z radością. Taką mądrą - i taką ładną. Zupełnie jak ciocia. - Dyrektor z trzaskiem zamknął segregator i uśmiechnął się.

- Sam jesteś ciocia - rzuciła mu w progu Fiona i umilkła pod zdumionym spojrzeniem pani sekretarki. —To znaczy... dziękujemy bardzo, panie dyrektorze. Niech panu Bozia w rudych dzieciach wynagrodzi.

- A kysz, zgiń, przepadnij - zaśmiał się dyrektor. - Wystarczy mi dwójka w

domu. I parę setek tutaj - powiedział, obserwując, jak pod czujnym okiem pana profesora dziesięciu chłopca w ramach lekcji wychowania fizycznego stęka pod ciężarem wynoszonego właśnie z bramki małego fiacika.

Bartka już nie było - może i dobrze, ponieważ pan dyrektor zaofiarował się odprowadzić je na miejsce przeznaczenia osobiście.

Zapoznał obie z panią dyrektor i komisyjnie odprowadzili Lilkę do nowej klasy. Dyro chyba szalenie lubił Fionę, wbrew utyskiwaniom - przejął się rolą opiekuna. A może zawsze był taki troskliwy?

Lilka sunęła za nimi wysokim, jasnym korytarzem, rozglądając się dyskretnie dookoła. Na ścianach wisiały tablice ze zdjęciami uczniów z dawnych klas. Tu i ówdzie jaskrawym

■o?-.<^.

kolorem pyszniła się gazetka okolicznościowa. Teatr szkolny zapraszał do udziału w zajęciach. Długi szereg dyplomów dumnie lśnił na przeciwległej ścianie. Jakieś prace plastyczne straszyły po kątach.

Widać było, że w tej szkole uczy się, pracuje i bawi pełną parą.

W końcu doszli do miejsca przeznaczenia. Lilka zacisnęła pięści i wstrzymała oddech.

- Spokojnie. - Pani dyrektor położyła rękę na jej ramieniu. - Wszystko będzie dobrze.

W klasie panował umiarkowany gwar. Piegowata, szczupła nauczycielka krążyła między ławkami.

- Kto pierwszy, ten lepszy! - zachęcała. - Oczywiście, liczą się tylko poprawne odpowiedzi!

- Mam! - wykrzyknął jasnowłosy dryblas z drugiej ławki. Lilka widziała go chyba wcześniej w gabinecie dyra.

- Ty, Mączyński, jak zawsze do przodu, tylko niewiele w środku pozostaje  
- mruknęła dyrektorka. - Poznajcie nową koleżankę... Lilianę Walczewską.  
Od dzisiaj będzie się uczyć razem z wami. To pani profesor Struna, od  
matematyki. Wychowawcą klasy jest profesor Juliusz Brodacz, polonista.  
Macie z nim chyba kolejną lekcję. Na razie posadź ją, Dorotko, gdzie  
bądź.

Przez chwilę w klasie zapanowało radosne poruszenie, wszyscy gapili się  
na Lilkę. Znalazła wzrokiem Bartka, siedział w ławce pod oknem,  
rozpromieniony, pokazał jej wyciągnięty ku górze kciuk. Pani dyrektor  
podeszła do matematyczki i złożyła jej szeptem krótkie wyjaśnienia. Ma-  
tematyczka spokojnie zlustrowała klasę.

- Na razie siadaj w przedostatniej ławce, pod ścianą, tam gdzie wolne  
miejsce. Później wasz wychowawca zdecyduje

.#Y^\*108

- zwróciła się do Lilki. - Zgłębiaamy dziś po raz kolejny tajniki  
trygonometrii, właśnie sprawdzam, ile klasa zrozumiała z piątkowego  
wykładu. Czy znasz ten temat?

Lilka spojrzała na zapisaną gęstym maczkiem tablicę i kiwnęła głową.

-Trochę. Przerabiałam podstawy...

- To dobrze - powiedziała krótko piegowata nauczycielka. - Po lekcji  
podejdz do mnie, ustalimy, co wiesz, a co masz nadrobić. Na razie po  
prostu słuchaj i przyglądaj się.

I tyle. Lilka zasiadła w ławce i nieśmiało uśmiechnęła się do sąsiadki.

Duża, rumiana blondynka o rzęsach sklejonych brązowym tuszem  
przyjrzała jej się bacznie, przesuwając na kraniec ławki swoje rzeczy, i po  
namyśle odpowiedziała uśmiechem.

- Ja też mam! - wyrwał się z pierwszej ławki pulchniutki brunecik.  
- Mączyński miał wcześniej. — Nauczycielka mimo chwilowych zawirowań nie straciła czujności. - Chodź tu, Mączyński, i pokaż, co masz. Oczywiście, myślę o trygonometrii. - Gestem ręki uciszyła śmieszek, przelatujący po klasie.

- Z przyjemnością, pani profesor. Pokażę, co tylko pani sobie życzy - zaśmiał się Mączyński, podążając ku tablicy. Lilka pomyślała, że ten chłopiec wygląda na miłego zgry-wusa i że myliła się, oceniając go przed gabinetem dyrektora tak surowo.

A zresztą czas pokaże.

- I jak? - spytała niecierpliwie Fiona, gdy tylko Lilka wróciła do domu. Powrót zajął jej niecały kwadrans - po prostu mama Bartka przyjechała po niego samochodem i ja-

o I

109 \ "W\*'

koś tak naturalnie zabrali ją ze sobą. Zbyt szybko - nawet nie zdążyła sobie z nim pogadać, chociaż bardzo chciała. Za to mama Bartka mówiła bez przerwy, a raczej zadawała sto pytań na minutę: co Lilka tu robi, gdzie mieszka, jak się uczyła do tej pory, co robią jej rodzice... Bartek siedział skulony na tylnym siedzeniu - uparł się usiąść z tyłu, chyba liczył na to, że Lila usiądzie obok niego, ale jego mama stanowczym gestem wskazała jej miejsce koło siebie. W milczeniu przysłuchiwał się rozmowie.

— To do jutra — rzucił jej tylko krótko pod domem.

- Do jutra - odparła Lilka, odwracając się ku niemu z nieśmiałym uśmiechem. -To... do zobaczenia. Cieszę się, że jestem w waszej klasie.

— To fajna klasa - odpowiedział.

Mama kazała synowi przesiąść się do przodu. Lilka pokiwała im dłonią i wbiegła do bramy.

- W porządku - zbyła pytanie Fiony. Wyjrzała przez okno. Właśnie odjeżdżali.

Śmieszna ta mama Bartka. Ciekawska, aż strach!

- Brodacz wydaje się sympatyczny - zaraportowała. - Tymczasowo posadził mnie z taką jedną Olą, też miła. Z matmy jestem trochę do tyłu, ale nie ma się co dziwić, w szpitalu przerabiałam program podstawowy. Baba... to znaczy profesorka od geografii, rozczarowała mnie. Same banały i w dodatku przynudza, wszyscy śpią. Z polskim sobie poradzę, z matematyką pewnie też. Boję się tylko fizyki, no i ta chemia...

— Znam Brodacza! Za moich czasów pracował w liceum, był moim polonistą - ucieszyła się Fiona. - Dobrze, że trafiłaś akurat na niego, to rozsądny gość. Z fizyki, przy odrobinie wysiłku, jestem ci w stanie pomóc, z matematy-

ką byłoby znacznie gorzej. Z chemii, obawiam się, jestem straszna dętka. No, chyba że Marek...

- Spoko leszczą, jak mówią moi nowi koledzy. Na razie spróbuję powalczyć sama.

Chomiki, marchewki i inne przypadłości

I walczyła, raz lepiej, raz gorzej - ale z biegiem dni coraz bardziej się przyzwyczajała. Bartek miał rację - to była bardzo fajna klasa. Przyjęli ją bez większej euforii, ale i bez zdziwienia. Na początku obawiała się trochę tego słynnego krakowskiego snobizmu, niepokoiło ją, jak młodzież z królewskiego miasta będzie się odnosić do koleżanki z podkarpackiej prowincji. Ale ku jej zdumieniu, taki problem w ogóle nie zaistniał.

Zresztą nie wszyscy w klasie byli krakusami: Ola codziennie dojeżdżała z Chrzanowa, Wojtek z Trzebini, mała Gosia aż z Bochni, a duża - z Pychowic. Oczywiście, trafiło się stadko bufonów, ale ich liczba nie przekraczała przeciętnej dla normalnej klasy, w dodatku trzymali się zazwyczaj razem, nie integrując się z tak zwaną „resztą” ponad potrzebę. Lilka nawet nie próbowała nawiązać kontaktów z żadnym z nich.

Zaprzyjaźniła się za to z jasnowłosą Olą, małą Gośką i chudym, czarnowłosym stworzeniem o imieniu Iga. Iga, nerwowa, chaotyczna, szalenie odcytana, była najlepsza niemal ze wszystkiego, ale wcale nie trzymała się z resztą kujonów - z ciemną, postrzępioną czupryną, ze spływającym do połowy pleców pojedynczym dreadem, glanami i kólkami w nosie po prostu do nich nie pasowała. Jej piekielnie cięte komentarze rozchodziły się szeroko po całej szkole.

Klasa traktowała jej przewagę na większości frontów jak naturalne zjawisko przyrodnicze; może dlatego, że z racji temperamentu, dla równowagi, bez przerwy pakowała się w jakieś kłopoty.

Nauczyciele byli różni, fajni i tacy sobie. Lilce najbardziej przypadła do gustu, poza wychowawcą, młoda i miła profesorka od biologii. Szybka, szczupła, z ciemnym warkoczem sięgającym pasa, przypominała nieco Igę - podobna mieszanina roztrzepania, chaosu i ogromnego zasobu wiedzy.

Wykładała z prędkością światła, ale żywo i interesująco, nie nadążali z notowaniem - zresztą wcale jej na tym nie zależało. Zazwyczaj (jeśli akurat nie zapomniała, nie skasowała sobie pliku i nie zostawiła laptopa w samochodzie szwagra) rozdawała im po prostu materiały wykładowe, zebrane starannie w przejrzyste schematy i tabele. Każdą lekcję rozpoczynała od pięciominutowych kartkóweczek, z których wcale nie

wystawiała ocen - jak twierdziła, jest to wyłącznie do jej informacji, ile z tego, co mówi, pozostaje im w głowach.

Lilka przyłapała się na tym, że z własnej i nieprzymuszonej woli zakuwa biołę jak szalona. Po prostu - żeby sprawić przyjemność nauczycielce i udowodnić, że jej wysiłek oraz pasja mają sens.

Przez to swoje tempo i ogólne pomieszanie pani od biologii popełniała zabawne błędy językowe, z których niejednokrotnie śmiali się do łez. Nie obrażała się ani trochę - śmiała się razem z nimi. Po prostu - była chyba najmiłym nauczycielem, jakiego Lilka miała przez te długie lata.

Słynna była jej próba wychowywania młodzieży żeńskiej, przeprowadzona gdzieś na początku września. Grono dziewczynek z klasy wymieniało się właśnie opiniami na temat kolegów, nie przebierając w słowach. Nie zauważyły

niskiej, szczupłutkiej pani od biologii, wyglądającej zresztą jak ich niewiele starsza koleżanka, dopóki nie wpadła jak burza w sam środek ich kręgu i nie huknęła:

- Co to ma być! Dziewczyny się nie wyżerają!

Osiem gimnazjalistek zamarło, z oczami na słupkach, trawiąc ten ekspresyjny, acz niezrozumiały belferski komunikat.

- Że co? - wyjąkała w końcu Gruba Baśka.

Surowa pani profesor zatrzęsa się nagle od tłumionego śmiechu.

- Miało być, że się nie wyrażają — parsknęła i spoważniała. - Nieważne.

Dziewczyny, zlitujcie się i nie używajcie takiego słownictwa! Poczułam się przez chwilę jak w najgorszej spelunie, a nie w renomowanej szkole w samym środku miasta, wśród przyszłych elit intelektualnych. Szanujcie siebie, dobrze?

- Doobra - powiedziała Baśka w imieniu ósemki. - To znaczy, przepraszamy, pani profesor. Nie będziemy się wyżerały... to znaczy, wyrażały.

Oczywiście zwrot „dziewczyny się nie wyżerają” wszedł na stałe do klasowego języka i często upominały same siebie za jego pomocą. Przy „marchewkach” Lilka już była osobiście. Przesadzona przez wychowawcę do ławki pod oknem, gdzie pasowała idealnie do „małej” Małgorzaty, znalazła się tuż za Bartkiem. I dobrze, bo przynajmniej dało się pogadać - na przerwach Bartek raczej trzymał się z kumplami, po szkole nieodmiennie przyjeżdżała po niego mamusia. W jej obecności zmieniał się zazwyczaj w milczącego gbura, przy kolegach - w hałaśliwego, agresywnego młodziana; krótko mówiąc, rzadko przypominał Lilce tego miłego, wrażliwego chłopca ze szpitala, z którym przegadała niemal każdą daną im wtedy godzinę i za którym tak bardzo tęskniła.

Odkąd usiedli blisko siebie, Bartek miał zwyczaj podawać jej na lekcjach krótkie, zabawne liściki. Tylko wtedy Lilka rozpoznawała w nim dawnego przyjaciela.

Ciekawe, że ludzie tak się zmieniają w zależności od sytuacji.

Profesor od biologii przyszła wtedy spóźniona, taszcząc sporej wielkości klatkę. Wniosła ją do kantorka, stękając, zanim chłopcy zorientowali się, że należałoby pospieszyć z pomocą. To ją trochę zirytowało.

- Nasz nowy zwierzyniec - wyjaśniła. - Dzięki serdeczne za pomoc w dźwiganiu ciężarów - zadrwiła, furia jak zwykle zwiększyła tempo jej wypowiedzi. - No, to skoro jesteście tacy skorzy do pomocy, to może znajdzie się ochotnik, który pokroi chomiki marchewkom?



Przez chwilę w klasie zaległa cisza absolutna.

- Masakra! - skomentował po chwili Kazio, otrząsając się.

- Marchewką? - zdziwił się w tej samej sekundzie Bartek. - Ale jak marchewką?

- Nie zdziwiło cię, że trzeba pokroić chomiki, a zdziwiło, że marchewką? - nie wytrzymała Gośka. - Psychopata!

- Dzieci, o czym wy w ogóle mówicie? - zreflektowała się nauczycielka.

- Jak to kroić chomiki? To są żywe zwierzątka, do hodowli, nie na preparaty.

- Pani psor kazała - wypomniał jej Kazio. - Sam słyszałem, ma się znaleźć ochotnik do krojenia chomików.

- I to marchewką! - upierał się Bartek.

•.Y°% 114

- Najmocniej przepraszam — roześmiała się profesorka, znając swoją przypadłość. — Chciałam, żeby ktoś pokroił marchewki chomikom. Mam ich całą torbę.

- Chomików? - upewniła się złośliwie narwana Iga, wstając jako ochotnik numer jeden.

- Marchewek, Iguniu. Trzeba je najpierw starannie opłukać.

- Chomiki?

- Marchewki!!! — Nauczycielka śmiała się już jawnie.

- Chomiki są w klatce. Dwa samce i samiczka. Jutro przyniosę jeszcze świnkę morską i dwa myszokoczki. Mojej koleżance rozmnożyły się w laboratorium, uratowałam kilka przed węzami.

- Wężami?

- Nadprogramowe gryzonie skupują najczęściej hodowcy pytonów. Jako

pokarm - wyjaśniła nauczycielka. - No, co się tak patrzycie, takie prawo natury. Węże też muszą się odżywiać.

- Mówiłem? Masakra. Cała biologia to czysta masakra

- wyznał szczerze Kazio.

- Jeśli chodzi o twój zasób wiedzy, zgadzam się w zupełności - odgryzła się nauczycielka.

- Świnę Morską to my już jedną znamy - szepnął Bartek i puścił oko do Liluni. - Ciekawe, co tam u Filipa - przypomniał sobie.

- Zapytam doktora Marka, bywa u nas często - wygadała się Lilka. - To znaczy, u Fiony.

- No, no - mruknął Bartek. - Jak ten szpital jednak łączy ludzi.

из-4»..

AJ

Lilka nie mogła podzielić jego przekonania. Bartek ucieszył się, że dołączyła do ich klasy, to oczywiste - sam tak przecież powiedział. Ale... oprócz tych kilku słów rzuconych jeszcze przed gabinetem dyrektora nic nie wskazywało, żeby uważał ją za osobę szczególną. Owszem, zdarzało im się wymieniać pod ławką karteczki pełne zabawnych komentarzy, ale nie wypisywali w nich nic przesadnie osobistego. Lilka dostosowała się do żartobliwego, lekkiego tonu, którego zazwyczaj używał Bartek w korespondencji. Obgadali w ten sposób całą klasę — Lilka musiała przyznać, że niektóre informacje były użyteczne. Wymienili opinie na temat większości profesorów. I tyle.

W sumie to nadal nie wiedziała, jak z nimi jest.

Czy Bartek próbował ją odszukać, kiedy znikła z oddziału? Dlaczego w końcu nie poczekał na nią przed gabinetem dyrektora?

Odpowiedź na te pytania była ważna, ale właśnie dlatego Lilka nie ośmieliła się ich zadać.

Zauważyła w sobie dziwne rozdwojenie: gdy tylko Bartek zniknął z horyzontu, wypełniał szczelnie jej myśli i marzenia. Toczyła z nim - w wyobraźni - długie, poważne rozmowy, tak jak kiedyś w szpitalu.

Odczytywała mu świeżo napisane wiersze, opowiadała o planach na przyszłość, o tęsknocie za domem, a nawet o ciągłych wybrykach kota Mietka.

Nie dalej niż wczoraj kot wykonał próbę chodzenia po wodzie. Dzień był smętny, lekcje odrobione, Fiona poleciała na jeden ze swoich mitycznych koncertów, zatem Lilka postanowiła poprawić sobie humor kąpielą w długiej, staroświeckiej wannie pełnej pianki o zapachu alpejskich łąk. Fiona miała prawdziwego bzika na punkcie zapachów. Lilka napełniła wannę i zanurzyła się, a wonna piana unosiła się nad nią jak góra lodowa. Ciekawski kotek wskoczył na obrzeże wanny, spróbował dotknąć piany jedną łapką, potem drugą, następnie wykonał szybki, zdecydowany krok do przodu... i zanim Lilka zdążyła się zorientować, rozległ się plusk i po kocie pozostała tylko czarna dziura. Skamieniała, a następnie rzuciła się do przodu, syknęła, brzuch zabolął - ale kot, mokry od nosa po czubek ogona, już siedział oburzony na środku łazienki i, prychnąwszy, strząsał z siebie zdradziecką pianę.

- Widzisz? Historia zna przypadki chodzenia po wodzie, ale na pewno nie dotyczyło to kota - wyjaśniła mu Lilka i wylazła z wanny, chcąc uchronić ulubieńca przed wyziębieniem oraz przeziębieniem. Zabrała się do tego nie do końca z głową.

- Jedno już wiem na pewno — oświadczyła dwie minuty później, pełzając



masy. Tylko spojrział na Bartka tak, że Lilka po raz kolejny poczuła się głupio.

- Bicie słabszego to nie jest rozrywka na poziomie - powiedział. Ton głosu nasuwał przypuszczenie, że ma na myśli raczej swój ewentualny odwet, a nie atak rozjuszonego Bartka, którego zresztą strząsnął z siebie jednym leniwym ruchem. Lilka wstrzymała oddech. Uszy jej płonęły.

A Bartek nic. Spłynęło jak woda po kaczce.

Dni mijały, a Lilka coraz bardziej czuła się, jakby chodziła do klasy z dwoma różnymi Bartkami. Jeden bez wątplenia był jej przyjacielem - głównie wyobrażonym, ale przecież czasem odwrócił się podczas lekcji, żeby rzucić jakimś zabawnym, ciepłym komentarzem, i pisał do niej te małe karteczki albo ni stąd, ni zowąd poczęstował ją pyszną domową kanapką. Jego mama robiła najlepsze kanapki na świecie. Z szynką, ogóreczkiem, odrobiną cebuli, majonezem.

Jego mama w ogóle bardzo dbała o swojego niepełnosprawnego, kochanego synka. A kochany synek - w takich chwilach bez wątplenia Bartek numer dwa - traktował ją często w sposób niezbyt miły. Wręcz opryskliwy.

.\$>. ;• 1,8

Codziennie przyjeżdżała po niego do szkoły - zawsze proponowali, że zabiorą Lilkę z sobą, było im zresztą po drodze - ale ona coraz częściej grzecznie odmawiała. Wyczuwała, niezrozumiałą dla niej samej, ukrytą próbę sił - odnosiła wrażenie, że przy niej Bartek odzywa się do matki jeszcze rzadziej i mniej uprzejmie.

Zupełnie jakby miało to Lilce zaimponować.

Tyle że akurat to denerwowało ją najbardziej. Mama to

mama.

Poza wszystkim lubiła wracać do domu przez Rynek.

To przecież grudzień - Rynek ożył, zamieniając się w bajkowe miejsce - kolorowe stragany, światła, drewniane anioły. W powietrzu unosił się korzenny zapach grzańca, sprzedawanego przechodniom prosto z wielkich beczek, ludzie plątali się pomiędzy barwnymi budkami, szukając prezentów dla najbliższych, kolekcjonując ozdoby na choinkę, przebierając w tych wszystkich cudёнkach, dzbanuszkach, glinianych miseczkach... Lilka powoli przechadzała się pomiędzy nimi, wdychając zapach nadchodzących świąt. W Mielcu świąteczna atmosfera pojawiała się o wiele później, kilka dni przed Wigilią, kiedy na placu przed Domem Kultury wyrastała ogromna choinka, a na przydrożnych drzewach zawisały migocące lampki. Ale nie odbierało się tej intensywności, co tutaj.

W Mielcu w połowie grudnia atmosfera była raczej adwentowa.

Właśnie! Przez te wszystkie zmiany, nową szkołę, nowych przyjaciół - Lilka zupełnie zapomniała o starych zwyczajach. Przecież zawsze w adwencie chodziła na roraty!

Tato nawet pokpiwał lekko z tej jej wytrwałości - umawiała się z dziadkiem każdego niemal dnia. W zeszłym roku

o t

119\* «y.-

do ich wąskiego grona dołączyła Miśka - razem kleiły dla niej kolorowy lampion (Lilka uznała, że na swój własny jest chyba za duża, dziadek tylko westchnął i pokręcił głową). I wędrowali przez ciemne ulice do kościoła. Zawsze chodzili rano - te popołudniowe, dla dzieciaków, to żadne roraty.

To musiał być ten magiczny moment przed świtem. Tajemnica i oczekiwanie.

A w tym roku? Czy tutaj w Krakowie mają taki zwyczaj?

- Oczywiście, że mamy! - roześmiała się Gosia, kiedy Lilka podzieliła się z nią wspomnieniami. - Ja też biegam niemal codziennie, chociaż muszę w tym celu wstać po czwartej rano. O piątej mam pociąg. Chodź ze mną, pokażę ci takie roraty, że hej!

- Gdzie?

- U Dominikanów. Szósta trzydzieści. W sam raz, żeby pochłonąć śniadanko i myknąć do szkoły.

- A śniadanko gdzie? Bierzemy ze sobą?

- Skąd, śniadanko też dają u Dominikanów - wyjaśniła Gośka, a Lilka zdziwiła się mocno. - Bez rewelacji: ser, dżem i te sprawy, za to zobaczysz sama, jak smakuje w doborowym gronie. Umawiamy się?

Grudzień w Krakowie

- O rany, zwariowałaś? - jęknęła Fiona, kiedy podekscytowana Lilka podzieliła się z nią swoimi planami dotyczącymi następnego dnia. - Możesz iść, oczywiście, jeśli tylko wstaniesz, ale wybij sobie z głowy, żebym zwlokła zwłoki razem z tobą. Szósta rano, środek nocy! Żadna siła nie wypędzi mnie z łóżka. A już na pewno nie do kościoła! Jeśli widuję na zegarku szóstą rano, to od drugiej strony, że się tak wyrażę.

- To znaczy?

- Jako ostatnią godzinę dnia, a nie pierwszą - zaśmiała się Fiona. - A idź sobie na te roraty, jeśli chcesz. Słyszałam, że są bardzo klimatyczne. Tylko czemu o szóstej rano?

- Szóstej trzydzieści - sprostowała Lila.

- Wszystko jedno. Barbarzyńska godzina. Moja pobożność nie sięga tak daleko.

Zdaniem Lilki, pobożność Fiony w ogóle była dość dziwaczna - w niedzielnych mszach uczestniczyła nader nieregularnie, chociaż dosyć często. Z drugiej strony - na jej półkach znajdowało się zaskakująco dużo książek o treści religijnej, przede wszystkim dzieła księdza Tischnera oraz gruby błękitny katechizm religii katolickiej. Pismo Święte w dwóch egzemplarzach: po polsku i angielskie wydanie Nowego Testamentu, zatytułowane po prostu: The Message. Lilka znała angielski - wiedziała, że znaczy to: Wiadomość. Albo lepiej: Przesłanie.

Fiona często sięgała do niego wieczorami.

Na samym początku umówiły się jednak, że każda rozwiązuje tę sprawę we własnym zakresie - oczywiście, Lilka jest zobowiązana chodzić do kościoła (mama specjalnie zwracała na to uwagę), ale Fiona nie będzie jej zbyt pilnować, gdyż osobiście uważa, że wiara jest łaską. Darem, prowadzącym do wewnętrznej wolności, nie przymusem.

Lilka tylko wzruszyła ramionami. Nie odczuwała tego jak przymusu.

Raczej jak jedną z czynności, które sprawiają, że jest tym, kim jest.

- Ej, ty szczęśliwa, szczęśliwa kobieto - uśmiechnęła się Fiona, kiedy Lilka głośno wypowiedziała tę ostatnią myśl.

121 ' ; ^ .

- Może sama sobie nie zdajesz sprawy, jak wiele to znaczy. Posiadasz coś, do czego inni muszą dochodzić latami. Może - jeszcze posiadasz. A więc: nie zgub tego.

Nie rozmawiały jednak wiele na ten temat.

Spotkały się z Goską na Stolarskiej, przed kościołem Dominikanów.



Kościół był cichy i pogrążony w ciemnościach, ale gęstniał w nim tłum. Wciąż dochodzili następni i następni. W koszach przy wejściu leżały długie, cienkie świece. Żadnych bibułkowych lampionów. Gośka zwyczajnie wzięła jedną świecę, Lilka po namyśle zrobiła to samo.

- Rorate coeli desuper... et nubespluantiustum... - rozległy się czyste, zgrane ze sobą głosy scholi. „Spuście rosę, niebioso, a obłoki niech wyleją Sprawiedliwego” - przypomniała sobie Lilka odwieczną adwentową pieśń. Wniesiono długą, białą świecę i cały kościół z wolna rozjarzył się małymi płomykami. Pierwsi przekazywali płomień zakonnicy w białych habitach, dalej - kolejni, najczęściej młodzi ludzie, ich twarze w mroku były skupione i serdeczne. Lilka aż przysiadła z wrażenia na schodkach konfesjonału. Pieśń płynęła, odbijając się od ginącego w mroku sklepienia starego kościoła. Ludzie trzymali w dłoniach zapalone świece. Żelazny, siedmioramienny świecznik na ołtarzu rozjarzył się blaskiem. I tylko tyle. Żadnego innego oświetlenia.

Gośka przechyliła ku niej świeczkę, odpaloną od wysokiego chłopaka w czerwonym polarze. Uśmiechnęły się do siebie. Złoty płomień przeskoczył z jednego knota na drugi, nie gasząc poprzedniego.

Lilce przypomniała się nagle opowieść cioci Kasi.

Tak, to było to.

Tak wiele się zdarzyło w ciągu ostatnich, burzliwych miesięcy. Wypadek. Szpital. Samotne wieczory, spędzane nad książką w towarzystwie kota, podczas gdy Fiona latała od jednej knajpy do drugiej, pilnując wystaw, odczytów, koncertów. Tęsknota. A jednak w tym wszystkim dostrzegała i coś dobrego: zyskała nowych przyjaciół.

Zerknęła na Gośkę, zaszuchaną w psalm. Odwzajemniła uśmiech.

Tak. Z pewnością Gośkę może już nazwać przyjaciółką. To się po prostu wie.

Równocześnie nie straciła przecież kontaktu z Kasią. Niemal codziennie pisały do siebie maile - może czasem głupie, nieważne wiadomości, może trochę się w tym wszystkim ostatnio pogubiły. Kaśka spędzała coraz więcej czasu z „jej” Damianem i chyba dlatego krępowała się dzielić każdą myślą. Niepotrzebnie.

Od pewnego czasu Damian już nie był „jej”.

Niektóre światełka po prostu wygasają, niepostrzeżenie, same z siebie - i nic nie można na to poradzić, a czasem nawet - nie trzeba.

Nie wydarzyło się pomiędzy nią i Kasią nic, czego by nie mogła wyjaśnić jedna szczerą rozmowa. Trzeba ją będzie przeprowadzić. To ważne.

Zbyt ważne, żeby miało pozostać niedopowiedziane.

Zamyśliła się tak głęboko, że Gośka musiała ją pociągnąć za kaptur kurtki, żeby powstała na Ewangelię.

Myślała o Bartku i o tym, że on się chyba pogubił. Zrozumiała to nagle - przed chłopakami z klasy Bartek wstydził się przyjaźni z „babą”, przed Lilką - krępowała go nadmiernie nieraz czuła opieka mamy. On chciał grać twardziela. Zależało mu.

Czy to z powodu fizycznej ułomności? Czuł się gorszy?

4\*      \*

Ale przecież przyjaźń czy miłość w rodzinie nie były ułomnością?

Przecież może żyć w zgodzie z chłopakami z klasy, z Lilką, z własną mamą? Płomień się dzieli, użyczając światła. Bez uszczerbku.

A może - nie zawsze?

Dlaczego?

Pomyślała, że musi koniecznie o tym z Bartkiem porozmawiać. Nie w marzeniach - naprawdę.

A śniadanie - kanapki z twarogiem i cukrem oraz dżem

- było rzeczywiście pyszne, chociaż Lilka z początku czuła się nieco skrępowana. Po mszy Gośka po prostu pociągnęła ją w stronę krużganków klasztoru, dokąd zresztą płynęła cała rzeka młodzieży. Brodaci studenci znikali w większości za zakrętem, a młodszy zajęli wysoką, wąską salę — tam czekał wielki, drewniany stół, przy którym zasiedli wszyscy razem, na czele z kilkoma ojcuzłkami w białych habitach, tłocząc się, przepychając, wznosząc gromkie powitalne okrzyki. Na stole stały misy z dżemem i twarogiem, dwie dziewczyny w kolorowych szalikach roznosiły herbatę, nikt nie zadawał zbędnych pytań i nikt się nie dziwił; po prostu zasiedli i jedli.

Gośka, przywitana serdecznie przez kilka dziewcząt w wieku licealnym, przedstawiła im przyjaciółkę - i po chwili Lilka siedziała z kromką w dłoni, kubkiem parującej herbaty przed sobą, przysłuchiwała się rozmowom przy stole

- i po prostu, zwyczajnie, czuła się dobrze.

Po śniadaniu pobiegły obie w stronę szkoły przez cichy o tej porze Rynek, przez przyprószone s'niegiem Planty. Były w klasie pierwsze, ranne ptaszki - jeszcze zdążyły sprawdzić sobie lekcje. Lilka znalazła błąd w zadaniu z fizyki, porównując swoje odpowiedzi z Gosią, a Gosia - uzupełniła za-

pomniane ćwiczenia z anielskiego. Na deser został im też kwadransik na radosne oplotkowanie całej niemal klasy.

Jasne anioły i babskie problemy

- O, rany - jęknęła Lilka, rzucając plecak na podłogę w kuchni. - Można wiedzieć, co ty wyprawiasz?

Tym razem Fiona wcale nie wyglądała jak gotycka księżniczka w czerni. Szczerze mówiąc, była biała jak córka młynarza. I jak ona obficie posypana mąką.

- A, bo ten twój kot wskoczył mi prosto w półprodukty - machnęła ręką Fiona, wznosząc w powietrze kolejny, biały obłoczek. - Teraz masz kota w cieście. Chcesz zobaczyć? Zabarykadował się z własnej woli pod szafą w przedpokoju, ponieważ wygłosiłam do niego małą mowę z gatunku takich, których nie powinny słuchać trzynastoletnie pannice. Nie spodobałaby się twojej mamie.

- Kotu też się nie spodobała - stwierdziła Lila, wczółgu-jąc się pod szafę. - O, rany. Myślałam, że ten kot jest rudy.

- Był rudy. Teraz jest raczej mącznołososiowy. Dobrze mu tak.

- Po co ci tyle ciasta? Zakładasz piekarnię?

- W pewnym sensie. Mam do zrobienia tysiąc dwieście aniołków na przyszły wtorek. Pomożesz?

-Ile?

- Tysiąc dwieście. Moja znajoma zwariowała i podpisała kontrakt z OBI, nie czytając go zbyt uważnie. Jak już go przeczytała, to się okazało, że zobowiązała się dostarczyć rękodzieło artystyczne do sklepów w całym kraju, nie tylko w Krakowie. Ratujemy jej tyłek.

4\* '

- A z czego te aniołki?

- Z mąki - mruknęła Fiona, spojrzała na siebie i zaśmiała się. - Oraz soli.

Oraz pewnej ilości wody z kranu. Zaraz będę mieszać.

Po raz kolejny w tym roku Lilka doświadczyła, że proste czynności gospodarskie sprzyjają porozumieniu między kobietami. Produkcja aniołków odbywała się metodą taśmową - rzeczywiście, nie było to specjalnie skomplikowane

- Fiona układała na folii zgrabne półksiężyce, czyli przyszłe skrzydła, Lilka doklejała im podłużne wałki, rozklepane u dołu, stanowiące podstawę anielskich sukienek. Później szły łapki, stopki, kołnierze i głowy. Włosy wyciskały przez praskę do czosnku.

Pogadały sobie od serca, nareszcie. Ostatnio miały się często. Lilka po szkole zasiadała do odrabiania lekcji, Fiona tymczasem barykadowała się w łazience i robiła na bóstwo nadchodzącego wieczoru. Później zasiadały do obiadowokolacji - ściśle rzecz biorąc, dla Fiony był to obiad, dla Lilki kolacja. Przetykana przez Fionę w pędzie - niewiele rzeczy umiała robić bez pośpiechu, może tylko spać

- rzadko dawała okazję do dłuższej pogawędki. Wiezorami Fiona najczęściej wychodziła - jeśli nie miała akurat koncertu, zwykle czekało ją jakieś spotkanie, prywatne lub służbowe.

Lubiły rozmawiać, ale tak naprawdę udawało im się jedynie w tramwaju, podczas jazdy na Prokocim, na kolejne badania i rehabilitację. W drodze powrotnej na ogół milczały

- Lilka była dość często zbyt zmęczona, by gadać.

- Jesteś szalenie rozchwytywaną osobą - powiedziała kiedyś do Fiony, obserwując, jak tamta wykańcza swoje makijaże, równocześnie odbierając telefon za telefonem.

- E tam! - Fiona tylko wzruszyła ramionami, macając stopą w poszukiwaniu pantofelka. - To wszystko głupoty. Takie sztuczne życie. Oczywiście komórka Fiony rozdzwoniła się kolejny raz i Lilka nie dowiedziała się, co jej szalona ciotka miała na myśli.

Kilka dni później zdarzyło się coś, co dało Lilce trochę do myślenia. Obudziła się w środku nocy (dochodziła trzecia). W dużym pokoju paliła się mała lampka - Fiona była w domu, ale jeszcze nie spała. Lilka usłyszała muzykę, miękką i melodyjną, i aż wstała z łóżka. Jej ciotka grała na gitarze. Nigdy wcześniej nie słyszała, jak gra.

Znowu duszna miejska noc, Gdzieś daleko krzyczał ktoś, Może chciał Wykrzyczeć cały strach.

Za oknami lampy lśnią, Oświetlając drogę cudzym snem. Wieje wiatr, Zmiata z ulic ślady dnia.

Gdzie mój dom? Mój najlepszy w świecie dom, Moja świeca na oknie, Jasny stół - jak stały łąd... Gdzie mój dom?

„A gdzie mój dom?” - pomyślała Lila i już-już zamierzała zapukać we framugę, by zdradzić swą obecność, gdy ze zdu-

127\* «W#.

mieniem zobaczyła, jak Fiona opiera gitarę na kolanach, na gitarze głowę - i płacze.

A przecież Fiona miała swój dom - piękne, stare mieszkanie. I ciekawą pracę. Spotykała się z tymi wszystkimi artystami, o których Lilka wcześniej tylko czytała w gazetach, miała też sporo przyjaciół - sądząc z częstotliwości wieczornych wypadów do pubu.

Nagle uderzyła ją jedna myśl: Fiona bardzo rzadko zapraszała kogokolwiek do domu.

Dlaczego? Mieszkanie nie należało do najbardziej wysprzątaných, ale było pełne uroku. Piękne, stare meble, te wszystkie cudenka i ozdoby wyprodukowane rękami Fiony tworzyły klimat poetyczny i niepowtarzalny.

A może Fiona unikała gości ze względu na nią, Lilę? Chyba nie - po prostu nie miała takiego zwyczaju. W zasadzie jedynym stałym bywalcem był doktor Marek, a i on ostatnio pojawiał się rzadziej.

W domu rodziców Lilki bez przerwy przewalały się tłumy: ciotki, sąsiadki, pracownicy pizzerii, przyjaciółki starszych dziewczynek, znajomi taty jeszcze z czasów licealnych. Rodzice zagarniali tylu ludzi dla siebie, wokół siebie... Dzieci się śmiały, ujadał pies, koty chodziły bezczelnie po stole, mama krzątała się w kuchni, dorabiając kolejne porcje kanapek...

A Fiona, jeśli w ogóle była w domu, to najczęściej sama.

Samotnik z wyboru. Tylko czy na pewno?

I czy w takim razie ona na pewno Fionie nie przeszkadza?

Zerknęła na swoją starszą towarzyszkę spod rzęs. Doklejała aniołkom modlitewnie złożone dłonie, nucąc coś pod nosem.

- No, dawaj, dawaj te włosy, zanim łebki pozasychają! - wołała wesoło. - I nawijaj dalej. Jak słucham o szkole, przypominają mi się moje młode lata.

Co z tym twoim klasowym utrapieniem?

Wyglądała na zadowoloną.

Chyba jednak dobrze żyło im się razem.

Zapach rumieniących się w piekarniku wyrobów plastycznych wprowadził do kuchni atmosferę prawdziwego domu. Skłaniał do szczerých zwierzeń.

Lilka ani się obejrzała, jak zwierzyła się Fionie z większości swoich sekretów. Przeważnie dotyczyły one Bartka.

- A idźże z nim w końcu na porządny spacer i pogadaj! Bo ja sama nie wiem: albo ten chłopak ma problem ze sobą, albo jest po prostu rozpieszczonym, chorym maminsynkiem, a twoja wyobraźnia przypisuje mu, nie wiadomo czemu, cechy rycerza bez skazy. Musisz się dowiedzieć. A ten Mączyński?

- Co, Mączyński? - spłoszyła się nagle Lila.

- Nie wiem. Też często o nim opowiadasz.

- Pewnie dlatego, że ma śrubkę w tyłku, wszędzie go pełno - zlekceważyła Lilka. -Jeśli cokolwiek się dzieje w naszej klasie, w środku tkwi on sam.

- Odprowadza cię do domu - zauważyła Fiona.

- To dlatego, że lubi wałęsać się po Rynku, jak ja. I mieszka przy Miodowej. W zasadzie zaczęliśmy wracać razem przez przypadek.

- Lubisz go?

- Dość. On się przynajmniej nie popisuje na siłę. I nie unika mnie w klasie, a wręcz przeciwnie. Ostatnio zatrudnił mnie i Goškę do produkcji szopki krakowskiej w technologii tradycyjnej, ponieważ brakowało mu w zespole ko-

biecej ręki. W jego rodzinie wszyscy robią szopki - dodała Lilka i parsknęła śmiechem, bo jej się przypomniało, jak Mączyński zdecydował, że w tegorocznej szopce koniecznie muszą być ruchome figury. Przyniósł w tym celu stary adapter dziadka i z pomocą zaintrygowanego pana od WT zainstalowali go na parterze budyneczku z kartonu i kolorowych stanioli. Ustawili figurki na próbę, podłączyli i... celulooidowa Maryjka ruszyła z wizgiem dookoła w tempie, od którego mieniło się w oczach. Za nią gonił z rozwianym włosiem Józef, przechyliwszy się w pędzie. Wyglądał, jakby miał problem z utrzymaniem równowagi. A Dzieciątko ka-tapultowało się



ze żłóbka wprost pod drugą ławkę.

- Cóż za piękny, znaczący obrazek: on ją goni, ona ucieka, a zanedbane dziecko gdzieś pod stołem leży - wygłosił w zadumie nauczyciel od wychowania technicznego, podnosząc małego Jezuska z podłogi. -Jeśli chodzi o nawiązanie do współczesności, powinno tak zostać.

Wszyscy zgodnie zarechotali.

— Cóż, mimo wszystko nie przypuszczam, żeby księdzu katechecie przypadło do gustu - powiedział profesor, jak już się wszyscy wyśmiali do woli. Dokonał przy całej aparaturze jakichś skomplikowanych manipulacji, w wyniku których Święta Rodzina ruszyła w kółeczko o wiele stateczniej.

Fiona uśmieła się serdecznie. Sama również w przeszłości dorabiała sobie do świątecznego budżetu tradycyjnym szop-karstwem (a mówią, że tradycja w narodzie ginie!). Na prośbę Lilki otrzepała starannie ręce z mąki i wyciągnęła z głębi szafy jedyne swoje dzieło, które pozostało do dziś. Odkurzyła starannie pędzelkiem i ustawiła na stole w salonie.

- Ojej - zachwyciła się Lilka, oglądając wymuskane, gotyckie wieżyczki w kolorze liliowym, z granatowo-srebrnymi dodatkami i zawijasami. Fiona podłączyła szopkę do kontaktu i w oknach rozbłysły secesyjne witraże, jakby żywcem przeniesione ze szkiców Wyspiańskiego. - Fiona... ja cię kręcę! Nasze dzieło, mimo że z adapterem, nawet się nie umywa...

Naprawdę super! I nie taka pstrokata jak inne.

- Zrobiłam ją dla siebie i dla swojego ówczesnego faceta - wyjaśniła Fiona. - Też mi zawsze przeszkadzał ten natłok kolorów, jak u papugi. Jest trochę fajansiarska, jak każda krakowska szopka zresztą, ale przynajmniej nie tak okropnie. Nawet ją lubię.

- To dlaczego nie wyciągnęłaś jej wcześniej?

- Nie wyciągałam jej od ośmiu lat. Budzi różne wspomnienia. - Fiona machnęła ręką i nagle przyjrzała się szopce z namysłem. - Wiesz, to dziwne...

- No? - Lilce nagle zachciało się śmiać, Fiona wpatrywała się we własne dzieło z oczami jak spodki, jakby z barwnego cacka miał nagle wyskoczyć wilkołak.

Ale nie wyskoczył. Wręcz przeciwnie.

- Dziwne - powtórzyła w zamyśleniu Fiona. — To nieprawda, co przed chwilą powiedziałam: wcale nie budzi wspomnień. A może inaczej — budzi, ale już nie bolą. Możemy ją sobie zostawić na święta.

- Ciekawe, czy spodoba się panu doktorowi. On ma bzika na punkcie Krakowa i rozmaitych tradycji.

- On ma bzika na wielu różnych punktach - zauważyła Fiona i jakby posmutniała. - Z wyjątkiem mnie.

- E, chyba przesadzasz - zaprzeczyła Lilka. - Moim zdaniem jest dokładnie na odwrót. To ty zajmujesz się wszystkim i wszędzie, a jego traktujesz jak miły dodatek.

- No coś ty? — ucieszyła się nagle Fiona. - Naprawdę tak to wygląda? Bo wiesz, ja mam jakiegoś dziwnego pecha do facetów. Chcesz, to ci opowiem historię sprzed lat. O tym od szopki.

Z Kamilem znali się od zawsze: od zasmarkanego dzieciństwa w piaskownicy, przez szkołę podstawową (choć w innych klasach), aż do liceum. W liceum wszyscy uważali ich za parę o wiele wcześniej, niż sami poczuli siłę przyciągania. Zresztą - czy to była siła przyciągania, czy przyzwyczajenia, Fiona sama dokładnie nie wiedziała. Dość, że zaraz po

maturze czuła się już w zasadzie zaręczona.

- Pasował do mojego poukładanego życia - wyjaśniła, a Lilka pokiwała głową, uśmiechając się jakby do własnych myśli. - Tak, bo wtedy wiodłam życie proste i poukładane. W szkole może nie prymuska, ale bardzo dobra, miałam swoje wysoki, ale się starałam. Później studia - polonistyka, seminaria, wykłady, bardzo to lubiłam. Przychodził po mnie codziennie, odbierał mnie z zajęć, włączyliśmy się razem po Krakowie i rozmawialiśmy o przyszłości. On poszedł na AGH, na wydział telekomunikacji. Szukał zawodu, który gwarantuje wysokie dochody. Wszystko było zaplanowane. Naturalne jak oddychanie. Najpierw dyplom, zaraz po dyplomie ślub, dwójka udanych dzieci - ciągnęła Fiona, a Lilka dalej kiwała głową w zamyśleniu. - Rodzice znali się wzajemnie i akceptowali nasz związek, większość znajomych zazdrościła mi takiego chłopaka... i świetlanej przyszłości.

Pierwsze problemy pojawiły się, kiedy do naszej grupy dołączył niejaki Maciek. Fascynował mnie. Odkryłam, że ma coś, czego brakuje mojemu Kamilowi: prawdziwą pasję. Na kierunku nauczycielskim Maciek jako jedyny był już

I o

\*.^\132

od dawna pedagogiem i nauczycielem. Działał jako wolontariusz w Domu Dziecka, samodzielnie prowadził zajęcia świetlicowe, udzielał korepetycji, pomagał w przystosowywaniu dorosłych wychowanków do normalnego, samodzielnego życia. Bez przerwy nosił ze sobą jakąś mądrą literaturę, zaczytywał się w różnych pedagogicznych autorytetach i - po prostu tym wszystkim żył. I nie tylko - oprócz tego znajdował czas na ambitne kino

europiejskie, latał na paralotni, jeździł na nartach jak szatan, zwiedził autostopem połowę Europy. Te jego opowieści! Mogłam ich słuchać godzinami. Zobaczyłam, że mój Kamil tak naprawdę jest bezbarwny. Nijaki. Najbardziej w życiu interesowały go pieniądze i niewiele poza tym. Nasze rozmowy bezustannie kręciły się wokół tematów: jaką pracę dostaniemy, gdy skończymy studia, ile będziemy zarabiać, jak urządzimy dom. Wiedziałam, że czeka na mnie mieszkanie po babci, w tamtych czasach moi rodzice wynajmowali je grupie studentów (żeby nie miała głupich pomysłów typu przedwczesne zamieszkanie z facetem), ale było ustalone, że po ślubie zyskam do niego pełnię praw. Słuchając Maćka, szybowałam wysoko w chmury i rozwijałam skrzydła wyobraźni: pociągał mnie świat. Słuchając Kamila - zasypiałam. Aż wreszcie popełniłam tragiczny błąd: po kolejnej przegadanej imprezie zostałam u Maćka na noc. No i stało się...

Lilka uniosła brwi. Tych tematów jeszcze nie poruszały. Szczerze mówiąc, nigdy wcześniej nie rozmawiała o takich sprawach z dorosłą kobietą.

- Chyba mogę mówić z tobą otwarcie, prawda? Tyle się rozprawia o tym, że młodzież teraz taka wyedukowana, ob-latana w teorii i hm... w praktyce ponoć też? - Fiona spojrzała pytająco na Lilkę.

133 -'.^.

- W teorii, w teorii - uspokoiła ją Lilka. - Też słyszałam te różne opowieści o młodzieży, ale może zapisałaś mnie do nietypowej klasy: na razie nie znam osobiście nikogo, kto by chwalił się zastosowaniem... hm... teorii w praktyce. Owszem, chodzą po szkole słuchy o wydarzeniach na imprezie w drugiej „a”...

- Liceum?

- Gimnazjum. Ale to chyba wyjątek.

- Mam nadzieję. Boże broń przed takimi wyjątkami - wzdrygnęła się Fiona. - W każdym razie w czasach mojej burzliwej młodości przejście od teorii do... praktyki następowało raczej pod koniec liceum, czasem jeszcze później. Ja w każdym razie zamierzałam poczekać z tym aż do ślubu.

- O? - zdziwiła się Lilka, a Fiona zaśmiała się z jej zdziwienia.

- Oczywiście, całowałam się z narzeczoną, i w ogóle. Ale najważniejsze sprawy pozostawiliśmy sobie na deser, przeczuwając tę wielką prawdę: pierwszy raz łączy ludzi, jak mało co na świecie. Mówię ci to z całą szczerością i powagą.

-Az kim... Eee... Czy to znaczy...

- Znaczy, znaczy. Dlatego przyznaję, możliwe, że wtedy popełniłam błąd mojego życia. Chociaż, zważywszy na dalszy rozwój wypadków - może to było jednak ostrzeżenie, a nie błąd?

- Nie rozumiem.

- Zaraz zrozumiesz. Tak jak wspomniałam, impreza pod koniec czwartego roku, na którą nie zaprosiłam swojego Kamila, tłumacząc, że jest to z założenia impreza bez osób towarzyszących (co nie było prawdą), zakończyła się długą, romantyczną nocą w akademiku. Współlokator Maćka

akurat wyjechał, warunki jakby specjalnie stworzone na tę okazję. To był mój pierwszy raz. -I co?

- I dokładnie to, co powiedziałam wcześniej: może z facetami jest trochę inaczej, ale dla kobiety pierwszy partner, jeśli oczywiście reprezentuje pewien poziom, staje się kimś najważniejszym na świecie. Tu chyba działa po prostu biologia albo coś. W każdym razie - w ciągu jednej nocy

przepadłam dla żywych. Przedtem to była fascynacja, a potem zakochałam się po uszy z siłą, o którą sama się nie podejrzewałam, krocząc statecznie u boku Kamila. Chciałam mieć Maćka dla siebie, przy sobie. Wypełniał moje sny.

- Kamil się dowiedział?

- Powiedziałam mu. Zresztą nie mogłam inaczej - cokolwiek nas łączyło przez te długie lata, skończyło się. Jakby ktoś nagle wyciągnął mi wtyczkę z kontaktu. Tak mi się przynajmniej wtedy wydawało. Kamil odszedł bez słowa. Pamiętam, patrzyłam za nim długo i dziwny lęk ścisnął mi wtedy gardło: jak ja sobie poradzę, jak sobie poradzę w wielkim, zimnym świecie bez człowieka, który mnie zawsze wspierał i ochraniał? Od dnia, w którym jakiś łobuz wcisnął mi na głowę wiaderko w piaskownicy? Gdy wydostałam się wreszcie z wiaderka, plując piaskiem, mały, drobny Kamil siedział okrakiem na wyrośniętym, wyjąłym wniebogłosy grubasie i tłukł go po głowie kawałkiem cegły. Musieli ich siłą rozdzielić, przecież by go zabił. Mieliśmy wtedy może po sześć lat! I odtąd tak było zawsze. Ale wtedy widziałam te sprawy jak przez mgłę - liczył się dla mnie Maciek. Tylko on.

- I co? - spytała Lilka, gryząc paznokcie z przejęciem. Uwielbiała romantyczne historie. Najbardziej te ze szczęśliwym zakończeniem, ale tutaj - przecież wiedziała - nie

4\*       "

zanosilo się na „żyli długo i szczęśliwie”. No, bo - gdzie ten Maciek jest?

- Maciek... Maciek porzucił mnie po trzech miesiącach. Oświadczył, że nie nadaje się do stałych związków, że się dusi, że otoczyłam go takim ciasnym kokonem miłości, że nie ma już w nim miejsca dla niego samego.

Możliwe, że była to prawda... Ale było też coś innego. On przede wszystkim umiał pięknie opowiadać. Dużo robił, to fakt, ale od kiedy włączyłam się naprawdę w jego życie, zobaczyłam, że nie jest ono tak wspaniałe, jak wyglądało z zewnątrz. Chwytał tysiące srok za ogon, pozornie dobry, otwarty na innych, bywał nieuważny i niesystematyczny. Uwielbiał błyszczeć

- i uwielbiał podziw w oczach kobiet. Byłam tylko kolejną zabawką, potwierdzeniem jego własnej wspaniałości.

- Ojej — westchnęła Lilka. - W sumie szkoda.

- Wiesz, jak ja żałowałam? Odchorowywałam ten związek przez długie miesiące. Najpierw miałam nadzieję, że wróci. Jeszcze się starałam, aranżowałam jakieś spotkania, kombinowałam tak, żeby zawsze być z nim w grupie zajęciowej. Pisałam listy. Chyba słowo „godność” wyleciało mi wtedy z głowy, niestety. W końcu Maciek zmienił harmonogram zajęć tak, żeby wylądować jak najdalej ode mnie. I to mnie wreszcie ocuciło.

Zrozumiałam, że naprawdę mnie nie chce. Zresztą widywałam go później - z coraz to inną koleżanką z roku. Śmiałyśmy się - chociaż po wielu latach - że powinnyśmy chyba założyć jakiś klub. Ale w tamtych czasach żadnej z nas nie było do śmiechu. A później... zaczęłam żałować Kamila.

- Spotkaliście się jeszcze?

- Wyobraź sobie, że tak. To dla niego robiłam tę szopkę

- powiedziała powoli Fiona i usiadła na parapecie. - Prze-

.\$."\* 136

praszam, muszę zapalić. Dochodzimy do najbardziej stresujących momentów opowieści.

- Ostatnio palisz jakby mniej? - zauważyła Lila. - Czyżby dobroczynny

wpływ doktora Marka?

- W pewnym sensie. - Fiona zachichotała nagle. - Wiesz, nie przekonują mnie te jego uczone wywody i wzniosłe argumenty. Ale jak facet mnie przytula i pociąga nosem, krzywiąc się z niesmakiem, to już jest wkurzające! Nie mówiąc już o sytuacji, w której przed pocałunkiem wstrzymuje oddech...

- rozpędziła się i spojrzała na Lilkę, nagle zarumieniona.

- Więc co ja, tego... Wiesz, kupiłam sobie nawet specjalne plasterki, spróbuję rzucić to świństwo od Nowego Roku. Ale nie mów nikomu. Jak się uda, to będzie niespodzianka.

- Super! - poparła ją gorąco Lila. - Myślę, że doktor Marek się naprawdę ucieszy. To będzie znak, że naprawdę ci na nim zależy. A on potrzebuje takiego sygnału.

Skoro już gadały jak kobieta z kobietą, to mogła sobie pozwolić również na takie spostrzeżenie.

- Tak myślisz? - Fiona wyraźnie się ożywiła. - Wiesz, ja go lubię... Bardzo, bardzo lubię, ale mam czasem wrażenie, że on traktuje mnie jak dziecko. Jak małe, rozkapryszone dziecko, z którym od czasu do czasu można się pobawić. A ja nie chcę być więcej niczyją zabaweczką.

- To tylko demony przeszłości - stwierdziła poważnie Lilka. - Przychodzą z mroku i wgryzają się w duszę. No dalej, wykurzamy wszystkie demony z szafy. Opowiadaj o Kamilu.

Fiona zgasiła papierosa i beztrąsko wyrzuciła niedopałek przez okno.

Lilka się skrzywiła.

- No dobra, przegięłam - przyznała Fiona, czując się nieswojo pod karcącym spojrzeniem nieletniej przyjaciółki.



- Nie chciało mi się wstawać po popielniczkę. Nigdy tak nie rób. I, co to ja chciałam? Wiesz? Ty chyba masz rację, najwyższy czas wytrześć wszystko z szafy i poukładać na nowo. Mówię o przeszłości. Świetnie się z tobą gada.

- Dziękuję - uśmiechnęła się wdzięcznie Lilka. - Naprawdę mnie to interesuje. Sama układałam sobie przy okazji w głowie to i owo. Więc co z tym Kamilem?

- Spotkaliśmy się przypadkiem na imprezie u wspólnych znajomych. Minął rok. Skończyłam studia, chociaż na ostatnim roku było ciężko. Wbrew woli rodziców przeforsowałam wykwaterowanie lokatorów z mieszkania i wprowadziłam się tutaj. Żadne z nas nie miało wtedy nikogo bliskiego i tak zaczęliśmy spotykać się znowu. Przez ten rok wiele rzeczy sobie przemyślałam, wiesz? Zobaczyłam, że w życiu liczy się coś więcej niż piękne składanie słów w zdania. I naprawdę tęskniłam za moim dawnym chłopakiem. Niepozornym, ale spokojnym i odpowiedzialnym. Bardzo się ucieszyłam, kiedy coś drgnęło ponownie między nami. Pomyślałam, że wynagrodzę mu wszystkie cierpienia i będę dla niego najlepsza, jak umiem. Tyle że to już w ogóle nie był on.

- To znaczy?

- Po naszym rozstaniu Kamil czuł się zraniony. Zrozumiał - a może mu wytłumaczyła jakaś „życzliwa” dusza

- że przegrał, ponieważ w porównaniu z błyskotliwym, wszędobylskim Maćkiem nie miał nic szczególnego do zaoferowania. Tylko spokój, pracę, drobiazgowy plany. I - zupełnie zmienił swoje życie. Żadnych planów. Jak wygłodniały sęp rzucił się na te wszystkie lekceważone wcześniej rozrywki młodości - panienki, szaleństwa. Zaczął pić. Niewiele, ale

regularnie. I znów znaleźliśmy się na

■&': ■\*

przeciwnych biegunach pragnień: on chciał się bawić, ja tęskniłam za domem i spokojem. Mimo wszystko mieszkał u mnie przez kolejny rok. Znalazłam sobie pracę w szkole, on ciągle wybrzydzał. Ta firma dawała za niskie dochody, tamta znowu wymagała zbyt wiele. A on przecież znał swoją wartość. Kochałam go - naprawdę, dołączały się do tego wyrzuty sumienia: romansując z Maćkiem, zmarnowałam wszystko, co tworzyliśmy przez długie lata - przyjaźń, zaufanie - ale miałam szczerą wolę, żeby to odbudować.

- Nie udało się?

- Nie udało. Kamil tak naprawdę nigdy nie wybaczył mi tamtej zdrady. A ja... widzisz, powtórzę ci jeszcze raz to, co już mówiłam: ten pierwszy raz ma dla kobiety ogromne znaczenie. Kochałam Kamila, chciałam go odzyskać, ale Maciek zabrał ze sobą zbyt wiele. Nie byłam w stanie wzbudzić w sobie aż takich emocji. W sensie fizycznym. Może to czuł, może właśnie tego mu zabrakło. W końcu odszedł - powiedział mi na odchodnym, że stałam się małą, nudną mieszczańeczką: serweteczki na stole, rachunki w notesiku, przytulanki w środy po południu i w soboty wieczorem. I że nie jestem już tą Fioną, którą kochał. A on zapewne nie jest tym, którego kocham ja. Duch Maćka ciągle unosił się nad nami. Nie miał racji, a przynajmniej nie do końca. Nie wiedział, że powtarzalność zdarzeń mogła pozwolić nam po kawałku odbudować poczucie bezpieczeństwa. Dla niego zresztą starałam się wyrzec tej powtarzalności. Nawet przestałam być „małą mieszczańeczką” - rzuciłam pracę w szkole, a zaczęłam w knajpie. A później znalazłam swoją prywatną żyłę złota:

organizację imprez i koncertów. Mimo tego odszedł. A ja? Cóż, mogłam tylko żałować. I myśleć, w nieskończoność myśleć

139 \* "W • • V •

O' "

o tym, co by było, gdybym umiała zachować... samą siebie. Dla tego, z którym chciałam przecież spędzić życie.

- Czyli dawne autorytety mają rację, nakazując czystość aż do ślubu? -

Lilka aż pokręciła głową. - Nie jest to chyba łatwe... w tym świecie.

- Nie wiem, czy do ślubu, ale na pewno - dla tego, z kim chcesz być naprawdę. A „naprawdę” oznacza - całe życie, bo inaczej - gdzie w tym wszystkim sens? Spójrz na to raczej od tej strony... „Dawne autorytety”, jak sama stwierdziłaś, w ogóle mają dużo racji, ponieważ opierają swoją mądrość na doświadczeniu pokoleń. Niektóre z doświadczeń są nam teraz zupełnie obce. Nie wiem tylko, czy to objaw rozwoju, czy zdziczenia — powiedziała w zadumie Fiona.

- Na przykład?

- Na przykład współczesna psychologia bez przerwy bełkocze o uwalnianiu prawdziwych emocji. Że nie wolno ich tłumić i różne takie tam. A w Dekalogu stoi jasno: „nie pożądaj”. W przykazaniu miłości: „Kochaj”. Kochajcie nieprzyjaciół swoich, pamiętasz? I dalej: nie unosie się gniewem. Nie zazdroście. Pismo Święte nakazuje nam kontrolę nad emocjami: a jeśli uznać Pismo za głos Boga, to przecież Stwórca zna ograniczenia własnych stworzeń. A jednak nakazuje nam kontrolę nad tym, co czujemy.

- I jak myślisz, da się to w ogóle kontrolować?

- Jasne, że się da - oświadczyła z mocą Fiona i wstała z parapetu. - A

propos kontroli, czy ty wiesz w ogóle, która jest godzina? Wpół do pierwszej. Kurczę, przecież ty idziesz jutro rano do szkoły! Ale ze mnie opiekunka, nie ma co.

- Najlepsza na świecie - uściskała ją gorąco Lilka. - Dziękuję za szczerość.

Prezent dla. Kaśki

Grudzień minął jak złoty sen i nadeszły święta. Cudowne, wyczekane.

Znów przyjechali po nią wszyscy - przez cały weekend cichy dotychczas dom Fiony rozbrzmiewał piskiem Miśki i Jagódki - tym bardziej że wyczarowały w nim obie tyle cudów! Szopka pobłyskiwała secesyjnymi witrażami na komodzie, gałęzie wielkiej, zielonej choinki zaludniał tłum aniołów - tych z ciasta, ale też z atlasu, ze skrzydłami z koronki zdobytej w lumpeksie, z papieru, ze słomy. Setki gwiazdek z materiałów różnych zwisało z sufitów, tworząc baśniową, lśniącą pajęczynę. Fiona była prawdziwą czarodziejką - a Lilka sporo się od niej przez ten czas nauczyła.

- Zawsze tak szalejesz na święta? - Lilka z podziwem oceniła wygląd dużego pokoju.

Fiona wzruszyła ramionami.

- Nie. Z reguły w święta naciągam koc na głowę i udaję się spać - rzuciła lekko, a Lilka nie wiedziała, czy żartuje, czy też mówi prawdę.

Z Fioną nigdy nic nie wiadomo. Młode obejrzały dosłownie każdy kąt.

- Dlaczego ty, ciociu, nie masz dzieci? - zastrzeżiła ją nagle Miśka. Fiona przystanęła z kotem w ramionach. Zdjęła go z choinki.

- Jakoś tak wyszło. A co? - spytała, rozbawiona.

- Bo byłąbyś taką supermamą! Umiesz zrobić chyba wszystkie zabawki na świecie!

Fiona zamrużyła oczami. Uściskała Miśkę gorąco, z całego serca.

o I

141 \* »W •• ▼•

w\* "

W aucie taty było gorąco i gwarno. Lilka, wcis'nięta między fotele dziewczynek, czuła się zarazem sprasowana na placek i bardzo, bardzo szczęśliwa. Jechali do domu!

Po drodze wszyscy razem śpiewali kolędy, chociaż do Wigilii pozostały jeszcze całe dwa dni.

Spotkała się z Kasią. Długo rozmawiały, szeptem, żeby nie podsłuchały wyrzucone do kuchni dziewczynki. W końcu to poważne, młodzieżowe sprawy. Jak można w ciągu dwóch godzin streścić całe nowe, gimnazjalne życie?

A jednak jakoś się udało. Lilka mówiła z przejęciem, słuchała uważnie. Rozumiały się też, poza wszystkim, między wierszami.

- Nie gniewasz się... o Damiana? - odważyła się wreszcie sformułować to najważniejsze Kasia. -Ja nie chciałam... Po prostu, jak wyjechałaś, spędzaliśmy razem coraz więcej czasu. Najpierw gadaliśmy o tobie, później - zaczęliśmy razem grać i śpiewać w kole. I jakoś tak...

- Podoba ci się, prawda?

- No... tak. Zawsze mi się podobał, ale był twój.

- Nie był mój - zaśmiała się Lilka. - To znaczy, od zawsze się przyjaźniliśmy. Może trochę podchodów zaczęło się w szóstej klasie.

Podrzucał mi cukierki z choinki do piórnika!

- W piątek w mojej teczce wylądował aniołek z czekolady - oznajmiła rozbawiona Kasia. - Widać on tak ma. Najlepiej się czuje w roli Świętego Mikołaja.

- No widzisz - ucieszyła się Lilka głównie z tego, że nic, a nic nie czuła się zazdrosna. Może sprawiły to opowiadania Fiony, a może coś jeszcze. - Był moim przyjacielem, ty też jesteś - i mam nadzieję, że tak pozostanie.

- Pozostanie - z przekonaniem odparła Kasia. - Jeśli naprawdę się nie gniewasz.

| o

- Naprawdę się nie gniewam - zapewniła Lilka. — Jeśli chcesz, to mogę dać ci to na piśmie. Na Gwiazdkę.

Chichocząc jak szalone, sporządziły stosowny dokument. Kasia dostała w prezencie gwiazdkowym Damiana, a Lilka

— nieskazitelnie czyste sumienie.

Dopiero jak to sobie wszystko powiedziały, Lilka poczuła, jak bardzo jej tego brakowało.

Z Damianem spotkała się w drugi dzień świąt, w ich dzień, od zawsze.

Jako średniaki — jeszcze w przedszkolu - przeforsowali u własnych matek domowe spotkanie, a ponieważ obie mamy były szalenie zabiegane, mama Lilki dodatkowo w ciąży z Miską - po raz pierwszy doszło do spotkania poza przedszkolem właśnie w święta.

Wigilia dla najbliższych, Pierwszy Dzień dla dalszej rodziny, Drugi - dla reszty bliskich sercu. Tak uczyła ją babcia.

I tak miało być od tamtej pory zawsze.

Kaśka musiała sporo wypaplać Damianowi, Lilka nawet się ucieszyła - po raz pierwszy od dawna nie wyczuwało się między nimi żadnego napięcia, nic. Wszystko uleciało w dal.

Wybrali się na spacer po pobliskim parku. Gadali bez końca, z ożywieniem, jedno przez drugie. Jak dobrze się przekonać, że wciąż się

rozumieją!

I wciąż są sobie potrzebni.

- Porozmawiaj z nim - poradził jej Damian, w trakcie opowiadania bez ładu i składu wciąż wypływało imię Bartka.

- Chyba że wolisz spotykać się z tym... tym Mariuszem. Mączyńskim. Ale ja tu, męskim okiem, wietrzę drugie dno.

- Jakie drugie dno? - zaśmiała się Lilka. - Dno to jest niekiedy to, co reprezentuje sobą Bartek.

- Wydaje mi się, że zaprzyjaźniłaś się z tym Mączyńskim na złość Bartkowi.

Lilka aż przystanąła, takie to było niespodziewane i może nawet - trafne.

- Oni ze sobą bez przerwy konkurują - pomyślała głośno - tyle że to, co Mączyńskiemu wychodzi naturalnie, Bartek stara się kopiować na siłę. I sam siebie ustawia w roli klasowego błazna, a nie przywódcy, jak by chciał. Kopia, jeżeli nie karykatura. Denerwuje mnie to. A poza tym jak mam z nim porozmawiać, jeśli w klasie mnie niemal unika, na zajęcia popołudniowe nie chodzi, a po szkole zawsze go odbiera ta jego rozgadana mamusia? Nawet te śmieszne karteczki przestał mi podsylać.

- Napisz do niego list - podsunął Damian, a Lilka zagapiła się w niego jak w święty obrazek.

Akcja //ser"

Łatwo powiedzieć: „napisz”. Damian z Kaśką rozumieli się prawie bez słów. Lilka naprawdę nie odczuwała zazdrości, ale próbę przed noworocznym występem ciężko było znieść. Damian grał, patrząc Kaśce w oczy, a Kasia śpiewała. Tak czysto, pięknie, bez jednego błędu.

Nie chodzi o to, że Damian. Chodzi o to — żeby Ktoś.

Ktoś. Kiedyś. W ogóle.

A najlepiej już.

Święta były kochane, ale Lila zasiadła przy swoim biu-reczku, w domu Fiony, z nieoczekiwaną ulgą i nową nadzieją.

Fiona krzątała się po kuchni, też jakoś radośnie ożywiona, ustawiała w wazonie kwiaty i brzękała garnkami. Szykowała uroczysty noworoczny obiad dla siebie, Lilki

.^."\* 144

\* 4\* '

i doktora Marka, który miał wpaść do nich prosto po dyżurze, i to dwudniowym... Na pewno będzie zmęczony, głodny i spragniony ludzkiego, domowego ciepła. Fiona rzuciła się zapewniać mu to ciepło z takim zaangażowaniem, że nawet upiekła ciasto! Pachnące, drożdżowe, z jabłkami, kruszonką i mnóstwem cynamonu, bo jej się hojną ręką wsypało pół słoiczka. Właśnie dochodziło w piekarniku do rumianej perfekcji. Lilka pomyślała, że Fiona zachowuje się od pewnego czasu trochę bardziej jak normalna, dorosła kobieta - ciągle coś przestawia, gotuje, sprząta. Zaczęła nawet prasować ubrania! Jeszcze niedawno prychała na samą myśl, uważając to zajęcie za czystą stratę czasu. Ale odkąd w jej szafie przybyło kilka cienkich jak mgiełka i - uwaga! - kolorowych bluzeczek, po prostu musiała chwycić za żelazko. Machała nim zawzięcie wieczorami, podśpiewując pod nosem. W dodatku stwierdziła, że jest to czynność wyjątkowo uspokajająca. Z rozpędu prasowała również swoje czarne, dotąd nonszalancko wymięte spódnice, ubrania Lilki - a ostatnio posunęła się nawet do odprasowania na sztywno wszystkich domowych ściereczek. Z dnia na dzień była bardziej pogodna i zadowolona. Lilka nie mogła



sobie wyobrazić, że jeszcze pół roku wcześniej wcale się nie znali.  
Nagle parsknęła śmiechem, bo przypomniało jej się, jak szybko szczerze,  
poważne wynurzenia Fiony przydały jej się w praktyce. Poniekąd.  
Siedziały z Miską na kanapie w drugi dzień świąt, nażarte do wypęku, i od  
niechcienia oglądały telewizję. Młoda od dawna już powinna spać, ale  
rodzice w drodze świątecznego wyjątku nie zaganiali jej zbyt energicznie.

Film akurat

był mroczny i dość nieciekawym, więc głównie gadały o tym i o owym.

- Lilka, weź ty mi w końcu powiedz, co to dokładnie znaczy „nie  
cudzołóż”. Bo nasz ksiądz jakoś dziwnie kręci w tym temacie - wypaliła  
nagle Miśka, drugoklasistka na etapie przygotowania do Pierwszej  
Komunii.

Lilka stłumiła chichot, który ją ogarnął na widok miny obojga rodziców.  
Mama zanurkowała pod stół, zbierać okruszki z ciasta na dywan, a ojciec  
poruszał wężami i przełączył kanał w telewizji. Żadne z nich nie odezwało  
się słowem. Typowe. Lilka, pomimo rozbawienia, zeźliła się.

- To znaczy, mój Misiaczku, że nie wolno uprawiać seksu z nikim poza  
ślubnym małżonkiem. Ślubnym kościelnie.

- Lilka!!! - wyrwało się mamie spod stołu.

- No co? - nastroszyła się Lila. - Coś nie tak powiedziałam?

- Mówisz do dziecka!

- No coś ty? - zdziwiło się „dziecko” w tej samej sekundzie. - Naprawdę?

Tylko z mężem i nikim więcej? Nie żartujesz?

Na ekranie, dla idealnego uzupełnienia sceny, namiętnie obściskiwali się  
jakaś para. Ojciec podskoczył i czym prędzej zmienił kanał. Trafiło na  
zmysłową reklamę żelu pod prysznic, co nie było o wiele lepszym

rozwiązaniem. Pstryknął raz jeszcze. Na trzecim kanale leciał akurat jakiś krwawy film: jeden żołnierz wpakował drugiemu żołnierzowi w głowę cały magazynek. Ofiara, brocząc krwią, osunęła się po ścianie. Tato odetchnął z ulgą.

- Serio? — dopytywała się tymczasem zdumiona Miśka. - Nie wiedziałam! Dlaczego ja o tym nie wiedziałam?

- Może dlatego, że nikt ci nie powiedział - zakpiła Lilka.

- A ty w ogóle wiesz, co to seks? - nie wytrzymała w końcu mama.

Miśka z wyższością pociągnęła nosem.

- No pewnie. Już od roku mamy z dziewczynami akcję „ser” - rzuciła lekko, a następnie z przerażeniem zakryła usta ręką.

Rodzice zgodnie wytrzeszczyli oczy.

- Na czym polega akcja „ser”? - zapytała słabym głosem mama. Tato dostał ataku czkawki.

- Rany, to była nasza straszna tajemnica - zmartwiła się Misia. - No dobra, powiem wam tak w skrócie. Raz na jakiś czas, jak chcemy pogadać sobie o tych sprawach w sekrecie, rzucamy z dziewczynami hasło „akcja ser!!!” i lecimy do naszego kąta w korytarzu. No i gadamy o serze... to znaczy seksie, hi, hi - zachichotała Miśka. - Ale nie powiecie nikomu, prawda?

- Raczej nie - obiecał tato, przygryzając wargi. - A można wiedzieć, o czym wy tam rozmawiacie?

- Normalnie. O czym która wie. Zaczęło się od książki, którą Karolina zwędziła swojej starszej siostrze. Z rysunkami. Lilka nie ma takich ciekawych rzeczy. - Spojrzała nagle na siostrę i zarumieniła się. - To znaczy, nie ma nigdzie na wierzchu... - dodała na tyle pośpiesznie, że Lilka znakomicie wiedziała, że jej stan posiadania został już kilka razy

porządnie przejrzany. - Ja od Lilki mogłam pożyczyć tylko stare „Bravo”, też niezłe. Ale najlepsze zdjęcia przyniosła Amelia. Ups! To też była tajemnica, psiakostka!

- Miśka, nie wyrażaj się!

- Już nic więcej nie powiem - obraziła się Misia. - Zdradziłam sekrety. Macie na mnie zły wpływ.

Rodzice spojrzeli po sobie i jak jeden mąż wypadli z pokoju.

- No, to ładne kwiatki - usłyszały jeszcze głos ojca w przed-pokoju.

Miśka uściła się wygodnie na kanapie. Przyjrzała się starszej siostrze z namysłem.

- To może mi jeszcze powiesz, jesteś przecież już prawie dorosła... Bo widzisz, my z dziewczynami już naprawdę dużo wiemy. Wiemy, co robią chłopak i dziewczyna, wiemy, jak — w tej książce Karoliny było narysowanych chyba ze sto sposobów... Ale tak się ciągle zastanawiamy: PO CO?

Lilka stłumiła niewychowawcze drgawki. A potem wygłosiła smarkuli poważny wykład na temat zakochania, hormonów i powstawania nowego życia oraz rozwoju dziecka w łonie matki (Miśka wyraziła niejaki zdumienie na wieść, że te dwie sprawy tak nierozzerwalnie wiążą się ze sobą: ponieważ związku seksu z powstawaniem dzieci jeszcze dokładnie z koleżankami nie analizowały).

W trakcie emitowania z siebie wiadomości, pochodzących głównie z lekcji biologii oraz pewnej liczby czasopism młodzieżowych, zastanawiała się przelotnie, jak to właściwie jest z tą dorosłością? Czy na pewno większość dorosłych wdających się w „te rzeczy” zadaje sobie to kluczowe pytanie: po co?

W trakcie jej opowieści nadciągnęła z kuchni mama z kubkiem herbaty w dłoniach. Już bez popłochu, chociaż jeszcze trochę skrępowana, usiadła przy nich na kanapie, objęła je mocno i wygłosiła dalszą część wykładu - mówiła o miłości, odpowiedzialności i dojrzwaniu. Tłumaczyła, dlaczego niektóre rzeczy uważa się za „nie dla dzieci” - przy tych słowach spojrzała na Miskę z leciutkim wyrzutem - co

' .j^/\* 148

nie znaczy, że nie należy o nich rozmawiać. Po prostu nie przyszło jej do głowy, że tego typu rozmowę należałoby odbyć już. Przyjęło się, że dopóki dzieci pozostają dziećmi, nic na ten temat nie wiedzą i poruszać go przy nich nie wypada.

- Ty chyba z byka spadłaś, mamó - powiedziała jej Miśka

bezceremonialnie. - W co drugim filmie bohaterowie lądują w łóżku, w tych gazecianych komiksach też, a przecież my umiemy już czytać! A Gośka mówiła, że w Internecie...

- Nie wolno wam oglądać takich rzeczy w Internecie! - zdenerwowała się mama.

- No, ksiądz nam też mówił. A ja się tak zastanawiam: niby oglądać nie wolno, słuchać nie wolno, rozmawiać nie wolno, no i robić tego też nie wolno. Skoro tak strasznie nie wolno, to dlaczego wszyscy to robią?

Dlaczego śpiewa się o tym piosenki, kręci filmy i pisze książki? Które obrazki to grzech, a które nie? Tego jednego wcale nie rozumiem. Chociaż się staram.

Mama wzięła dwa głębokie wdechy. I jeszcze jeden. Odchrząknęła.

- Bo widzisz, Miśku, miłość, w tym miłość fizyczna, to wielka tajemnica życia. W miłości jest siła i piękno. Jest jak cenny klejnot - ale pamiętasz

baśnie o rozbójnikach? Albo te celtyckie opowieści o smokach? Tam, gdzie chodzi o najcenniejsze klejnoty, tam też pojawiają się często i zawiść, i zbrodnia. Można zachwycić się pięknem, a można też chcieć je ukraść. Można, chcąc zagarnąć skarb dla siebie, zranić albo zabić. Seks... - Tu mama spojrzała na Miskę z ogromnym zażenowaniem, wciąż to słowo niespecjalnie przechodziło jej przez gardło przy drugoklasistce. Ale Miśka słuchała uważnie i spokojnie. - Seks sam w sobie nie jest ani grzeszny, ani zły. Jest radością, wyrazem miłości, nagrodą od Boga za udział w powstawaniu nowego życia. Wymaga dojrzałości i odpowiedzialności. Dlatego jest przeznaczony dla małżonków - bo dzieci, które powstaną, powinny dorastać w rodzinie, wśród tych, którzy naprawdę się kochają. Wszystko inne jest nadużyciem. I jeszcze jedno: ponieważ to, o czym rozmawiamy, dotyczy najbardziej osobistych spraw człowieka, zawsze i wszędzie zasługuje na szacunek. Wszelkie nieprzystojne żarty, wyśmiewanie, wszystko, co służy rozbudzaniu pragnień, których nie można i nie powinno się spełniać - jest nie w porządku. Rozumiesz, Misiaku? Miśka powoli pokiwała głową.

- No, teraz już lepiej - odrzekła poważnie. - A dlaczego niektórzy ludzie się kochają, a nie mają dzieci, a niektórzy mają, chociaż się nienawidzą?

- O Matko Święta - westchnęła ciężko mama i, chcąc nie chcąc, przystąpiła do dalszych wyjaśnień.

- To niesprawiedliwe! - Miśka w sposób naturalny przyjęła do wiadomości fakt, że są sposoby na to, żeby się kochać i nie mieć dzieci, ale oburzyło ją, że nie wszystkie są dozwolone. - Człowiek powinien móc decydować, ile tych dzieci ma!

- Zgadza się z tobą, Miśku - przyznała mama. - Ale to trudna sprawa i

nie wszystkie autorytety mówią jednym głosem. Kościół katolicki dopuszcza jedynie pewien rytm życia, który należy stosować, żeby nie doszło do poczęcia dziecka. Inne chrześcijańskie wyznania, na przykład prawosławie, a także część zachodnich wspólnot protestanckich, zezwalają na stosowanie niektórych leków.

- Przecież człowiek sam najlepiej wie, iloma dziećmi może się zająć naraz, o czym tu dyskutować?

Mama westchnęła po raz kolejny i stchórzyła. Nagle stwierdziła, że jest bardzo późno i ten szalenie ważny temat,

■&• m

\* ty

jakim jest antykoncepcja, omówią sobie dokładnie, ale innym razem. Mają czas. Lilka co najmniej kilka lat, a Miśka, jak wyraziła swą nadzieję mama, większe kilka, jeśli nie kilkanaście.

- Pogadamy - zgodziła się Misia. - Ale nie jak już będę miała czternaścioro wnucząt, tylko na przykład jutro.

- No, no - odezwała się Lilka, jak tylko mama znikła z horyzontu. - Ale przysoliłaś.

- Bo to okropnie głupie, nie uważasz? Dorośli robią z tego taką straszną tajemnicę przed nami, dziećmi, a my, dzieciaki, musimy się potem ukrywać przed nimi, że cokolwiek wiemy. Bo jak nie, to jest hałas i wielkie oburzenie. Ty wiesz, co się działo, jak Konrad przyniósł do szkoły swoją ulubioną lekturę?

- Konrad to ten genialny?

- No. Czytać umie chyba od urodzenia. Jest najlepszy we wszystkim, i to tak sam z siebie, rodzice go wcale nie pilnują. I czyta różne rzeczy, tak dla

przyjemności.

- Też byś tak mogła.

- To szalenie męczące - machnęła ręką Misia. - Ja nie lubię się męczyć. On lubi. No, i parę tygodni temu mieliśmy przynieść do szkoły swoją ulubioną lekturę. To znaczy nie lekturę, ale taką książkę, zwyczajną, rozumiesz?

- Rozumiem - zaśmiała się Lilka. - I co przyniósł Konrad?

- Ogród rozkoszy, czyli tajemnice kobiecego ciała.

- O matko! - złapała się za głowę Lila. — No i co?

- I nic. Straszna afera była. Bo okazało się, że to jest niby książka nie dla dzieci. Skąd, okropnie ciekawa, naprawdę! Nawet Maciek, który sobie nie radzi z czytaniem poleceń w podręczniku i któremu mama musiała przeczytać całego Kubusia Puchatka - siedział i sam czytał. Bo Konrad o ni—

nam zdążył dać do obejrzenia na przerwie. A na lekcji, jak już chciał omówić książkę dla całej klasy, to pani okropnie się zdenerwowała i mu tę książkę zabrała. Szkoda. Rysunki miała fajne.

- Nie wątpię.

- No i Konrada mama musiała przyjść do szkoły. I jeszcze była duża afera na zebraniu, bo kilka głupich dziewczyn wygadało się w domu.

- A nasza mama co?

- Nic. Nie poszła na zebranie, bo w pizzerii akurat zepsuły się piece i nie zdążyła. Może to i lepiej?

- Lepiej - zdecydowała Lilka. - A ty co zaniósłś?

- Moją książkę o koniach. Tę, którą mi czytałaś w pierwszej klasie. Ale wcale nie zdążyłam jej przedstawić przez tę całą drakę. I sama widzisz, jacy oni są?

Nie da się ukryć, że „oni tacy są”. Następnego dnia mama miała koszmarną migrenę i przeleżała pół dnia z watą na oczach. Lilka po raz pierwszy zwróciła uwagę na fakt, że ich własna mama też jest jednostką skomplikowaną - i chyba trochę się gubi w tym, co chciałyby im przekazać, a co uważa, że przekazać powinna. Zwyczajnie, sytuacja ją trochę przerastała.

Fiona jest, jaka jest, ale w ogóle nie przejmuje się powinnościami. Jeśli coś mówi lub robi, to z przekonania - lub ponieważ sytuacja tego wymaga. Albo ma na to ochotę. A nigdy, przenigdy dlatego, że tak wypada. Lilce to, szczerze mówiąc, szalenie imponowało. Ale, jak sama Fiona przyznała - był taki czas, kiedy bardzo się w życiu pogubiła - a później musiała odbudować samą siebie od początku.

A ich mama żyła cały czas „jak należy”. I w jej życiu nie ma ciemnych plam.

Diabelnie ciężko stwierdzić, po czyjej stronie leży racja.

A najciekawsze jest to, że tradycyjalistyczny, porządny wywód mamy i opowies'ci Fiony z jej własnego zwariowanego życiorysu miały ze sobą więcej wspólnego - jeśli chodzi o tak zwany morał - niż można by przypuszczać. Obie mówiły, tak naprawdę, o tym, że są w życiu sprawy — te najcenniejsze, dotyczące miłości i szacunku do samego siebie, które należy traktować z uwagą, nadając im właściwą rangę i znaczenie.

Ludzie listy piszą Cześć, Bartek!

Jest wieczór, za oknem pada śnieg, a ja postanowiłam napisać do Ciebie. Pewnie Cię to zdziwi. Ale są rzeczy, które chciałabym wiedzieć, a jakoś dziwnie nie mam okazji Cię zapytać.

Czy Ty się na mnie o coś gniewasz? W szpitalu gadało nam się bardzo



fajnie, szczerze mówiąc, ucieszyłam się, że będziemy w tej samej szkole - a nawet klasie. Później jeszcze jakoś nam się układało, ale ostatnio mam wrażenie, że mnie unikasz. Może się mylę, może po prostu jesteś zajęty. W każdym razie wolałabym wiedzieć, bo bardzo nie lubię niewyjaśnionych spraw. Jeśli sprawiłam Ci jakąś przykrość, też

» „J\_

153 \*

•

chciałabym wiedzieć. A jeśli po prostu nie masz czasu, to też.

Odezwij się jakoś. Lilka

Przepisywała, kreśliła i zmieniała formę chyba z tysiąc razy, w końcu stwierdziła, że im krócej, tym lepiej, bo w każdym innym wypadku wrywa jej się trochę zbyt wiele.

Najpierw włożyła list do koperty i odruchowo zakleiła, później przypomniała sobie, że nie zakleja się listów dawanych do ręki, następnie uznała, że list w kopercie ma charakter nazbyt oficjalny. W końcu złożyła kartkę na cztery i wsunęła za okładkę zeszytu do matematyki. Jutro mu ją zwyczajnie poda w połowie polskiego. Oboje mieli już całkiem sporo ocen z odpowiedzi i mogli sobie pozwolić na poboczne zajęcia.

Tak też zrobiła. Bartek popatrzył na nią zaskoczony, długo obracał kartkę w dłoniach, zanim ją otworzył, strzelił łokciem pod żebro kolegę Adamca, który mu w tę kartkę usiłował zapuścić żurawia (tego Lilka nie przewidziała). Adamiec zawył. Lilka z Bartkiem równocześnie syknęli ostrzegawczo. Na ten syk profesor Brodacz podniósł głowę.

- Adamiec, co ci się stało?

- Kol... to znaczy, kolka mnie złapała, panie profesorze! - wystękał

Adamiec pod ostrzałem wymownych spojrzeń.

- Międzyżebrowa?

- Międzyludzka, panie profesorze - nie wytrzymał Adamiec.

Bartek pokazał mu język.

- A tamtemu co? - zainteresował się Brodacz. - Mirecki, to ty uszkodziłeś kolegę Adamca?

-.sK\*i54

\* ^

- Ja, panie profesorze - przyznał niechętnie Bartek, wstając.

- A dlaczego?

- A, bo on jest oślizgła, wścibska bździągiew.

- Bździągwa, Mirecki, nie bździągiew. I konstruuuj poprawnie zdania. On jest oślizgła, wścibska bździągwa, jeśli już.

- Nie jestem bździągwa, panie profesorze! - oburzył się Adamiec. - Nawet szanowne grono człowieka obraża.

-Ja nie obrażam, ja dbam o czystość waszego języka.

- Bździągwa to przykład czystej polszczyzny? - zainteresował się poszkodowany. - Bo myślałem, że to raczej wyrażenie mało oficjalne. Polonista przymknął na chwilę oczy. Albo ciśnienie było jakieś niskie, albo ta młodzież wyjątkowo dzisiaj bredziła.

- Najczystszej - zarechotał Mączyński. - Pochodzi od „bździć”.

-A co to znaczy „bździć”? - spytał Adamiec, wyraźnie grając na przedłużeniu jałowej dyskusji w celu skrócenia czasu lekcji właściwej.

- Sprawdź sobie w Internecie - poradził profesor. - Zamknijcie, moi drodzy, facjaty pryszczate, bo za chwilę każę wam odmieniać „bźdzenie” przez przypadki.

Klasa nie kwapiła się do wyczynów gramatycznych na słowach, które dodatkowo zawierają trudności ortograficzne.

Adamiec usiadł. Lilka przeniosła chwilę wcześniej uwagę na pana profesora i nie zauważyła, czy w końcu Bartek przeczytał jej kartkę, czy też nie.

Siedziała jak na szpilkach.

Ledwie zadzwonił dzwonek, Bartek wygramolił się z ławki i wyszedł na korytarz. Przeklinając swą ciągle jeszcze słabszą prawą nogę, Lilka już chciała podążyć ku drzwiom, gdy drogę zastąpiły jej obie Gosie.

, iv \*

- To co, obmyślamy menu? - zapytały.

O, choinka. Miały dziś uzgadniać kwestie organizacyjne związane z zabawą karnawałową. Ich klasa była odpowiedzialna za zaopatrzenie.

- E... no, tak, omawiamy, ale za chwileczkę. Teraz muszę wyjść. - W miarę sprawnie, jak na nią, wyminęła dziewczyny i wypadła z klasy.

Bartka nigdzie nie było. Pokręciła się trochę po korytarzu, podeszła nawet pod męską toaletę, bo przyszło jej nagle do głowy, że wyobraza sobie nie wiadomo co, a kolega może zwyczajnie chciał siku. Do środka jednak się nie pchała, nie spieszyło jej się do oglądania młodzieńców nad pisuarami -swoją drogą, faceci są dziwni, nie przeszkadza im takie publiczne obnażanie. To zupełnie, jakby w łazience dziewczyn postawiono jedną, długą rynnę, na której siadałyby sobie rzędem, dalej dyskutując o ostatnio oglądanych filmach.

Wróciła do klasy, Bartek już tam był. Siedział na swoim miejscu i zasłaniając się łokciem, pisał coś zawzięcie. Lilce serce podskoczyło pod samo użębienie.

- No? - nie wytrzymała, siadając tuż za nim. Bartek rzucił jej spłoszone spojrzenie.

- Zaraz - szepnął cicho i obejrzał się nerwowo na kolegę Adamca.

Adamiec demonstrował właśnie Mączyńskiemu, jaki rozmiar stanika nosi nowa dziewczyna pana od plastyki, z którą go widział na mieście. Używał w tym celu miednicy i wiadra od mopa. Krótko mówiąc, był bardzo zajęty. Mączyński, wcielając się w postać pana od plastyki, użył mopa.

Na to wszystko wkroczyła pani od geografii i nie wnikając w szczegóły, wstawiła obu młodzieńcom po lufie z zachowania, gdyż, jak ich uprzedziła na początku roku, ma wyjątkową alergię na wulgarne zachowania. Budzą w niej niesmak. Lilka, w drodze wyjątku, w duchu przyznała jej rację.

Młodzieńcy tym razem nie zamierzali tłumaczyć profesorce znaczenia odgrywanej z zapalem sceny, przyjmując swój los z bohaterskim opanowaniem.

Bartek w końcu odwrócił się do Lilki i przekazał jej kartkę, zabazgraną pośpiesznie czarnym długopisem. Trochę tego było.

Lilka!

To bardzo fajnie, że się odezwałaś, boja bym nie mógł (~~przekreślone~~), nie śmiał (~~przekreślone~~), nie dał rady (też ~~przekreślone~~, tylko jakoś słabiej).

To znaczy, głupio mi. Sam wiem, że zachowuję się jak kretyn. Dlaczego, to nie wiem, ale się domyślam (~~przekreślone~~), mam pewne podejrzenia. To temat na dłuższą rozmowę. Nie wiem, jak to zrobić, bo tu nie ma warunków, a po południu ta zmora (~~przekreślone~~, i to dość dokładnie, chociaż wciąż czytelne), moja mama mnie nigdzie nie puszcza. Nie wyobrażasz sobie, jakie to uciążliwe. Może nam się uda pogadać na

zabawie sylwestrowej (przekreślone), karnawałowej. To tyle.

Bartek

Oglądał się przez ramię, spłoszony, aż Lilka doczytała karteczkę do końca i pokiwała głową, że OK.

157-;4>.-

Menu zostało ustalone, składka przeprowadzona, zakupy dokonane i z pomocą taty Mariusza Mączyńskiego część płynna (soczki, napoje i szampan dla dzieci - „znakomita” sugestia jednej z mamusiek, skomentowana przez chłopaków jako jawna złośliwość) wylądowała w kantorku pracowni fizycznej. Część stała, czyli różne wypieki mniej lub bardziej domowe, miała przyjechać na samą imprezę.

Razem z Fioną i Goską, której rodzice pozwolili nocować u Lilki przed zabawą, przez całe popołudnie wypiekały cynamonowe ciasteczka.

Skonstruowały cztery blachy fantazyjnie powycinanych, posypanych „kryształem” pyszności i tylko nadludzkim wysiłkiem woli powstrzymały się od pochłonięcia ich od razu.

- A w zasadzie, to dlaczego my się tak męczymy? - pacnęła się w głowę Fiona, wchodząc do kuchni wypełnionej niebiańskim zapachem. - Jest jeszcze trochę mąki, jajka są. Masło w zamrażalniku, ale to nawet lepiej. I upiekła dodatkową, piątą blachę ciasteczek. Pokroiły je zwyczajnie, w kwadraciki - nie było sensu starać się o wygląd czegoś, co po półgodzinie stało się już tylko wspomnieniem.

- No, teraz to rozumiem. - Goska pomasowała fałdki sadelka, wylewającego się nieco z obcisłych biodrówek. - Takie przygotowania lubię. Jak pani to robi, że pani jest wciąż szczupła?

- Błójha fhiem? - odezwała się Fiona z pełnymi ustami. Ostatnie

ciasteczko wepchnęła sobie do ust oburącz. - Może po prostu mało jem? - powiedziała po przełknięciu i złapaniu tchu.

Roześmiały się wszystkie trzy.

- Niby to prawda. - Lilka kiwnęła głową w kierunku Fiony. - Ale jak ma napad odżywiania, to wrzuca w siebie takie racje, że ułan by się nie powstydził. I we mnie przy okazji też.

-Ja tylko staram się sumiennie wypełniać obowiązki - oznajmiła Fiona. - Zresztą, od kiedy mieszkamy razem, odżywiam się o wiele regularniej.

- I jak się z tym czujesz?

- A wiesz, że nie najgorzej? - zdziwiła się po krótkim namyśle Fiona. - Wcale nie utyłam. No i o wiele rzadziej boli mnie głowa. Nie muszę wlewać w siebie tyle kawy.

- Może bolała cię z głodu?

- Może. W ogóle odkąd mieszkamy razem, jakoś pogodniej na świecie, wiesz?

- Akurat. - Lilka postanowiła się podroczyć. -To zapewne dlatego, że za moją przyczyną pojawił się w twoim życiu pewien przystojny specjalista chirurgii dziecięcej... Powinnaś dalej pójść tym tropem i postarać się o własne dzieci, dopiero ci będzie dobrze na świecie.

Gośka nadstawiła uszu jak królik. Wyraźnie się jej wyciągnęły.

- Jeszcze miesiąc temu za takie teksty pstryknęłabym cię w nos, bezczelna smarkulo. Ale człowiek nażarty to człowiek łagodny, może dlatego zadziwiająco wielu wybitnych generałów wywodziło się z biedoty...

- Zmieniasz temat! - zaśmiała się Lila.

- Ano, zmieniam - przyznała otwarcie Fiona. — Nie wsadzaj nosa do cudzego prosa. Idźcie sobie lepiej poplotkować o kolegach z klasy.

I wygoniła je z kuchni. Ale oczy jej się śmiały.

Czy ktoś tu się bawi?

Lilka z Goską tak długo marudziły przed szafą, chichotały w łazience (Fiona udostępniła im kosmetyki, zastrzegając tylko, że zamierza poddać efekty upiększania surowej ocenie, żeby nie wypacykowały się przypadkiem ponad miarę) oraz pakowały ciasteczka w pudełka ze wstążeczką i różami z bibuły, że w końcu spóźniły się na zabawę, i to niemal godzinę!

Wpadły do szkoły jak burza, targając pudła ze słodkościami. Już z daleka z sali gimnastycznej dał się słyszeć głuchy łomot basów.

- Fiu, fiu - powiedziała Fiona, wtykając głowę do sali, w której szalał skłębiony tłum, z wyraźną przewagą płci żeńskiej. Oświetlały go tylko błyskające kolorowe światła.

- Za moich czasów nie zapewniali nam takiej intymnej ciemności... A z tym żarciem gdzie? W sam środek parkietu?

- Sala konsumpcyjna jest obok - zaśmiała się Gosia.

- W przytulnych apartamentach, które jeszcze do wczoraj były szatnią. Tam też rezyduje szanowne grono.

Gosia uwielbiała wyrażać się ozdobnie.

Szanowne grono nauczycielskie, w liczbie sześciu sztuk, zasiadało przy długim, złożonym z kilku ławek stole i krzywiło się z każdym głośniejszym dźwiękiem basów, zupełnie jakby miało zbiorową migrenę. Dziewczyny zatrzymały się dyskretnie w drzwiach, ponieważ tematem rozmowy zgnębnionego grona była młodzież. Kilka dziewczyn w drugim kącie sali również zamilkło, wyciągając uszy jak zające. Młodzież chciała wiedzieć, czego od niej chcą.

i o

- Oni nie ogłuchną? - spytała cierpko pani od geografii.

- Próbowałam wpłynąć na natężenie tego czegoś', ale bez skutku.

- Oni są przyzwyczajeni. - Fizyk z rezygnacją odstawił szklankę z colą. -  
Ogłuchniemy my.

- Nawet się nie da za bardzo porozmawiać. Że też oni tak chcą...

- A po co mieliby rozmawiać? Oni wcale nie potrzebują rozmawiać,  
zresztą nie mają o czym. Miałość, nuda, próżnia i dużo decybeli. Oto  
dzisiejsza młodzież - westchnęła pani od geografii, tak by nie dosłyszały  
jej dziewczęta w drugim kącie sali. Jednak nowo przybyłe słyszały  
doskonale.

- Przesadzasz, Haluniu - próbował łagodzić fizyk. - Nie jest aż tak źle.

Pani od geografii nie wyglądała na przekonaną, zwłaszcza że ze strony sali  
tanecznej dobiegł wyjątkowo głośny łomot, a za nim seria chrapliwych  
ryków rozbawionej młodzieży. Na szczęście nie dało się rozróżnić słów.  
Lilka zrozumiała, dlaczego od początku nie lubi tej baby. Fiona chrząknęła  
głośno i weszła do pomieszczenia.

- Dostawa ciasteczek! - zawołała pogodnie. - Najlepsze ciasteczka  
domowej roboty. Gdzie mam postawić?

- A prosimy, prosimy - zakrzętnęła się matematyczka.

- Może jedno pudełeczko tutaj, na sam środek, a te dwa mniejsze na stolik  
pod oknem.

- Tak, tak — mruknęła geograficzka. - Człowiek się stara, ciastka takim  
piecze, a oni co? Tylko ryczą.

- A to akurat dziewczynki upiekły - nie darowała Fiona, która miała  
znakomity słuch i wyjątkową niechęć do uproszczeń i uogólniania. - Ja



tylko udostępniłam przepis i piekarnik.

161 II^#.

- No, widzisz? - Fizyk poklepał koleżankę po plecach. - Jakie fajne dziewczyny i fajne ciasteczka? Mówię: nie jest tak źle.

Fiona pokręciła głową i wyszła, zapowiadając, że będzie pod telefonem, jakby co. Lilka z Gosią dosiadły się do koleżanek.

- Gdzie są wszyscy? Na przykład faceci? Iga wykonała ręką bliżej nieokreślony gest.

- Rozpełzli się tu i tam. Laski tańczą, a chłopcy zwiedzają toalety - zachichotała. - Mączyński postarał się o prowiant hm... alternatywny. Testują go w łazience.

- To znaczy? - zdziwiła się Lilka.

- Jak to, to znaczy! - zdziwiła się z kolei Iga. - Wódkę sobie przynieśli. Stwierdzili, że w gimnazjum już nie wypada się bawić przy picollo. My siedzimy na czatach. Jakby któreś z grona wyruszyło na obchód, mamy dać im znać. Ale jakoś się nie kwapią, na razie.

- I kto tak testuje?

- No, wszyscy po kolei: Mączyński, Adamiec, Święty Piotruś, o ile go Danka nie pilnuje, i reszta.

- Bartek też? - wyrwało się Lilce. Wcale jej się nie podobała taka myśl. Baśka z Igą zgodnie zarechotały.

- Bartuś w ogóle wymyślił cały system tajemnego spożycia. Chłopcy nie chcieli go z początku dopuścić, bo jak się jego czujna mamuśka skapnie, to będzie po ptokach. Awantura na cztery fajerki. Ale się uparł, wywęszył, że coś mają, i przekonał Mączyńskiego, że co jak co, ale on ma dużą wprawę w konspiracji. No i go wzięli. Czekał, fizyk wylazł zza stołu, muszę Mące

posłać SMS-a.

- I tak tu siedzicie cały czas? - zdziwiła się Gosia.

I o

- Nie, zmieniamy się co pół godziny - wyjaśniła Iga. - Posiedzicie na razie z nami? Możemy sobie zagrać w karty albo coś.

Lilka mimowolnie zgrzytnęła zębami. Głupia ta cała zabawa, strata czasu. Chciała dzisiaj pogadać z Bartkiem, tak jak się umawiali, ale jeśli on będzie się zajmował popijaniem trunków w toalecie, to czarno widzi tę całą rozmowę.

W zamyśleniu nałożyła sobie całą porcję ciastek i naląła coli.

- Mogę posiedzieć, czemu nie. Przecież i tak nie będę tańczyć na tej mojej nodze. Może jakieś łagodne przytulan-ki, ale kogo tu przytulać? Same dzieciuchy. Konspiratorzy z kibla rodem.

Dziewczyny się roześmiały.

- No - zgodziła się Iga. - Wiem, że zachowują się idiotycznie, ale przecież nie odmówimy kolegom pomocy w potrzebie... Wyszłybyśmy na świnię.

- Świnie! - ryknął w tej samej chwili nieduży brunecik, z racji marudnego charakteru ochrzczonego przez klasę mianem Wyrafinowany Roman. Ciężko klapnął na krzesło obok Lilki. - Świnie, hieny, szkockie sknery!

- Ej, no, nie złość się - dosiadł się do niego speszony Mączyński. - Nie szalej, profesory patrzą.

Wyrafinowany Roman opamiętał się odrobinę. Mączyński miał wypieki na twarzy i lekko rozbiegany wzrok.

- O co chodzi? - zapytała surowo Iga. Biologica obrzuciła Mączyńskiego uważnym spojrzeniem.

- Zablokowali łazienkę, wpuścić mnie nie chcieli - wkurzył się Roman. - A

ja wiem, co wy tam wyprawiacie!

- Sorry, gościu, myśleliśmy, że to ten ciołek, Michałek z humanistycznej - tłumaczył się Mączyński. - Wiesz, że on

163 •\*~^#.

ma jęzor jak łopata. Niepotrzebnie się pokłóciliśmy przez drzwi, nie wiem, czy woźny nie usłyszał. No, jak chcesz, chłopie, to zawijamy się i wracamy tam razem.

- Zaraz, a my? - upomniała się Baśka.

- Co wy? - Mączyński spojrział na nią jak na zjawisko z księżycy.

- Siedzimy tu na czatach jak głupie - narzekała Baśka. - I chyba też nam się coś od życia należy, nie?

Lilka spojrzała na nią ze zdumieniem.

- No, niby tak - zgodził się Mąka po namyśle. Lila przyjrzała mu się z ukosa. Był spięty, obcy i jakby gniewny, zachowywał się zupełnie nie jak on. Ci nauczyciele musieli być ślepi. - Dobra, to ja teraz załatwię z Romkiem, a później się was weźmie po kolei. Ja bym tu już wolał nie przychodzić z własnej woli, puszczę wam strzałkę, kiedy będzie można.

- Dobra — zgodziła się Baśka. - To lećcie.

O matko, co to się działo! Zaczęło się od tego, że woźnego rzeczywiście zaciekawili odgłosy awantury, wywołanej przez Wyrafinowanego. Jednak, ponieważ akurat gotował sobie wodę na herbatę oraz oglądał dość interesujący teleturniej, na obchód wybrał się dopiero po kwadransie.

W sam raz, żeby natrafić na odrobinę zmęczonego już pierwszym w życiu spożyciem Piotrusia. Piotruś wynurzył się z toalety, krocząc sztywno wzdłuż linii, jaką tworzyły klepki podłogowe, a za jego plecami wionęła chmura dymu z papierosów jak anielskie skrzydła.

- Dźbry - mruknął niewyraźnie do woźnego, wciąż skoncentrowany na podążaniu przed siebie prosto. Dopiero po kilku krokach oprzytomniał i trzęsącymi się rękoma usiłował wykręcić numer Mączyńskiego.

Nie zdążył. Woźny już wparował do łazienki. Najpierw tylko prychnął, rozgarniając wokół siebie kłęby dymu, co nie wydało mu się przestępstwem szczególnym - ot, chłopaków w głupim wieku zawsze ciągnie do papierosów, próbowali tak w jego czasach i próbują teraz. Później rzucił mu się w oczy nienaturalny wygląd kilkunastu mocno przestraszonych młodzieńców.

Woźny był człowiekiem znającym życie. W dodatku, w przeciwieństwie do części nauczycieli, którzy przymykali oczy na to i owo, chcąc zachować przede wszystkim święty spokój, woźny naprawdę kochał młodzież i niczego się nie bał.

A kochana młodzież najwyraźniej przeginała pałę.

- Nie ruszać mi się stąd! - warknął groźnie na widok dwóch bladych blondynów, ewidentnie planujących dać nogę z pomieszczenia. - Pamięć wzrokową jeszcze mam, nic wam to nie da! A tchórzów nie lubię.

Pokażcie, chłopcy, co wy tutaj chowacie...

I bez namysłu otworzył klapę od kosza na śmieci, i to wcale nie tego pierwszego z brzegu. Do tego trzeba mieć po prostu nosa.

- No, pięknie, panowie! - Lata praktyki nie przygotowały go na taką ilość rozmaitych trunków, jaka spokojnie spoczywała w koszu, na szczęście uprzednio opróżnionym. - Po prostu pięknie. To się, niestety, nie skończy tak ulgowo. Przerywamy zabawę.

- Panie woźny! - jęknął Mączyński, czuł się tutaj czymś w rodzaju szefa. - My już nie będziemy... My... proszę nam darować!

Woźny zmierzył ich pociemniałym spojrzeniem, w oczach miał smutek.

165 JK

- Nie, moi drodzy. Niestety, nie mogę. Znacie zasady — szkoła jest miejscem nauki, czasem i zabawy, ale nie takiej. Żadnego alkoholu, żadnych narkotyków. A tutaj...

- Nie mamy narkotyków! - oburzył się Bartek.

- Jeszcze by tego brakowało. Za to macie po trzynaście lat! Tego tutaj wystarczyłoby na niezłą imprezę dla armii rekrutów. Nie, chłopcy. Koniec zabawy. Zabierajcie się stąd.

- A czy... - Bartek w tym momencie zdał sobie sprawę, że sytuacja jest bardzo poważna. - A czy pan... Czy pan musi...

Woźny jeszcze raz obrzucił wszystkich uważnym spojrzeniem. Zrozumiał.

- Słuchajcie, chłopcy. To nie moja rola. To znaczy, dyskoteka zostaje przerwana, i tak żadnego z was nie widziałem w tańcu. Głupota. Ale palcem wskazywał nie będę. Zresztą, jak was znam, to przewinęło się tu jeszcze z piętnastu takich łebków. Niech sobie to wasi wychowawcy wyjaśnią z wami po kolei. Ale moim zdaniem to i tak nie ma większego znaczenia, kogo z was przyłapałem, a kogo nie. Liczy się, kto pił, a kto nie. Ten, kto przeskrobał, powinien mieć odwagę cywilną i się przyznać. To tyle. Możecie zacząć się zbierać, dobranoc.

Wyniósł kosz razem z zawartością i poszedł szukać nauczycieli.

Dyskoteka została przerwana. Nawet nie zjedli połowy ciasteczek.

Lilka, wściekła i przestraszona, czekała na Fionę w bramie. Wszystko poszło źle. Nie dość, że nie miała szansy pogadać z ulubionym kolegą, to jeszcze z tych nudów i rozczarowania wybrała się w końcu z dziewczynami na wycieczkę krajoznawczą do kibla żeńskiego, gdzie

Baśka ukryła wyku-kaną od chłopców butelczynę ginu.

W sumie było jej już wszystko jedno - tak jej się przynajmniej wtedy wydawało. Mogła się i napić, jeśli to aż taka atrakcja.

Wcale nie była to atrakcja.

Gin miał gorzki, palący smak, Lilka omal się nie zakrztu-siła nim na amen.

Łzy stanęły jej w oczach. Dziewczyny rechotały cienko, nienaturalnie.

Później piekły ją policzki i uszy, język trochę zdrętwiał. Gdy wróciły do sali, serce biło jej szybko, nierówno - czuła, jakby na czole ktoś jej wypisał: uwaga, pijana uczennica!

Nie była aż tak pijana, ale to, co czuła, wcale jej nie zachwycało.

Dlaczego więc to zrobiła?

Nie miała zbyt dużo czasu, żeby analizować to pytanie, gdyż chwilę później woźny wparował do sali, potrząsając koszem znalezionym w łazience chłopaków.

Nauczyciele rozgniewali się bardzo i przerwali zabawę.

Po prostu znakomicie.

Opowieści niepedagogiczne

Fiona, zaalarmowana przez Lilkę, pojawiła się niecały kwadrans później.

Zaprzyjaźniony akustyk zgodził się podwieźć je obie do domu. Zabrali ją z bramy, obrzucając szybkim spojrzeniem, które przewierciło Lilkę na wylot. Aż dostała czkawki.

- Piłaś - bardziej stwierdziła, niż spytała ciotka, zupełnie nie przejmując się obecnością kolegi akustyka.

Nie było sensu jej oszukiwać.

- Trochę - przyznała Lila w końcu. — Ale troszeczkę.

- A po co? - celnie spytała Fiona.

- Tak jakoś wyszło. Wszyscy pili.

- Gośka też?

- Gośka nie - odparła niechętnie. - Ale chyba po prostu nie zdążyła.

- Proszę, kto by pomyślał, że taka szybka jesteś. - Fiona prychnęła pogardliwie. — Do wszystkiego: do wody, na roraty, do tańca i różańca...

Ech, babo, myślałam, że jesteś mądrzejsza. Miałam do ciebie zaufanie.

Westchnęła z rozczarowaniem i to było nawet gorsze niż najgorsza awantura.

W milczeniu weszły do domu, powiesiły kurtki w przedpokoju. Lilka stanęła niepewnie w progu kuchni, Fiona pstryknęła włącznik czajnika.

- Zostań tu - rzuciła krótko. - Chcę z tobą pogadać.

- Fiona, ja przecież wiem, że zrobiłam źle - odpowiedziała cicho Lilka, siadając przy stole. - Naprawdę. Tylko... tak wyszło... Baśka mnie namówiła...

- Nie zwalaj na Baśkę! - teraz dopiero Fiona rozgniewała się, i to serio. - Nie sądzę, żeby Baśka ci wlała do gardła przemocą piwo, wódkę czy co tam piłyście...

- Gin - przyznała Lila.

- Brr - wzdrygnęła się Fiona. - Tak w czystej postaci? Przecież to niedobre.

- Obrzydliwe - zgodziła się Lilka i wreszcie spojrzała Fionie prosto w oczy. Iskierki śmiechu zamigotały w oczach ciotki, choć jej twarz pozostała poważna.

- No i sama widzisz. Po co ci to było? Czy zamierzają w stosunku do was wyciągnąć w szkole jakieś konsekwencje?

- Nie wiem - westchnęła Lilka. — Woźny nakrył chłopaków, przerwali zabawę. O dziewczynach nic nie było, ale

nie wiem, gdzie Baśka schowała butelkę. Jeśli ją zostawiła w kiblu, to koniec. Na pewno zrobią dochodzenie.

- Twoja mama nie będzie zachwycona - zauważyła Fiona. - Ani tobą, ani mną.

- Tobą? A co ty masz z tym wspólnego?

- Jak to, co? Jesteś pod moją opieką, prawda? Twoi rodzice okazali mi zaufanie. Pozostawili cię u mnie, licząc na to, że będę pilnować, żebyś nie narobiła żadnych głupstw. A z tego może być afera, i to duża. Znam parę przypadków, kiedy za taki numer poważnie obniżano sprawowanie albo nawet wywalano ze szkoły.

- Musieliby wywalić trzy czwarte klas pierwszych.

- I to cię, moja droga, zwalnia od odpowiedzialności?

- Nie - przyznała niechętnie Lilka. - Dobra, wygłupiłam się. Mam nadzieję, że jednak nie dotrze do mamy... -Tu spojrzała na Fionę błagalnie.

-To zależy. Ja nie zamierzam cię przesadnie chronić, jakby co - uprzedziła Fiona. - Wyrywać się z nadmiarem informacji też nie zamierzam, jeśli tylko dotrze do ciebie, co nawyprawialiście. Pierwsza klasa! Naprawdę myślałam, że będziecie się po prostu fajnie bawić. Pogadacie, pożartujecie, poszalejecie trochę przy muzyce...

- Ja też tak myślałam! - wybuchnęła nagle Lilka. - Naprawdę, dokładnie na to liczyłam! Że się pośmieję, może trochę, ostrożnie, potańczę, pogadam z dziewczynami... i nie tylko. Szczerze mówiąc, najbardziej liczyłam na to, że pogadam z Bartkiem, obiecał mi to!!!

- O? - zdziwiła się Fiona. - No i co?

- Nic. Przez dwie godziny okupowali z chłopakami kibel na piętrze, spożywając napoje. Nawet nie zeszli do sali gimnastycznej. I tyle z naszej



rozmowy — no to się zeżliłam

169 \*;ϕ9-

i jak Baśka przyniosła trochę... tego ginu... Stwierdziłam, że mi już wszystko jedno. To była najgorsza zabawa na świecie, wiesz?

- Wiem. - Fiona, już bez złości, pokręciła głową. - Bez sensu.

- Zupełnie bez sensu - przyświadczyła Lila, przynajmniej ta głupia czkawka już jej przeszła. Policzki ciągle jeszcze ją paliły, ale może to był zwyczajny wstyd. - Fiona... bardzo cię przepraszam...

- Ech, dzieci, dzieci - westchnęła Fiona. - Co ja z wami mam... A jeszcze nie dalej niż wczoraj mówiłam twojej mamie, że nie sprawiasz żadnych kłopotów. I że jesteś wręcz nienormalnie, nienaturalnie grzeczna. Wiesz, jak ja się bałam, gdy do mnie dotarło, że wzięłam na czasowe wychowanie nastolatkę? Przeczytałam przez te dwa tygodnie wszystko, co mi wpadło w ręce, z Korczakiem na czele. Tyle się słyszy o tej całej współczesnej młodzieży, a ty nic. Szkoła, wzorowo odrobione lekcje, żadnych wagarów, buntu, pyskowania — czy ty myślisz, że ja siebie samej nie pamiętam z tamtych lat? A tu nic - cisza, żadnych problemów, aż do dziś.

- Fiona, a przeciw czemu miałam się buntować? - spytała celnie Lila.

- Jesteś fajna, uczciwa, traktujesz mnie jak człowieka, świetnie się z tobą gada, zero głupich zakazów i małpiej złośliwości... Wiem, jak wygląda życie rodzinne moich rówieśników, tej tak zwanej modelowej współczesnej młodzieży. Taki na przykład Wyrafinowany Roman albo Baśka... albo nawet Bartek - oni się rzeczywiście buntują, każde na swój sposób. Ale mają w domu przegwizdane. U Romka wszystko musi chodzić jak w zegarku, o byle trójkę z plusem dzika awantura, szlaban na telewizję i takie tam. Wpadłoby ci do głowy coś takiego?

- Nie - przyznała Fiona tonem głębokiego namysłu. - Ale ty chyba nie masz trójkę, nawet z plusem.

- Miałam dwie, z fizyki. A z matmy dopę... - us'ciśliła Lila.

- Poprawiłaś - przypomniała Fiona.

- No właśnie. Ale sama chciałam. A taki Romek to nawet nie zdąży zachcieć, bo już musi. A Baški ojciec chowa do szafy tarczę od telefonu.

- Co chowa??? — Fiona straciła całą powagę i parsknęła śmiechem.

-Tarczę do telefonu, taką do wykręcania numerów. U nich w domu są cztery dziewczyny i jeden chłopak, też nie lepszy. Jak wszyscy weszli w wiek... telefoniczny, ojciec dostał parę rachunków i ataku szału, najbardziej jak brat Baški, też zresztą Romek, zakochał się w Agnieszce z naszej klasy. Godzinami wisieli na drucie. No i ojciec przyniósł z piwnicy aparat z tarczą, którą odpina i zamyka w kredensie na klucz. Odbierać można, tylko dzwonić nie. Trzeba się udać do niego po osobiste zezwolenie, wytłumaczyć na co, po co, i ewentualnie tarcza zostaje wydana. Na trzy do pięciu minut - ojciec stoi w drzwiach i postukuje w zegarek.

- Baśka nie ma komórki?

- Już ma. Dostała od babci na Gwiazdkę, bo babci nie podobają się metody ojca. Ale karty musi kupować sobie sama, za podłogi. Od kiedy Baśka ma telefon, ich posadzki lśnią najbardziej na świecie.

- Rany, nie nadążam - jęknęła Fiona. - A co ma, na litość boską, komórka do podłogi?

- U nich w domu jest ścisły cennik za obowiązki domowe. Zamiast kieszonkowego. Baśka wzięła na siebie podłogi i zasuwa co drugi dzień na froterce, chyba że młodsza siostra

jej podbierze. Wtedy pozostają jej tylko skarpetki i kołnierze, ale tego nie znosi.

- I co ona robi z tymi skarpetkami?

- Jak to co, pierze. Ręcznie.

- A w pralce nie może?

- Może. Ale Baśki mama wyznaje zasadę, że skarpety, kołnierze i doły rękawów należy najpierw zaprać pod kranikiem, wtedy dopiero się wypiorą na wysoki połysk. U nich w domu jest wszystko na wysoki połysk. Tato Baśki jest dyrektorem, ma dużo kołnierzy. To znaczy, często chodzi w koszulach i ciągle je brudzi. Na brak okazji do zarobku, nie mogą narzekać. Starsza siostra prasuje i nikomu nie pozwala dotykać żelazka, bo za prasowanie też płacą nie najgorzej, a przy tym można oglądać seriale. Baśka nie lubi prasowania, prania zresztą też, ponieważ czuje głęboki wstręt do czynności absurdalnych, przy których trzeba się namęczyć, a efekty widać raczej słabo. Podłogi to co innego. Woskowane parkiety po froterowaniu błyszczą jak w muzeum.

- Popieram Baškę - mruknęła cicho Fiona. - Ale wasz dzisiejszy wyczyn naprawdę mnie wkurzył. A wiesz, dlaczego?

- No, dlaczego? Bo dzieciaki nie powinny nawet pomyśleć, że istnieje coś takiego, jak alkohol? - odpowiedziała Lilka tonem lekko zaczepnym, nie miała ochoty wracać do zasadniczego tematu. - Przecież wiem. Ale jakoś myślą.

- Bo to głupie. Bo to nic nie daje - zirytowała się na dobre Fiona. - Bo ani wam to nie pomogło się bawić, ani nie smakowało. Bo istnieje tysiąc sposobów na to, żeby się znakomicie bawić bez podobnych środków dopingujących, i wciąż jeszcze jesteście w wieku, w którym tak właśnie

powinno być. Bo alkohol, tak naprawdę, to świństwo, które zaruwa i umysł, i wolę. Trzymaj się jak najdalej tak długo, jak możesz. Nie daj się zrobić w głupi, owczy pęd!

Lilka, może dlatego, że wytrąbiony naprędce gin wciąż jeszcze działał i dodawał jej odwagi, wypaliła:

- Sama spędzasz pół życia w knajpach!

- Spędzam - odrzekła spokojnie Fiona. - I dlatego mam prawo, jak nikt na świecie, mówić to, co mówię. Czy kiedykolwiek widziałaś mnie pijaną?

Lilka zastanowiła się przez chwilę. Owszem, Fiona często wracała późną nocą, gdy Lilka już spała, i nie mogła mieć pewności w stu procentach.

Ale zdarzyło jej się zbudzić wystarczająco wiele razy...

- Nie - przyznała w końcu. - Jakieś wino piłaś, choćby z Markiem, ale... Nie, nie widziałam.

- No widzisz - powiedziała Fiona. - Tak, jak zauważyłaś, spędzam trochę czasu w najróżniejszych lokalach. Tu i tam. To moja praca. Znam całe barmańsko-artystyczne środowisko znakomicie. I właśnie dlatego z biegiem lat przestałam pić cokolwiek, co ma więcej procentów niż kefir. Lampka wina - owszem, na specjalne okazje. Czasem małe piwo. A wiesz czemu? Bo osobiście doświadczyłam, czym jest alkohol, czym może się stać. Widzę dziesiątki fantastycznych ludzi, którzy mieliby szansę być kimś więcej, niż są... gdyby nie pili. Życie wielu moich przyjaciół sprowadza się do knajpy i do mrzonek przy kolejnym kielichu o tym, jak kiedyś zawojują świat. Tyle że przychodzi następny poranek, a oni, zamiast wojować, zwlekają się z łóżka z trudem, z bólem głowy, po to, żeby po południu dobrnąć do ulubionego miejsca przy barze, gdzie płyną w przestrzeń kolejne marzenia i opowieści... Są wśród nich ludzie

naprawdę utalentowani, i tylko dlatego czasem udaje im się coś stworzyć: obraz, muzykę... Ale to zaledwie blady cień tego, kim mogliby być.

- Zazdrościłam ci pracy — wyznała Lila. - Wszystkie moje koleżanki też. Znasz tylu ludzi, ciągle się bawisz, jeden koncert za drugim...

- Tak, bawię się po pachy. Nie dalej niż w zeszłą sobotę leciałam przez pół Szerokiej za jednym z wokalistów bardzo znanego zespołu - wyjaśniła Fiona. - Nawet myślałam, żeby ci o tym opowiedzieć, ale uznałam, że nie jest to opowieść dla grzecznych panienek... Teraz to zrobię. Chłopak, bardzo zdolny, cztery wydane płyty, śpiewa do tekstów własnych, uwielbiany... Ogromny koncert, bilety w niezłej cenie, przeszło dwie setki publiczności czekało na idola. A idol - z głupoty, w sumie nie wiadomo czemu, już przed koncertem przysiadł się do baru i zaczął pić. Na początku zwyczajnie, kielich na odwagę, nikt nie protestował... Zanim zdążyłam się zorientować, gość był już cieplutki - i bardzo agresywny. Rzucił się na barmana, naubliżał bez sensu jednemu z klientów, słowem - awantura. W końcu obraził się i zwyczajnie wyszedł. Odpowiadałam za ten występ, gdyby trzeba było oddawać bilety, popłynęlibyśmy jak złoto, zespół - i ja też. Dogoniłam go, padał deszcz ze śniegiem, on miał wszystko gdzieś i nie chciał nawet słyszeć o koncercie. Mało mnie nie pobił... Przekonałam go w końcu, żeby wrócił. Ledwo się udało. Przyszedł, zagrali - nie najlepiej, zapewniam. Ale przynajmniej publiczność nie rozniosła nas na widelcach.

- Dlaczego tak?

- Nie wiem. Coś tam bełkotał, że niby rzuciła go wcześniej dziewczyna. On ma nową dziewczynę dwa razy w tygodniu, więc raczej nie o to

chodziło. Lilka, ja wiem, w czym rzecz. Doskonale wiem i nikt mi akurat nie wmówi, że jest inaczej. Alkohol naprawdę uzależnia. Podstępnie. Nieubłagane. Osłabia wolę - i tę codzienną, konieczną do podejmowania wyzwań życia, i tę potrzebną do powstrzymania się od dalszego picia. Na początku pije się towarzysko - dlatego że fajnie, jest impreza - oczywiście mówię o ludziach trochę starszych niż wy. Pełnoletnich, kiedy już nikt niczego nie zakazuje i nikt się niczemu nie dziwi. Jedna impreza, druga, raz w tygodniu, potem co drugi dzień. Małe piwko, dwa, potem pięć. I - nie od razu, ale po pewnym czasie, dla niektórych są to całe lata, dla innych mniej - później się zaczyna. Piwko z przyjaciółmi. Piwko do obiadu. Piwko na dobre zakończenie dnia. A praca, zobowiązania? To nieważne! Grunt to dobra zabawa... Doświadczyłam tego również na własnej skórze.

Lilka w milczeniu wytrzeszczyła oczy na Fionę.

- Pamiętasz, jak ci opowiadałam o moim chłopaku, Kamilu? O tym, jak mnie nazwał małą, nudną mieszczańeczką? Zrobiłam, co się dało, żeby mu udowodnić, że tak nie jest. Zatrudniłam się w knajpie - odpowiadało mu to na początku, sam już wtedy przerzucił się na totalnie imprezowe życie. Więc szaleliśmy - czasem razem, czasem osobno, bo ja jednak niekiedy byłam po prostu w pracy. Ale on przychodził, chciał się bawić, namawiał. Bawić - to oznaczało: wypić. No i piłam. Z jednej pracy nawet mnie wywalili. Szef nie tolerował pijących barmanów. Ale to też mnie nie zastanowiło - nawiązałam już wtedy kontakt z dwoma zespołami, zaczęłam dla nich pracować, zostałam ich menedżerem. To był szalony rok - Kamil odszedł i tak, ale miałam przyjaciół, towarzystwo, imprezy. Aż zawałam jeden z poważniejszych kontraktów, ponieważ po dużej

impresie nie byłam w stanie zwlec się z łóżka na zasadniczą rozmowę. I zespół — moi przyjaciele, kumple od kielicha - nagle zaczął mieć do mnie pretensje, ponieważ, cóż: oni mogli się bawić, zatrudniali przecież menedżera, czyli mnie. A ja nie spełniałam swoich obowiązków i ich oczekiwań. Z dnia na dzień wypowiedzieli mi umowę, mimo że poprzedniego dnia imprezowaliśmy razem i byłam, jak głosiły pijackie zapewnienia, najwspanialsza na świecie. Na szczęście pozostały mi jeszcze inne rzeczy do zrobienia. Postanowiłam zrobić je na trzeźwo.

Lilka słuchała uważnie, z zapartym tchem. Fiona nalala herbatę, zapaliła świecę, zgasła górne światło.

- Następny rok wspominam jako pasmo niekończących się koszmarów. Jedno nagłe postanowienie nie wystarczyło. Potrzebne były dziesiątki, setki takich postanowień. Codzienna walka z sobą - nieraz przegrana, kiedy „jedno małe piwko” okazywało się nad ranem pięcioma, i to wypitymi w niezłym tempie, wśród wyrzutów sumienia. Budzenie się rano z obrzydzeniem do samej siebie. Tygodnie trzeźwości i tłumaczenia wszystkim, że chwilowo nie mogę, zażywam lekarstwa, mam chorą wątrobę... Nie rozumieli, że nie chcę. A moja własna wola była już wtedy znacznie osłabiona.

- Wytrwałaś w zawodzie - zauważyła Lilka nie bez podziwu.

- Wytrwałam. Kosztowało mnie to naprawdę dużo. Teraz już wszyscy wiedzą, że pracuję, pilnuję, tańczę, bawię się - ale nie piję. Nie stanowi dla mnie problemu odmowa, chociaż budzi zdziwienie. Ale mam wyrobioną markę - jestem dobra, chociaż spotkania służbowe odbywam przy soczku pomidorowym. To mój znak firmowy. - Fiona uśmiechnęła się nagle. - Bo

widzisz, po tamtych głupich latach pozostała we mnie pewna kruchość, która wynika właśnie z przewycięzonego uzależnienia — już nigdy nie będę w pełni

l o

kontrolować siebie przy spożyciu. Mogę, w bezpiecznych warunkach, wypić lampkę wina. Ale już nie dwie, trzy — bo skończy się na dwóch butelkach. I zmarnowanym dniu następnym oraz wielu innych. Po prostu się boję.

- Nie wiedziałam. - Lilka w zamyśleniu splatała kolejny warkoczek na obrusie. - Mówiłaś kiedyś o swoich „ciemnych latach” i zawsze zastanawiałam się, czym one były.

- Właśnie tym. Budzeniem się rano z bólem głowy i wstrętem do siebie.

Niemożnością dotrzymania najprostszego postanowienia. Totalnym rozprężeniem woli i umysłu. Obserwowaniem - z zawiścią, tęsknotą - normalnego życia zwykłych, dobrych, zabieganych ludzi znad stolika w knajpie jak zza grubej szyby - jak innego świata, do którego trudno się przedostać z powrotem. Ciemnością absolutną. - Fiona mówiła tak poważnie, że Lilę aż przebiegł dreszcz. - Lilka, ja wiem, że to może reakcja na wyrost, że po prostu jesteście w wieku eksperymentowania, stawiania granic, może to był taki pojedynczy wyskok. Ale proszę cię: postaw sobie granicę. Nie pij. Choćby wszyscy wokół ululali się jak stonki. Wierz mi, da się. Tańcz, szalej, skacz ze spadochronem, łaż po górach, odkrywaj cudowne zakamarki miasta. Chodź na koncerty, do teatru, do kina. Ciesz się młodością. Machaj rzęsami. Ale nie pij.

Wytrzymaj przynajmniej do tego momentu, w którym będziesz miała ukształtowaną wolę i charakter - może wtedy ci nie zaszkodzi. Wcześniej



nie. Proszę. Na wszystko, co przeżyłam.

- Jesteś cudownie antypedagogiczna - przyznała szczerze Lilunia, a Fiona z rozbawieniem pomyślała, że jeśli przyjaźń Lilki z Gosią potrwa jeszcze chwilę, będzie musiała niedługo zacząć czytać do poduszki Słownik wyrazów obcych. - Ciekawe, czy ktoś z moich rówieśników otrzymał podobny wy-

kład w domu, i stawiam na to, że nie. Większość dorosłych zapewne uważa, że zdradzenie faktu, że sami byli młodzi i postrzeleni, naraża na szwank ich tak zwany autorytet. Ale... to działa. Następnym razem odmówię, choćbym miała wyjść na świnię oraz zdrajcę.

- Następnego razu, mam nadzieję, tak szybko nie będzie - wygłosiła Fiona. Lilka powoli pokiwała głową i zdmuchnęła świecę. Czuła, że po wrażeniach wieczoru musi się położyć.

- Lilka? - Fiona dalej siedziała nieruchomo, w ciemnościach. Tylko jej niesamowite, fiołkowe oczy błyszczały w mroku.

-Co?

- Straciłam u ciebie tak zwany autorytet?

- Skąd - wzruszyła ramionami Lilka. - Wręcz przeciwnie. Wygrałaś sama z sobą, a to wielka rzecz.

- Dziękuję - powiedziała Fiona. - Nie będziesz głupo-lem?

- Nie będę - obiecała Lila.

Kwestia zaufania

Na totalną świnię omal nie wyszedł Wyrafinowany Roman. Ale wybronił się, i to tak, że wszyscy na dłuższą chwilę stracili głos.

Wychowawca, profesor Brodacz, od razu zastrzegł, że nie chodzi o polowanie na czarownice, ale on musi wiedzieć, co i jak. Pani dyrektor

domaga się obniżenia stopni ze sprawowania winowajcom.

- Czyj był ten wspaniały pomysł? - zapytał surowo.

I o

• W° \* 178 • v .

Hasa odbyła już dyskusje wstępne, cała trzydziestka mniej lub bardziej wzruszyła ramionami. Brodacz przyjrzał im się uważnie, w milczeniu.

-Wobec tego zacznijmy inaczej - powiedział powoli. - Kto z was pił?

- Wszyscy - odparł głośno niejaki Maciuś, wstając grzecznie. - Wszyscy jak jeden mąż, panie profesorze.

- Maciek! - zmitygował go profesor Brodacz. - Ciebie nawet nie było na zabawie, czemu się odzywasz?

- Właśnie dlatego - wyjaśnił Maciek ze spokojem, a cała klasa poparła go pomrukiem aprobaty. - Bo jakby odezwał się ktoś, kto pił dużo, toby wyszło, że wciąga innych, by ochronić siebie, a jeśli ktoś, kto mało lub prawie wcale, to wyszedłby na szuję oraz skarżypyte. Dlatego mianowano mnie na rzecznika.

- Aha. - Brodacz w zamyśleniu poskrobał się w podbródek. - Aha.

Słuchajcie, piękna skądinąd postawa, ale nie w tym wypadku. To przestępstwo grubszego kalibru i winni muszą ponieść konsekwencje.

- Wszyscy pili i wszyscy poniosą - upierała się klasa w miarę zgodnym chórem. Kilka dziewcząt wyglądało na dość przestraszonych. Z Brodacza jakby nagle uszła cała złość.

- I wszyscy razem bardzo przepraszamy - przemówił Mączyński. — To się naprawdę więcej nie powtórzy.

- Nie powtórzy! Na pewno - zapewniła klasa. - My naprawdę bardzo żałujemy! I już mieliśmy część kary! - wołali na wyścigi. - Przerwano nam

zabawę...

- ...przez kilku patafianów! - dokończył z rozpędu Tomasz, zwany Ciecieniem, potwierdzając słuszność przezwiska. Adamiec wychylił się z ławki i zdzielił go w łeb.

Profesor Brodacz wyjątkowo udał, że nie widzi.

- Dobrze, więc jak chcecie - poddał się w końcu. - Oczywiście zdajecie sobie sprawę, że dyrekcja będzie się domagała obniżenia stopni ze sprawowania. Jeśli mi przysięgniecie, zaraz, na kolanach, że zdarzyło się to zupełnie wyjątkowo i ostatni raz, postaram się, żeby ta obniżka nie była większa niż o jeden stopień. Mączyński, to metafora! Wstań natychmiast! Adamiec, wstawaj, baranie!

Ale cała klasa padła już na kolana.

- Zdarzyło się to wyjątkowo i ostatni raz — zaintonował uroczyście kolega Adamiec, a reszta, jak w świątyni, powtórzyła za nim:

- Przysięgamy!

Brodacz z wyraźnym trudem utrzymał powagę. Niekiedy każda okazja jest dobra do zgrywy. Ale oni wcale nie żartowali.

- No, wstawajcie, wstawajcie, barany. I baranice - dodał, spoglądając na dziewczęta z pierwszych ławek z sympatią trudną do ukrycia. - Co ja z wami mam! Do przedwczoraj wszyscy zazdrościli mi takiej świetnej i bezproblemowej klasy!

- To jest świetna klasa - powiedział z pełnym przekonaniem Adamiec, wstając z klęczek. - Tylko nas tak... zaćmiło. Przepraszamy.

- Przepraszamy! - powtórzyła klasa, szurając krzesłami. I na tym by się zapewne zakończyła cała sprawa, gdyby nie fakt, że pani dyrektor uparła się jednak obniżyć sprawowanie. I to

wszystkim.

Nie przypadło to do gustu mamie Wyrafinowanego.

- Nie zgadzam się na zastosowanie odpowiedzialności zbiorowej! -

Wrzasnęła na Brodacza, któremu przypadała

akurat godzina konsultacji, ale postanowił ją poświęcić na pogadankę o negatywnych skutkach picia alkoholu już bez emocji. Dzięki temu

świadkiem jej napaści stała się cała klasa, zgromadzona w sali lekcyjnej. -

W naszej rodzinie nigdy nic podobnego nie miało miejsca, moi synowie nie piją, i ja to mogę zaraz udowodnić!

Romek, ujrawszy matkę, poczerwieniał i niemal schował się pod ławkę.

Koledzy obrzucili go gradem spojrzeń, w niektórych czaiła się czysta furia, w innych raczej współczucie.

- Pan zaniedbał obowiązki wychowawcy - oświadczyła mama Romana, nie dbając o to, że zaczęła się lekcja i jej głos niesie się szeroko po szkolnym korytarzu. - Obowiązkiem nauczyciela jest znaleźć winnych i doprowadzić do ich ukarania, a nie rzucać oszczerstwa na niewinnych! Ja się nie będę wstydzić za cudze dzieci. Swoje trzymam krótko, o, proszę!

Potrząsała przed nosem Brodacza reklamówką, z której wystawało spore pudło w kolorze pomarańczowym.

- Proszę się uspokoić. - Brodacz położył rękę na jej ramieniu. - Zapraszam do klasy, poprosimy młodzież o chwilę cierpliwości i porozmawiamy sobie spokojnie gdzieś na osobności.

- Ich nie warto prosić, od nich należy wymagać! - fuknęła mama Romka.

- My z mężem wymagamy, o! Ja mogę wszystkich sprawdzić, jeśli pan pozwoli. Od razu się przekonamy, czy ktoś nie ma problemu, czy nie był prowodyrem...

Brodacz rozejrzał się po klasie dosyć bezradnie. Uczniowie bez ruchu wpatrywali się w siatkę, dyndającą w wyciągniętej ręce mamy Wyrafinowanego Romana. Jak stado zahipnotyzowanych grzechotników. 18, JI^..

^ \*

- Co to jest? - Nie wytrzymał w końcu - a jakże! -Adamiec.

- Alkomat - odrzekła mama Romana, szarpiąc się z siatką. - Ja mogę wykazać na miesiąc do tyłu! Ani razu Roman nie przyszedł pijany, tutaj wszystko rejestruje się automatycznie! Jego brat też nie, chociaż jest w liceum.

- Często ich pani... rejestruje? - zapytał Brodacz, patrząc na urządzenie z nieodgadnioną miną.

- A często. A już na pewno jak wychodzą. To znaczy, jak wracają. Wiedzą, że są sprawdzani - i proszę! Nie piją! W piątek Romek też nie pił, czys'ciutki jak łza, zaraz udowodnię!

Romek siedział ze spuszczoną głową, czerwony jak burak.

- Nie trzeba - zaczął powoli Brodacz, wciąż wpatrując się w mamę Romana i kręcąc głową, jakby ciągle nie mógł uwierzyć, co widzi. - Oczywiście, jeśli pani tak twierdzi, będziemy musieli... Będziemy musieli...

Cała klasa zamarła w bezruchu.

- Nic nie będziemy musieli, panie profesorze. - Romek, bliski płaczu, wstał gwałtownie, szurając ławką. - Mamo, nie mówiłem ci wcześniej, ale teraz powiem. Powiem, dlaczego nie piłem.

Mączyńskiemu wyraźnie zapało dech. Adamcowi również.

- Nie piłem, ponieważ te żłoby wyżłopały już całą czystą. Rumu nie

znoszę - przyznał mężnie Wyrafinowany Roman. - A zanim zdążyliśmy odbić następną butelkę, wparował woźny. Niech pan z tym zrobi, co chce, panie profesorze. I ty, mamó. Ale taka jest prawda.

- Romeczku! - pisnęła histerycznie jego mama. - Ro-meczku, co ty opowiadasz! Niech tylko ojciec się o tym dowie! Ja tu się staram cię wybronić, a ty mi tak....

- Nie potrzebuję obrony, mamó - oznajmił Romek. -Nie potrzebuję też stałej kontroli, bo... złożyłem przysięgę i zamierzam dotrzymać słowa. Wszyscy dotrzymamy.

Mama Romka porwała ze stołu swój magiczny przyrząd, porzucając siatkę, i wybiegła z klasy.

- Będiesz miał w domu nieprzyjemności - zauważył spokojnie Brodacz.  
— Dasz sobie radę?

- Dam - zapewnił Roman nieco drżącym głosem. - Ojciec jest policjantem i rzeczywiście stosuje metody rodem z poligonu. — Tu spojrzał wyzywająco na kolegów. - Ale on zrozumie. Mama się trochę wyrwała przed szereg, on nie wiedział. A ona się boi.

- Wszyscy się o was boimy - przyznał pojednawczo Brodacz, uciszając gestem ręki szmerek, rozchodzący się po klasie. - Wszystkim nam naprawdę na was zależy, każdy stosuje takie metody, jakie w swoim sumieniu uzna za najlepsze.

- A jakie pan profesor uznał za najlepsze? - wyrwał się cicho Bartek, milczący od tamtego feralnego dnia i dziwnie przygaszony.

- Ja próbuję się odwołać do waszej, nieopierzonej jeszcze, dojrzałości. I liczę na to, że obecna sytuacja wystarczy wam za nauczkę. Nie zawiedźcie mojego zaufania.

Rozmawiał z nimi. Naprawdę, długo i poważnie. Niektórzy kiwali głowami, kilku patafianów ziewało demonstracyjnie, ale zostali uciszeni kopnięciami w kostkę.

Lilka poczuła coś na kształt podziwu - Brodacz nie krzyczał, nie podniósł nawet głosu, nie wymądrzał się ponad miarę. A jednak po godzinie czuli się jak przepuszczeni przez ostrą wyżymaczkę.

183 \*;^t.

Próbowała zagadnąć Bartka przy wyjściu, ale tylko przewrócił oczami.

- Wyobraź sobie, jak jestem teraz pilnowany. Szlaban na lepszą połowę życia. Muszę lecieć, mamusia czeka - rzucił.

Do rady pedagogicznej funkcjonowali jak aniołki w nadziei, że pan dyrektor zapomni może o obniżonych ocenach. Niestety, dyrekcja dotrzymała słowa.

Poza tym jednym szczegółem Lilka mogła być z siebie dumna. Czwarte miejsce w klasie, i to w takiej szkole!

- No, pięknie, pięknie - powiedział z zadowoleniem tato, przeglądając przyniesioną ze szkoły karteczkę. - Czwórka z fizyki, cztery plus z matematyki, reszta same piątki, celujący z biologii! Lilka, a czemu nie z geografii?

- Szóstki się dostaje za efekty specjalne - wyjaśniła Lilka. - Z biologii pisaliśmy prace konkursowe, a pani od geografii nie chce się angażować w podobne imprezy.

- W gazecie wydrukowali! - pochwaliła Fiona, dumna z wychowawcy. - Gdzieś tu mam numer...

To taki biuletyn o ochronie środowiska, ale zawsze to debiut...

- Super - zachwyciła się Miśka, jak zwykle bujając się na krześle bez

umiaru. - Jesteś dziennikarką!

- Jeszcze nie - zaśmiała się Lila.

- Ale prawie!

- Bardzo prawie. - Lila, szczęśliwa, ale i troszkę spięta, obserwowała tatę, dalej uważnie studiującego jej wyniki.

- Zachowanie bardzo dobre - przeczytał na głos. - Za moich czasów było jeszcze wzorowe.

- Za moich też bywa - nie wytrzymała prawdomówna Lila i raptownie umilkła, ponieważ jej własna matka kopnęła ją pod stołem w kostkę.

- Bardzo dobrze, bardzo dobrze. - Tato, rozanielony, nie zwrócił uwagi na ten drobny incydent.

Lilka przebiegła wzrokiem od mamy do Fiony. Obie nieznacznie wzruszyły ramionami. No tak. Pewnie już zdążyły pogadać od serca.

Mogła przewidzieć, że Fiona jednak się wygada! Ale... nieoczekiwanie poczuła, że kamień spadł jej z serca. Tak jest dużo lepiej.

Z reakcji mamy wywnioskowała również, że uznaje sprawę za zakończoną i niewartą dalszego drażenia w rodzinnym gronie. A tato zapewne by drażył, i to do upadłego.

Pewnie dostanie za swoje od mamy na osobności. Ale

- uświadomiła sobie nagle, że Fiona postąpiła najlepiej, jak mogła, zdążyła poznać je obie naprawdę doskonale! Ponieważ ona sama, Lila, nie znosi brzydkich sekretów i niedokończonych spraw. Ciężyłaby jej taka tajemnica. A mama

- cóż, mamie naprawdę można było powiedzieć wszystko. Lilce zdarzało się czasem o tym zapominać.

Dobrze się stało.



Humor poprawił jej się jeszcze bardziej i nastrój przy stole zrobił się po prostu szampański.

- A gdzie nasz ulubiony lekarz rodzinny? - zapytała niefrasobliwie mama. Fiona lekko zmarszczyła brwi.

- Pracuje - wyjaśniła krótko. Mama przyjrzała się jej z ukosa.

- Aha - powiedziała i zmieniła temat.

Lilka przyłapała je później w kuchni, omawiające kwestię doktora w wąskim kobiecym gronie. Zatrzymała się niepewnie w progu, z jednej strony nie wiedziała, czy wypada jej brać w tym udział - teraz to raczej mama była przyjaciółką Fiony, a ona sama jedną z trzech biegających po domu

dziewczynek. Z drugiej strony, paliła ją ciekawość. Zajęta swoimi problemami, nie zauważyła nawet, że Fiona z doktorem przeżywają chyba kolejny kryzys - znów się przestał pojawiać w ich domu. Życie tej dwójki przypominało gigantyczną huśtawkę — raz pod obłoki, a raz ostro w dół. Ponoć byli dorośli!

Fiona kiwnęła na nią ręką, by została.

- Właśnie, mnie też ciekawi, gdzie jest Marek - wzięła „byka za rogi”. - Szykowaliście się na jakąś bardzo ważną kolację, prawda? I nawet nie wiem, co z niej wynikło.

- Byłaś hm... zajęta własnymi uroczystościami - zaśmiała się Fiona. - Ale niewiele cię ominęło, ponieważ nic nie wynikło. Nie przyszedł.

-Bo?

- Bo musiał stanąć do kolejnego, bardzo ważnego zabiegu. Wiecie co? Mam już tego dość.

- Feluniu, to jego praca - odezwała się mama. Bardzo lubiła Marka.

- Nie mów do mnie „Feluniu” - prychnęła Fiona, ale o wiele łagodniej niż zazwyczaj. - Ja sobie, dziewczyny drogie, doskonale zdaję sprawę z tego, jaką on ma pracę. Ale praca czasami jednak powinna być na dalszym planie. Żeby nie stawić się na własne zaręczyny!

- Były zaręczyny? - wykrzyknęła mama Lilki, podczas gdy sama Lilka zawołała tylko „O!”. - Feluniu!

- NIE było zaręczyn! - zdenerwowała się Fiona. - Przecież mówię! Nie przyszedł! Nie mów do mnie „Feluniu”!

- O matko - westchnęła pani Halina. - No, to ładne kwiatki. Ale... ale przecież nie gniewasz się na niego?

- Gniewam się na niego - odparła Fiona. - Właśnie o to chodzi. Wiem, że on ma pracę, ważną, leczy dzieci i próbuje uratować świat. Ale mnie to mimo wszystko bardzo zabolęło, ponieważ wyraźnie, jak nic przedtem, uświadomiło mi, gdzie jest moje miejsce. W tylnym, szarym szeregu, za obecnymi, byłymi, przyszłymi pacjentami, Murzynkami w Afryce, psem sąsiadów oraz resztą potrzebujących.

- Z psem sąsiadów to już przesadziłaś — zaśmiała się mama. - Liluś, ja nie wiem, czy to rozmowa dla ciebie.

- Ja wiem — rzuciła buntowniczo Fiona. — Niech się dziewczyna uczy. I nie przesadziłam. Naprawdę kiedyś nie przyjechał na kolację, bo pies sąsiadów zawisł na parkanie. Reanimował go.

- Marek reanimował psa?

- Przecież nie na odwrót. Pies idiota postanowił przeskoczyć do ogródka mamusi, gdzie przechadzał się paw. Nie zważając na to, że ma obrozę, przy obroży łańcuch, a całość przytroczoną do pobliskiej budy. No i powiesił się na tym łańcuchu z drugiej strony płotu. Akurat Marek wstąpił



- Jak się mogę nie gniewać, skoro się gniewam? Czuję się zraniona.

- Ej, a kto mi tak pięknie kiedyś mówił o kontrolowaniu emocji? - przypomniała Lila. Mama spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Słowa, słowa, słowa - mruknęła Fiona. - To nie one się liczą, tylko czyny. A tych czynów jak na lekarstwo.

- Czyli wszystko zostaje w ramach medycyny - zachichotała Lila.

- Ej, małolata jesteś i nic nie rozumiesz - zgasiła ją Fiona. - Nikt mnie nie rozumie.

I tym optymistycznym akcentem zakończyły temat.

Dwa miasta, dwa światy

Gdzie mój dom?

Na ferie Lilka przyjechała do domu. Do domu! Do dużego pokoju! Do żółwia, kota i siostrzyczek!

Uwielbiała Kraków, swoją nową szkołę, kolorowy pokoik u Fiony, ale - nigdzie chyba nie było tak dobrze, jak tu.

Kluseczka była taka śmieszna! Dzielny mały przedszkolak, nauczyła się już nawet wymawiać „r” i przestała seplenić. Wcześniej niektóre rozmowy wyglądały tak:

- Mamo, mamó, a u babci kula mnie goniła!

- Jaka kula? - zainteresowała się Miśka, wielbicielka filmów science fiction. - Metalowa?

- Głupia jesteś - zbyła ją Kluseczka, co akurat wychodziło jej bardzo wyraźnie - Nie kula, tylko kula!!! Ta inna kula, co ma dziób.

- O rany - droczyła się Misia. - To musiało być straszne, taka kula z dziobem.

- Mamo, powiedz jej! Powiedz jej, że to ta długa kula, na podwólku!

- Misia, nie drocz się z Klusią - mówiła odruchowo mama. Było to bardzo często wypowiedane przez nią zdanie. - Dlaczego ty się tak z nią droczysz?

189 \* «^

чУ "

- Bo ja uwielbiam, jak ona się złości — wyznała szczerze Miśka, patrząc, jak jej młodsza siostrzyczka tupie nogami i potrząsa złocistą główką.

- Miśka!!!

- No co? Sami patrzcie, jak ona się słodko wkurza!

Podobnie było z klatką, ale nie klatką, tylko tą inną klatką w kwadraciki.

Ale teraz już się zmieniło.

- Jesteś krrrowa! - mówiła wyraziście Kluska, dedykując to ostatnie określenie - jakżeby inaczej - swojej średniej siostrzyczce.

- One tak zawsze? - zainteresowała się Lila, patrząc, jak młode tarzają się na podłodze, szarpiąc za grzywki.

- Często - westchnęła mama. - Od pewnego czasu. Chyba dorastają i poczuły w sobie konkurencję albo coś. Ja już czasem nie mogę.

- Ja się nimi zajmę - obiecała Lila. - Pobawię się z nimi i może nawet położę je spać.

Już zdążyła zapomnieć, jak to jest. W trakcie żmudnego procesu usypiania obu wtulonych w nią smarkul pomyślała, że jej mama to jednak bohaterska kobieta. Mieć takie trzy i znosić to wszystko bez zmrużenia oka!

Jej samej oczy już się zamykały, a młode jeszcze żądały rozrywek.

Przeczytała im bajkę, opowiedziała trochę własnych, szkolnych przygód (w wersji starannie ocenzurowanej), wysłuchiwała zachwyków Miśki nad jej kolegą Tomkiem, co ma śliczne buty i najlepsze gadżety w klasie -

przelotnie pomyślała, przy okazji, jak niewiele takie rzeczy liczyły się w jej szkole, w przeciwień-

i o

.^•190

stwie do mieleckiej podstawówki - ciekawe dlaczego? Pobiegnęła po picie, nie takie, bo one nie lubią tego soku, zmieniła na kakao, mama zawróciła ją w przedpokoju - kakao po umyciu zębów nie jest najlepszym pomysłem, zrobiła herbatę, wysłuchiwała marudzenia, bo młode już się nastawiły na kakao, a herbata jest gorąca... Wymyśliła na poczekaniu kolejną zwięzłą bajkę. Już--już miały zasypiać, kiedy Kluseczka usiadła na łóżku.

- Jeszcze siku!

- Nie teraz - poinformowała ją tonem Starszej Wrednej Siostry. - Kładź się spać, kobieto!

- Muszę teraz!

- Nie musisz!!!

- A założymy się? - zapytała Kluseczka groźnie i powoli, co doprowadziło Miskę do konwulsji, a Lilkę do wypuszczenia smarkuli do łazienki. Mała była ostatnio zadziorna, kto wie, co takiej strzeli nagle do głowy?

Długo się jeszcze wierciły, biegały do kibelka, uspokajały nawzajem.

W końcu nadszedł ten ukochany, wyczekany moment, kiedy Lilka - śpiąca już szalenie, ale nic to - usiadła w kuchni, przy mamie. Patrzyła, jak mama porządkuje kuchnię, jak zwykle przed udaniem się na spoczynek. Pomogła powycie-rać szklanki - mama nie uznawała mycia szkła w zmywarce, jej zdaniem niszczyło się i mętniało.

Gadały sobie leniwie, bez pośpiechu.

Lilka obserwowała mamę spod oka. Niewiele starsza od Fiony, prawie

równieśnica, a tak bardzo inna! W sposobie bycia, ubierania, nawet rozmowy. Poważniejsza. Bardziej pewna siebie, a równocześnie odnosząca się do wszystkiego z większym dystansem. Chyba. To ostatnie nie było pewne - mama wyda-

o t

191 • П^>#.

wała się też bardziej tajemnicza. Lilkę chyba po raz pierwszy nawiedziła ta myśl: Fiona zawsze paplała wszystko, co na sercu, to na języku - a o mamie nie wiedziała przecież prawie nic!

- Ile miałaś lat, kiedy zakochałaś się po raz pierwszy? - zapytała nagle.

- Jesteś zakochana? - przeraziła się mama. - Dziecko, to chyba o wiele za wcześnie!

- Nie - roześmiała się Lila. - Po prostu chciałam wiedzieć.

-Ale czemu? - drążyła mama. Ona chyba już po prostu taka była — troskliwa, zainteresowana sprawami wszystkich dookoła, sama pozostawała, pewnie nawet nie wiedząc o tym, zagadką.

- Tak po prostu. Mało o tobie wiem. Nie mam nawet pojęcia, jaką byłaś uczennicą.

- Oczywiście bardzo dobrą - odpowiedziała z rezerwą mama i nagle się roześmiała. — Od zawsze miałam tylko problemy z biologią, trochę z chemią. Nauki przyrodnicze nie bardzo wchodziły mi do głowy, a szkoda: gdyby nie to, pewnie zostałabym lekarzem. Swoje zdolności odziedziczyłaś zapewne po kimś innym, może po dziadku? Też chciał zostać lekarzem, niestety, jego młodość wypadła w trudnych czasach. Musiał porzucić myśl o studiach, ruszyć do pracy.

- Jaką miałaś klasę? W gimnazjum?

- Za moich czasów nie było gimnazjum, osiem lat podstawówki, a potem liceum. W podstawówce klasa jak klasa, zbieranina trochę przypadkowa, a w liceum... w liceum miałam naprawdę świetną klasę. Spotykamy się zresztą do dziś. Pewnie pójdziesz do tej samej szkoły, jak już wrócisz z Krakowa.

- Pewnie tak - machinalnie potwierdziła Lilka i nagle zdjął ją nagły lęk. Wrócić z Krakowa?

-A... mam, a jakie my w zasadzie mamy plany? Czy wracam już na przyszły rok?

- No... chyba tak. Zastanawiałam się nawet, czy nie będziesz chciała przenieść się wcześniej, ale chyba rozsądniej-będzie dokończyć i pierwszą klasę, i rehabilitację w Krakowie. A co, dobrze ci u Fiony?

- Bardzo dobrze - przyznała Lila. Mama popatrzyła na nią z nagłym niepokojem.

- Ale chyba nie planujesz zostać dłużej, co? Ja już chciałabym mieć cię z powrotem w domu. Dziewczynki też. A... ta młodzież w Krakowie, Fiona opowiadała mi trochę... sama nie wiem.

- To był wygłup, mam, mówiłam ci już - odbyły krótką rozmowę wcześniej, ale dopiero teraz zrozumiała, że mama, chociaż nie wyglądała na bardzo rozgniewaną, jednak trochę się przestraszyła. - Moja klasa jest naprawdę w porządku.

-Twoja klasa... A może tobie lepiej tam niż tu?

- Nie wiem, mam - odpowiedziała szczerze. - Dom to dom. Po prostu jeszcze nie myślałam, że tak szybko upływa czas. I wszystko znów się zmieni.

Posmutniała, spieszyła się.



Dom to dom, tęskniła do nich bardzo - ale prawdziwe życie jakoś niepostrzeżenie przeniosło jej się do Krakowa. Uświadomiła sobie to teraz, wyraźnie.

I nagle dotarło do niej, że nie wie, co dalej.

Mama nie drążyła tej kwestii, wysłała ją spać.

Położyła się, z ciężkim sercem, między siostrzyczkami.

Jej życie pękło na dwie połowy - po raz pierwszy przyjechała do rodzinnego domu na wakacje. I jakaś część jej samej chciała, żeby tak zostało.

o t

193 \* °\ж? •

• V \*

Jak dalece jest to prawda, odczuła jeszcze bardziej podczas długich spacerów z Kaśką i Damianem - prawie nie było sensu spotykać się z każdym z osobna: czuli, myśleli, mówili to samo i natychmiast dzielili się każdą zasłyszana plotką.

- Tak, tak, nawet pies upodabnia się z czasem do swego właściciela - zaśmiał się Damian po tym, jak Lilka zmierzyła wzrokiem ich identyczne, czerwone polary i granatowe czapeczki i uniosła brwi. - Te kurtki, swoją drogą, to czysty przypadek. Kupiliśmy sobie w tym samym sportowym, na Borku, i to tego samego dnia. Bez umawiania.

- Pół klasy sobie takie zakupiło - dodała Kasia. - Brat Magdy wypatrzył i rozesłał wici. Odrzut z eksportu, trochę za długie rękawy, ale za to jaki gatunek! Polar trzysetka. Większość się skusiła ze względu na cenę. I teraz wyglądamy jak banda bliźniaków.

- Ale czapki to już nam Kaśki mama zrobiła. Na drutach.

- Szydełkiem - poprawiła Kasia. - I nie mama, bo mama tylko dorabiała uszy, ale ja. Dla ciebie mamy taką samą. - Podała Lilce starannie zapakowany pakunek.

- Czapka na słonia? - zaśmiała się Lila, oceniając rozmiary paczuszki. - Czy na stado słoni?

- Zobacz.

- O, cały komplet! - ucieszyła się. - Jakie fajne rękawiczki, z kwiatkami!

- Na mnie oszczędzały i dostałem bez roślin - zademonstrował Damian.

- A to co? Kaśka! Ale czad! - Uniosła czarny, gruby bez-rękawnik z golfem. - Też sama robiłaś?

- Pół na pół. Mama musiała mi zacząć, koło szyi, a dalej już poleciało.

Cała klasa wpadła w szał produkcji.

- Ja nie - zastrzegł Damian.

•, ^o' 194

\* X,

- No, nie cała, tylko żeńska część. Fajną mamy klasę, tylko bracia Wiśniewscy rozrabiają. Wszczęli fałszywy alarm bombowy w pawilonie. Teraz ich stary płaci za akcję policji. Dobrze, że im nie przyszły do głowy zakłady lotnicze.

- Przyszły, ale doszli do wniosku, że za to w razie wpadki mogą iść do ciupy. Testowali na pawilonie, no i proszę

- wpadli. Pawilon im darowali. Ojciec za to nie darował, już pewnie woleliby siedzieć w poprawczaku.

- A tak to nie mogli siedzieć nigdzie i na niczym. Przez tydzień, albowiem... siedziska mieli obolałe.

- Dobrze im tak - rzuciła Lilka. - Młodszy Wiśniewski to kretyn od

wczesnej młodości, już w przedszkolu dusił mnie za pomocą węża pluszowego.

- Pamiętam! - ucieszył się Damian. - Wlałem mu za to zupę do kaloszy.

- Serio, to byłeś ty? Nie wiedziałam!

- Nikt nie wiedział, bo straszna draka z tego wyszła. To były jego jedyne ciepłe buty, a na dworze osiem stopni mrozu. A oni mieszkali aż na Smoczce. Pamiętam jak dziś!

- Ale byłeś rycerski - pochwaliła Kaśka.

- Bo ja wiem - nie miał pewności Damian. - Jak teraz o tym myślę, to jakoś nie bardzo.

- Na miarę przedszkolaka może być - pocieszyła go Lila.

- Nie wiedziałam, kto, ale przynajmniej miałam satysfakcję. Ty, a co oni właściwie mają do zakładów lotniczych? Albo do pawilonu?

- Nic, ale jeszcze nigdy nie widzieli ewakuacji na żywo. Tylko w telewizji. Chcieli sobie zobaczyć.

- Idioci.

- Idioci. Zwłaszcza że zadzwonili z komórki swojej babci. Jakoś nikt nie uwierzył, że babci strzelił pomysł dzwonienia na policję i rozmawiania ewidentnym, męskim szeptem. Naprawdę mogli skończyć w poprawczaku.

- Ten golf jest super - zachwyciła się Lila po raz drugi.

- Jak ze sklepu!

- A ja się tak starałam, żeby wyglądało na ręczną robotę!

- zażartowała Kaśka.

- No i wygląda. Żaden golf ze sklepu nie ma tak fantazyjnie splątanych węzełków - wtrącił Damian. - Na każdym szwie.

- No to co, przecież na lewej stronie, bałwanie ty! Nic nie widać! - Kaśka wierzgnęła nóżką do tyłu i na bok i kopnęła go w zadek. Co było swego rodzaju sztuką akrobacji.

No tak. Lilka ubawiła się setnie, uśmieła, ale gdzieś w głębi serca coś zapikało niemile — są tacy ze sobą zżyci i szczęśliwi. Lubili ją - to oczywiste, ale, tak naprawdę, wcale jej nie potrzebowali. Klasa, do której miała chodzić, funkcjonowała sobie spokojnie — bez niej też.

Klasa, do której chodziła - była również w porządku, czuła się w niej dobrze - ale nie była z nią aż tak zżyta, jak ci tutaj ze sobą. Znali się przecież od dzieciństwa!

Te wszystkie opowieści o przedszkolu, o pierwszych wspólnych wyprawach do parku...

W Krakowie została Gosia, z którą rozumiały się i uzupełniały nad podziw dobrze, Iga, Ola, kilku życzliwych chłopaków - chociażby Mączyński i ten wariat Adamiec. Ale Bartek zrobił się zupełnie nie do życia, nie do rozmowy

- zresztą, ostatnio nie było go wcale, zachorował.

Poza tym - była tam tymczasowo.

Poczuła się nagle - znikąd. Zawieszona między światami.

Nawet jej się spodobała, przelotnie, ta myśl w całej swojej dramatyczności.

Ale oznaczała, tak naprawdę, dosyć ponurą rzeczywistość.

Może warto wrócić? Najszybciej, jak się da?

A może nie warto? Tu też będzie, przynajmniej przez chwilę, Lilką z kosmosu, ni to zwierzątko w zoo, ni to dawny przyjaciel z dzieciństwa. Na pewno nie jedna z nich.

Kontakt nawiązany

Kot Mietek przez dwa tygodnie rozrósł się wyraźnie, i to wszcz.

- On chyba żre z nudów - oświadczyła Fiona, podążając za spojrzeniem Lilki. - Odkąd ciebie nie ma, domaga się żywności co piętnaście minut.

Budził mnie w nocy!

- Chciał się przytulić - wyjaśniła Lilka. - Wszystko dlatego, że mu nie pozwalasz wchodzić do pokoju. On potrzebuje czułości. To stworzenie emocjonalne.

- Mhm. Kocha mnie tak, że aż się posikał. I to na moją kołdrę! To ja może dziękuję za takie wybuchy uczuciowe. Wolę starannie zamknąć drzwi. Jak było na feriach?

- W porządku. Młode są śmieszne. Wyjeździłam się z nimi, Kaśką i Damianem na sankach jak szatan. Na łyżwy jeszcze za wcześnie, z moją nogą.

- No, ja myślę! Jeszcze byś sobie zrobiła papkę z kolana, Marek by ci dał.

- A co tam u ciebie? - spytała Lilka. - Gdzie byliście?

- Liście jak liście, sama byłam. W Bukowinie. Pojechałam z moją starą, licealną paczką na całe cztery dni. Ale poszaleliśmy sobie narciarsko.

- To byłaś sama czy z paczką, bo nie rozumiem?

- Z paczką, ale bez Marka, bo chyba jego miałaś na myśli. On nie rozumie i obraził się.

- Obraził się, że pojechałaś?

- Obraził się, że się obraziłam. Wcześniej. Ech, co ja ci będę dużo gadać.

- A z nim gadałaś? Tak ogólnie?

- I ogólnie, i szczególnie - ale mówię ci, że nic z tego. Obraził się i już.

Przepadło, moja droga. Ale nic to, jak mówi nasza wspólna babka i

prababka: najlepszym przyjacielem kobiety, oprócz portfela, jest ciasto z jabłkami. Upiekłam takie na twoją cześć. Na całą resztę świata spuścimy zasłonę milczenia i samozadowolenia. Dam sobie radę.

Niby tak, niby nie, ale Fiona znowu była smutna. Pochowała już świąteczne dekoracje, wracała do domu wcześniej - skończył się karnawał, do plenerów i koncertów pozostało jeszcze kilka miesięcy. Zresztą ostatnio zajmowała się raczej bieganiem po wytwórniach i organizowaniem nagrań i przesłuchań.

Spędzały sobie spokojne, domowe wieczory, pisząc coś każda w swoim zeszytiku, gadając leniwie, piekąc rozmaite ciasta i ciasteczka (nowe hobby Fiony), czasami nawet oglądając telewizję. Do Lilki wpadała Gosia, uczyły się razem do większych klasówek. Niekiedy nawet zostawała na noc.

Kot Mietek kochał Gosię, co objawiało się tym, że zasypiał błogo, wtulony w jej kolana, a raz nawet, rzecz jasna, nasikał jej na kurtkę.

Gośka poszła wtedy do szkoły w starym płaszczu Fiony i zrobiła furorę jako wcielenie wysmukłej elegancji. Fiona bez cienia żalu dała jej ten płaszcz - uszyty naprawdę ze świetnej wełenki, z gatunku takich, co zdążą się tysiąc razy znudzić, zanim się zniszczą. Fionie akurat się znudził.

W klasie zapanowało radosne poruszenie: ogłoszono wyjazd na zieloną, a raczej białą szkołę - do Zakopanego. Na dziewięć dni.

Lilka nie miała pewności, czy rodzice pozwolą jej pojechać - nie odzyskała jeszcze pełnej sprawności, chociaż na co dzień radziła sobie całkiem nieźle. O nartach czy podobnych rozrywkach nie mogło być mowy. Stale wisiało nad nią ryzyko przeziębienia - zatem, czy jest sens? - Pogadam z Markiem - zdecydowała bohatercko Fiona. - Twoja mama

powiedziała, że jeśli on wyrazi zgodę, możesz jechać.

-Jedź! - namawiała ją gorąco Gosia. — Ja też nie będę jeździć na nartach, zwyczajnie nie umiem. Pochodzimy sobie na spacer.

- Pewnie zechcesz się uczyć — wysunęła przypuszczenie Lila. - Ciekawe, czy Bartek pojedzie?

Bartek wrócił do szkoły po chorobie, blady, zgaszony i smutny jak nie wiadomo co. Już nie wygłupiał się na przerwach z chłopakami, przestał być wiernym cieniem Mączyń-skiego. Po raz pierwszy Lilka mogła z nim pogadać spokojnie - na przerwach pozostawał po prostu w swojej ławce albo podciągał się na parapet, odkładając ostrożnie na bok kule, i gryząc jabłko, patrzył smętnie w dal.

- Hej! - Lilka nareszcie odważyła się podejść do niego.

- Hej! - Posłał jej krzywy, spłoszony uśmiech. - Co tam?

o I

199 \*/^.\*

- To ja się w końcu pytam: co tam - zaczęła bez wstępów. - Kiedyś się umawialiśmy na pogadanie, które zresztą nie wyszło. Czy teraz możemy wreszcie porozmawiać bez umawiania się?

- Możemy - rzucił Bartek i zamilkł.

- Hej, przecież widzę, że coś się dzieje - zauważyła. -Jakieś kłopoty?

- Mhm. Takie tam... - I znów cisza.

- Nie możesz o nich mówić czy nie chcesz?

- Wolałbym nie. - Po raz pierwszy spojrział prosto na nią. -To nie chodzi o to, że z tobą nie... Bo może jeśli komukolwiek, to właśnie tobie mógłbym powiedzieć. Ale nie teraz.

- Jedziesz do Zakopca?

- Jeszcze nie wiem. A ty?

-Też nie wiem. Najpierw Marek, to znaczy... doktor Marek musi mnie obmacać. Bartek ożywił się trochę.

- Jesteś umówiona z nim na wizytę? Domową? -No, ma wpaść do Fiony. Oni się lubią. To znaczy...

ostatnio nie lubią, ale i tak wpadnie.

Bartek zagryzł wargi, było w nim napięcie. Zastanawiał się.

- Lilka, a czy mógłby... czy ja mógłbym... czy byłoby możliwe, żebym wpadł do ciebie, jak będzie doktor? Chciałbym mu zadać kilka pytań.

- No jasne. - Lilka wzruszyła ramionami. - Pewnie, że tak. Dam ci znać, jak on da znać: ma być jutro albo dopiero we czwartek. Wieczorem.

Przyjdźcie z mamą, przecież wiesz, gdzie mieszkamy.

- Ja bym wolał pogadać bez mamy - wyznał Bartek. - Zawsze i wszędzie chodzę z mamą i właśnie w tym rzecz. Raz bym się chciał odezwać do lekarza własnym głosem.

- Chyba rozumiem - powiedziała powoli Lila, mierząc kolegę uważnym spojrzeniem. - No, ale jak to zrobić? Przecież ona cię zawsze wszędzie wozi.

- Zastanówmy się. Zasadniczo szlaban mi się skończył, może pozwoli mi po szkole posiedzieć u ciebie, ot tak. Może mnie nawet zawieźć i przywieźć, byle nie rozsiadła się przypadkiem na górze... I nie widziała doktora, bo wierz mi, jak ona go dopadnie, to już nikt mu nie zdoła zadać żadnych pytań.

- Zamorduje go? - rozes'miała się Lila.

- W pewnym sensie. Utopi go w potoku swej wymowy. I zasypie lawiną pytań własnych. Każdy lekarz po naszej wizycie wygląda, jakby wirował



w pralce o wysokich obrotach.

- No, ja też wyglądałam - przypomniała sobie Lila próby wspólnego powrotu do domu w listopadzie, z których szybko zrezygnowała.

- Bardzo cię przepraszam - wybąkał Bartek. - Ona taka jest.

- Nie masz za co. Mama to mama. Szczerze mówiąc, bardziej mnie wkurzało twoje uparte milczenie.

- A, bo co ja mogłem powiedzieć? I po co? Nie masz pojęcia, jaka ona jest. Zawsze i na wszystko zwraca mi uwagę i później komentuje. Zaraz by robiła wtręty w stylu: „Bartłomieju, nie zaczyna się zdania od więc”. Jak tu w takich warunkach rozmawiać z kimkolwiek?

- Przesadzasz.

- Możliwe. - Bartek nagle się roześmiał. - A, sam nie wiem, dlaczego mnie tak zamurowywało. Przecież chciałem, żebyś wracała z nami. Wiesz, chyba zachowywałem się przez te ostatnie miesiące jak krety.

- Tym razem nie przesadzasz - rzuciła lekko Lilka i parsknęła śmiechem na widok miny Bartka. - No co, ja tego sama nie wymyśliłam!

- No dobra. Już nie będę. - Uśmiechnął się jednak znowu, ładnie mu było z tym uśmiechem.

Lilka zdążyła przeboleć, wmówić sobie, że zapomniała, jak bardzo ją obchodził, zajęła się innymi rzeczami, osobami w klasie. Ale teraz zrobiło jej się trochę cieplej.

W porządku, wymyślmy tylko jakiś dobry pretekst.

- Łacina - zdecydowała Lilka bez wahania. - Fakultet z łaciny. Tobie wciąż idzie jak po grudzie, ja jestem najlepsza. No, prawie, ale Baśka się nie liczy. Sobek jest. Przyjdź do mnie, poćwiczmy łacinę. W przyszłym tygodniu mamy przecież test.

- A wiesz, że to całkiem niezła myśl! - Bartek ożywił się już całkowicie, usiadł prosto, zelektryzowany. - Znakomita!

- Możemy naprawdę poćwiczyć, jeśli chcesz.

- Ale ja naprawdę jestem straszna noga. To znaczy, tym razem mówię o łacinie - znów się zaśmiał, zeskakując z parapetu i chwytając kule.

- Nie szkodzi. Mam dwie siostry i duży talent dydaktyczny.

Zasadnicza rozmowa

Nie było to wcale takie proste. Mama Bartka koniecznie chciała wiedzieć, co dokładnie młodzież będzie robić, jak długo, dlaczego tak długo i czy na pewno ktoś dorosły będzie z nimi w domu cały czas. Lilka wcale nie była tego taka pewna - Fiona czasem wychodziła o najróżniejszych porach, wracała czasem za pół godziny, a czasem za sześć. Lilka już przyzwyczała się do samotności.

Fiona jednak, niezmiernie rozbawiona, zapewniła Lilkę, że może być w domu i chronić ich przed bliżej nieokreślonym zagrożeniem. Jeśli to naprawdę konieczne.

Marek zapowiedział się jednak na czwartek, Fiona poprosiła, żeby przyszedł najwcześniej, jak się da, oraz zarezerwował sobie trochę więcej czasu. No i dobrze - w ten sposób cała akcja miała szansę powodzenia.

Bartek wyglądał jak ktoś, kto siłą zmusza się do zachowywania obojętnego, jeśli nie znudzonego wyrazu twarzy, a w środku aż kipi z ekscytacji. Lilka pokręciła głową - ten chłopak naprawdę zachowywał się przedziwnie.

Mama Bartka siłą powstrzymywała się od pójścia za nimi na górę. Kazała sobie pomachać, że dotarli!

Lilka, której intuicja ostatnio pracowała na wysokich obrotach, zaciągnęła

do okna i Fionę. Pomachali mamie Bartka wszyscy troje. Mama Bartka odmachala z wyraźną ulgą i odjechała w siną dal. Zapowiedziała się na dziewiętnastą trzydzieści.

Lilka usadziła Bartka na swoim tapczanie, sama przytoczyła sobie krzeselko na kółkach. Przyniosła talerz pełen ciastek. I łacinę. I dzbanek herbaty.

Bartek z uwagą rozglądał się po pokoju. Podobało mu się.

- To dlaczego odwiedziłeś mnie dopiero teraz? — zapytała Lilka po wysłuchaniu komplementów, jak ona ma tu fajnie, miło i przytulnie.

- Nie zapraszałaś - uśmiechnął się krzywo, po swojemu.

- Zapraszałam - przypomniała Lila. - Zaraz na początku, jak jeszcze wracałam z wami.

203 W-\*

- Ale później już nie.

- Później nie - zgodziła się Lilka. - Później to stałeś się taki... taki jakiś, że się po prostu nie dało. Dlaczego tak było, Bartek? Dlaczego? Myślałam, że się zaprzyjaźnimy.

Bartek milczał długo.

- Ja nawet nie umiem o tym mówić - przyznał w końcu i mocniej objął kubek z herbatą. - Chociaż w myślach gadałem z tobą milion razy.

Lilka spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Coś ty? Ty - ze mną? A wiesz... wiesz, że ja z tobą też? Od samego początku, od szpitala.

Teraz Bartek wytrzeszczył na nią oczy.

- No, to sobie pogadaliśmy - westchnął. Ożywił się trochę, otworzył usta, potem je zamknął, napił się herbaty, wyskubał nitkę z dołu bluzy, potarł

ręką czoło. Lilka cały czas patrzyła na niego w milczeniu.

- Kłopot w tym, że ja się chyba w tobie zakochałem - wypalił w końcu i wykonał taki ruch, jakby chciał uciekać albo zapaść się głęboko pod tapczan, na którym siedział.

Lilka zaniemówiła na dobre.

- No co? Ja wiem, że się wygłupiam - przyznał Bartek cichym, smutnym szeptem. - Ale... cóż, chciałaś wiedzieć, o co chodzi. I nie znalazłem innego sposobu poruszenia tematu, jak wprost. Strasznie przepraszam.

- Dlaczego myślisz, że się wygłupiasz? - zapytała po chwili Lilka, również szeptem.

Bartek nie odpowiedział od razu, wzruszył ramionami.

- Ze szpitala znikłaś bez jednego słowa, bez pożegnania - odezwał się powoli. - Zabolalo mnie to. Fajnie nam się gadało, przychodziłem do ciebie, kiedy mogłem, nawet matkę ze dwa razy odesłałem do domu, żeby mi już tak na

i °

\*»W° \*204

" 1, '

głowie nie siedziała... Ja... myślałem, że jakoś podtrzymamy kontakt. A ty mnie nawet nie uprzedziłaś, że cię wypisują. Po prostu - wchodzę do sali, a tam pusto. Cyk. Nie ma.

- Nie wiedziałam!!! - wrzasnęła Lila tak okropnie, że aż szklane paciorki na lustrze zadzwoniły. - Oni mnie nie uprzedzili, przenieśli mnie na rehabilitację zaraz po badaniach, bo tam się nagle miejsce zwolniło. Nawet nie zdążyłam zebrać swoich rzeczy, studentki to zrobiły. Niemożliwe, żebyś się nie mógł dowiedzieć, gdzie jestem, nie szukałeś mnie!!!

- Myślałem, że nie chcesz! - Bartek też odrobinę podniósł głos. - Gdybyś chciała, tobyś mnie przecież znalazła, coś powiedziała albo przesłała wiadomość przez kogoś. W środku nocy cię przecież nie przenieśli, nie?

- Prawie! Zaraz po rannych badaniach. Myślałam, że ty nie chcesz! Że jakby ci zależało, tobyś mnie przecież znalazł.

- Jakbym wiedział, że chcesz być znaleziona, tobym znalazł. Pomyślałem, że może nawet rozumiem. Jako szpitalna rozrywka mogłem być w porządku, ale po co ci w zdrowym świecie taki kulawiec jak ja?

- Nie denerwuj mnie!!!

- Strasznie nerwowo wam idzie ta łacina - stwierdziła Fiona, wtykając głowę przez drzwi. - Przepraszam, że przeszkadzam, ale chciałam wiedzieć, czy wszystko w porządku...

- Nie - warknęła Lilka. - Mój przyjaciel to kretyn. To nie jest w porządku.

- Aha - powiedziała Fiona i spojrzała uważnie na jedno i drugie. Bartek i Lila mierzyli się właśnie twardym wzrokiem, aż iskry latały. - Tylko się mi nie pobijcie na przyrządy ortopedyczne - poprosiła i zamknęła za sobą drzwi.

205 • ;^>#.

Musieli parsknąć śmiechem.

- Patrz, Lilka, jacy z nas myśliciele - odezwał się Bartek już zupełnie miękko. - Że aż strach. Czyli... mój pierwszy odruch w szkole był słuszny? Powinienem za tobą łązić, czekać, zagadywać?

- Od razu łązić - mruknęła Lila. - Powinieneś odnosić się do mnie normalnie, jak człowiek. A może nawet więcej

- jak przyjaciel.

- Taka byłaś samodzielna. Taka śliczna. Od razu zdobyłaś sobie własnych

przyjaciół. - Bartek splótł palce, aż chrupnęło. - Pomyślałem, że mnie nie potrzebujesz.

- Bartek, ja cię błagam - rzekła Lila po chwili. - Ja cię błagam gorąco, na wszystkie świętości: nie myśl. Nic już nie myśl, nigdy. Bo jak ty, nie daj Boże, zacznasz myśleć, to nam wyraźnie szkodzi na życiorys.

Uśmiechnęła się w końcu do niego. Bartek aż zmrużył oczy.

-Więc... tego... nie będziesz się ze mnie śmiała? - Dotknął jej ręki jednym palcem, nieśmiało. - Nie wygłupiłem się... dzisiaj... aż tak?

- Nie - odparła po prostu. - Wygłupiłeś się trochę wcześniej. Ale może ja też.

-A... a jak u ciebie? - odważył się w końcu zapytać.

- Z tobą... to znaczy... ze mną... i w ogóle.

Zaczerwienił się nagle, zamilkł. Lilka doskonale zrozumiała pytanie, przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Nie wiem. Nie myślałam o tym nigdy w ten sposób

- przyznała w końcu. Może to nie była szczerza prawda, ale prawie. - Na pewno chciałabym, bardzo, żebyśmy byli przyjaciółmi, takimi prawdziwymi i bez niedomówień. I... ja też

rozmawiałam z tobą w myślach przez ostatnie miesiące. I to godzinami.

- A teraz nareszcie możemy porozmawiać wprost. Godzinami - zachwyił się Bartek i obdarzył ją najpiękniejszym ze swoich krzywych uśmiechów...

I rozmawiali. Bartek opowiedział jej wszystko - po raz pierwszy chyba wyjawiał tyle o sobie komukolwiek i im dłużej mówił, tym większa ogarniała go ulga i radość. Bo Lilka słuchała uważnie i poważnie, ze współczuciem, ale bez przesady - w końcu zrozumiał, że nie traktuje go jak biednego kalekę (nienawidził tego), tylko jak równego sobie

przyjaciela, trochę bardziej niż inni doświadczonego przez los. Obchodziły ją jego sprawy. Sama również opowiedziała mu o tym, jak oddaliła się od swojego dobrego, ciepłego domu przez ostatni czas i jak jej z tym niełatwo. O zawieszeniu pomiędzy światami i o przyszłych decyzjach, które mogą być naprawdę trudne.

Bartek miał dobry, ciepły dom, ale nie od początku. I też mu było z tym wszystkim niełatwo. Prawie już nie pamiętał swojego taty, który odszedł, gdy Bartek miał niecałe trzy lata. Bartek urodził się poważnie chory, miał wady, jego mama bez przerwy się nim zajmowała, drżała o jego życie oraz przyszły los. Całe miesiące spędzali po różnych szpitalach. Brakowało kasy. Wtedy właśnie ojciec pojechał do Stanów, zostawiając żonę i synka pod opieką dziadków. Nie minęło pół roku, kiedy oświadczył, że nie wróci. Ułożył sobie życie z młodą, piękną, poświęcającą mu odpowiednią ilość czasu kobietą. Obecnie mają już dwóch synów.

- Dwóch sprawnych, zdrowych synów, rozumiesz - powiedział Bartek. -

Mama mi kiedyś zdradziła, że ojciec od początku mnie nie tolerował. Chciał mieć normalne, zdrowe dziecko, z którym mógłby pograć w piłkę, iść na ryby. Cała ta sytuacja go przerosła. W końcu zwiął. Mama od samego początku wiedziała, że ten wyjazd to jego ucieczka w nieznane. Długo nie mogła mu wybaczyć. Chociaż pieniędzy, nie powiem, przysyłał dużo. Przysyła do dziś.

- Czy jesteś pewien, że on myślał tak, jak mama mówi? Człowiek zraniony często widzi źle. Masz kontakt z tatą?

- Mam jego adres, zwykły i mailowy, ale jeszcze nie odważyłem się napisać. Może kiedyś to zrobię.

- Może warto znać opowieść drugiej strony, co?

- Coś w tym stylu. Wiesz, nienawidziłem go przez długie lata. Teraz sam muszę wytrzymać z mamą i trochę rozumem.
- Twoja mama bardzo cię kocha.
- Aż za bardzo. Dla niej jestem ciągle maleńkim, kalekim dzieciątkiem, nad którym trzeba się bez przerwy trząść. I wiesz? Kiedyś była wesoła i pełna energii. A ostatnio jest ciągle smutna albo zła. Pełna pretensji: do losu, do wszystkiego. Podejrzewam, że do mnie też. Gdybym był inny, wszystko ułożyłoby się zupełnie inaczej.
- Inaczej - to nie znaczy lepiej, przecież wiesz - zauważyła Lila. - Czasem ludzie się rozstają, chociaż dzieci mają zupełnie zdrowe, jak rodzice Igi. Po prostu nie mogą ze sobą wytrzymać.
- To nie w porządku, nie sądzisz? Ludzie powinni się najpierw dobrze zastanowić, z kim chcą być, a później po prostu dotrzymać słowa.
- To chyba nie jest takie proste. Zobaczymy, co będzie, jak na nas przyjdzie czas.
- Ja tam się dobrze zastanowiłem - rzucił lekko Bartek i zamachał dłonią, bo Lilka już otwierała usta. - Poczekaj. Wiem, że my mamy po czternaście lat i wszystko się może zdarzyć. Ale chodzi o to, żeby zmierzać w jakimś kierunku ze wszystkich swoich sił. Uczciwie. To tak, jak z wyborem zawodu: niby masz na to czas, kiedyś tam, ale im wcześniej będziesz wiedział, co chcesz robić, tym lepiej się możesz do tego przygotować.
- Zawsze cię chciałam spytać, dlaczego wybrałeś klasę z poszerzoną matematyką. Przecież chcesz zostać lekarzem?
- Właśnie dlatego. Chciałem się nauczyć matematyki jak najlepiej i jak najwięcej, bo później, w liceum, przyjdzie już czas na inne rzeczy. Biologię, chemię. A myślenie logiczne lekarzowi będzie potrzebne zawsze.



Ty masz pojęcie, ile ja się naoglądałem różnych konowałów? Takich lekarzy, jak z koziej... to znaczy, nie najlepszych. Wszyscy mieli problem z logicznym myśleniem. Doktor Marek jest inny. Dlatego chcę z nim pogadać. Jak mężczyzna z mężczyzną.

- O studiach?

- Nie, jeszcze nie. O mojej przyszłości, ale jako pacjenta. Chcę wiedzieć, jak to ze mną jest. Bo widzisz, przez całe dzieciństwo słyszałem: ćwicz, ćwicz, poddawaj się tym wszystkim wymyślnym torturom, a będziesz zdrowy, sprawny, będziesz jak inne dzieci. Będziesz lotnikiem, piłkarzem, atletą... Już niedługo, tylko musisz to dzielnie znosić... A teraz... Widzisz, dotarło to do mnie w pełni chyba dopiero w tym roku: nigdy nie będę jak inni. Minęły lata, a ja dalej mam krótszą nogę, metalowe płytki w kręgosłupie, dziurę w sercu - jakoś tam załataną, ale wciąż biorę leki. Wcale nie jestem jak inni. Więc oszukano mnie, w pewien sposób. A ja chcę

o I

209 'o^,'

znać prawdę: co mogę, co można naprawić i na co mnie stać? Chcę dążyć do celu, ale rzeczywistego, wiesz?

- Rozumiem - powiedziała Lila. - Jesteś świetnym facetem, wiesz?

- Jaaasne — potwierdził Bartek i roześmiał się.

Z przedpokoju dobiegły ich jakieś podniesione głosy.

- To chyba doktor. - Lila wstała i wychyliła głowę przez drzwi. - O, rany!

Marek podjeżdża do Fiony z koszem róż! A ona zaraz mu nasadzi ten kosz na głowę. Wariatka! Muszę ratować sytuację.

/sliczależnie od wieku

W przedpokoju Marek i Fiona mierzyli się wzrokiem ponad imponującym wiechciem czerwonych róż. Nie zwrócili na Lilkę najmniejszej uwagi.

- No, co? - nie wytrzymała w końcu, rozśmieszona. - Teraz wy powtarzacie jakąś nerwową łacinę?

Fiona spojrzała na Lilę, piękne fiołkowe oczy były jeszcze chmurne, ale zarazem podejrzenie błyszczące.

- Ten tu człowiek wziął mnie pod włos, z zaskoczenia. Właśnie próbuje mnie przekonać, że znajdzie dla mnie jakieś miejsce wśród swoich licznych pasji - wyjaśniła. - No nie wiem...

- Czego nie wiesz? - zdziwiła się Lila, a ogłupiały Marek wodził wzrokiem od jednej do drugiej, czując, że bieg wydarzeń wymyka mu się spod kontroli. - Zwariowałaś? Przecież zawsze chciałaś mieć faceta z pasją. Opowiadałaś mi! Poza tym pamiętaj: „Płomień się dzieli, użyczając światła”...

I o

•Sr.\*210

- ...,i nie doznaje uszczerbku" - dokończyła cichutko Fiona. W oczach miała łzy.

Marek nie znał ich ulubionej, rodzinnej metafory, ale był bystrym chłopczykiem. Zrozumiał.

- Raz w życiu posłuchaj dobrej rady - rzekł. - Młodość jest mądra, mądrzejsza niż my sami. Przecież to jest dokładnie tak! Moja praca od zawsze była pasją, największą sprawą mojego życia. Przez długie lata miałem tylko to... Sam nie wiedziałem, jak bardzo byłem w tym wszystkim samotny. I przyszedł taki moment, chwila pustki, kiedy nawet ta praca przestała mnie cieszyć. A potem - pojawiłaś się ty. - Mówił

szybko, gwałtownie, nie krępując się wcale obecnością Lilki. - Piękna, szalona i bardzo niezależna. Fascynowałaś mnie. I umiałaś słuchać. Sam nie wiem, jak to się stało, ale zacząłem dzielić się z tobą moim życiem i potrzebować cię coraz bardziej. I to się wcale nie wykluczało, wręcz przeciwnie, uzupełniało! Nie byłaś zaborcza jak inne kobiety, mogłem spokojnie żyć i pracować, ale... dopiero z tobą u boku to wszystko miało sens. Mój błąd, że nie umiałem ci tego okazać - jakie to ważne. Że jesteś. Chciałem, naprawdę chciałem. Ten fatalny wieczór... Felicjo, kochanie, ja przecież wiem, że miałaś prawo się poczuć urażona. Przeraziło mnie jednak twoje oburzenie, pomyślałem, że może się mylę, może jednak zawsze tak jest, na początku sielanka, a potem zazdrość o każdą chwilę spędzaną osobno, może jednak wszystkie kobiety tak mają... Ale myliłem się, prawda? Ja wtedy naprawdę chciałem przyjechać. Wyjaśnić, poprosić cię... Przecież wiesz. Ale profesor, przyzwyczajony do mojej dyspozycyjności, zażądał asysty przy kolejnym zabiegu, a ja nie umiem odmawiać... I nie odmówiłem. Popełniłem

211VV.-

błąd, bo tak naprawdę tym razem nic by się nie stało. Wybacz mi. Proszę. Fiona uśmiechnęła się lekko, wyciągnęła rękę i pogłaskała Marka po policzku. Aż się zachłysnął. Chwycił mocno jej obydwie dłonie.

- Chcę, żebyś wiedziała, bo to dla mnie ważne - dorzucił jeszcze. - Przez te dni, kiedy nie odzywaliśmy się do siebie, zrozumiałem, że bez ciebie - ciemność. Nic mnie nie cieszy. Wszystko zgasło. Kędy się w końcu odezwałaś, kiedy wczoraj powiedziałaś, żebym zarezerwował sobie więcej czasu, oszalałem z radości. Pomyślałem... pomyślałem, że wiesz. Że już rozumiałaś. Jesteś światełkiem - ty i tylko ty - które rozjaśnia w moim

życiu wszystkie inne rzeczy. Kupiłem największy wiecheć, jaki tylko znalazłem po drodze, no i jestem.

- Poprosiłam cię o więcej czasu, bo masz do zbadania jeszcze jednego pacjenta - wyjaśniła Fiona, tłumiąc śmiech, i nagle przyciągnęła Marka do siebie. - Ale dobrze się stało, bo naprawdę wiem — wymruczała prosto w jego podkoszulek. - Zrozumiałam.

Lilka uznała, że już może spokojnie wrócić do pokoju. Tym bardziej że ci dwoje woleliby jednak, zapewne, całować się bez świadków.

- A ja coś dla was mam! - zawołał wesoło Marek, zaglądając do pokoju Lilki po dobrej godzinie. - Cześć, młody człowieku, wiem, że chciałeś pogadać, i już za chwilę będę do twojej dyspozycji. Na razie obejrzyjcie sobie to. Dla ciebie, Bartek, też mam, chciałem ci przekazać przez Lilę.

- Co to jest? - Lilka przez chwilę obracała w dłoniach dwie koperty.

-Jakieś zaproszenie? Na wasz ślub, tak od razu?

- Nie - zaśmiał się Marek. - Na ślub pewnie niebawem, a to są zaproszenia od Filipa. Na siódme urodziny.

- Od Filipa! Tego Filipa? - podskoczyła Lilka. - Do Bzi-kolandu! Tam są zjeżdżalnie, trampoliny i różne sprzęty do wspinania. Czy to znaczy, że u niego wszystko w porządku?

- Jak najlepszym. Chodzi, biega, gada jak nakręcony. Z ostatniej kontroli wszyscy byli bardzo zadowoleni, nawet docent. Filip was świetnie pamięta, bardzo się ucieszył, jak się dowiedział, że jesteś w Krakowie - zwrócił się do Lilki. - A dzisiaj jego mama wam przyniosła to. I prosiła, żebyście przyszli na pewno, koniecznie.

- Jasne, że przyjdziemy! - Bartek z entuzjazmem wyrzucił ręce w górę. - Filip to najfajniejszy dzieciak pod słońcem.

- No. Gdyby nie on... - zaczęła Lila.

- ...tobyśmy się pewnie nie poznali. A to by była dopiero strata!

- Czyli mogę spokojnie puścić Lilę na obóz, tak? - upewniła się Fiona trzy godziny później. Bartek, poważny, ale i zadowolony z rozmowy z doktorem, odjechał już, odebrany przez swoją mamusię punktualnie o dziewiętnastej trzydzieści. Sekund dwie.

- Możesz. Swoją drogą, patrz, jak się dziwnie plotą ludzkie losy - dwójka moich pacjentów trafiła do tej samej klasy i, jak widzę, przyjaźnią się ze sobą. Bardzo się cieszę, zwłaszcza ze względu na Bartka. Pierwszy raz udało mi się pogadać z tym chłopakiem dłużej i wiesz, co? Świetny koleś, mądry i myślący. Poradzi sobie. A twoja Lila ma na niego dobry wpływ. Bartek mnie prosił o interwencję u jego mamy, żeby częściej pozwoliła im się spotykać tutaj albo i nawet wyjść gdzieś na miasto, przypuszczam, że nie masz nic przeciwko temu? Był taki szczęśliwy!

Fiona w milczeniu pokręciła głową. Podeszła do Marka i objęła go ramionami. Przez chwilę stali ciasno przytuleni, wyglądając przez okno.

- Naprawdę cię to obchodzi, co on czuje i myśli o sobie - stwierdziła nagle.

- Mówię o Bartku.

- Oczywiście, że tak.

- Kocham cię - wyznała, podnosząc na niego błyszczące, fiołkowe oczy.

- Też cię kocham, Felicjo.

- Musisz mówić do mnie „Felicjo”?

- Muszę. Przecież to najpiękniejsze imię na świecie. Przecież Felicja to znaczy szczęśliwa.

- Felicja znaczy szczęśliwa — powtórzyła w zamyśleniu Fiona. - Już

rozumiem, dlaczego to imię zaczęło do mnie pasować dopiero od dziś.

## Spis treści

Wakacje .....	3
Spokój jeziora .....	3
Opowieść o świecy .....	11
Wszystko się zmienia .....	19
Szpital .....	24
Mama .....	24
Fiona .....	30
Filip .....	41
Bartek .....	48
Zeszyt z kluczykiem .....	55
, Trudna decyzja .....	66
Witaj, rodzinko! .....	75
Gość we własnym domu .....	82
Krakowianka.....	94
Zasady cioci Fiony .....	94
W nowej szkole.....	101
Chomiki, marchewki i inne przypadłości .....	111
Grudzień w Krakowie .....	120
Jasne anioły i babskie problemy.....	125
Prezent dla Kaśki .....	141
Akcja „ser” .....	144
Ludzie listy piszą.....	153
Czy ktoś tu się bawi? .....	160
Opowieści niepedagogiczne .....	167

Kwestia zaufania .....	178
Dwa miasta, dwa światy .....	189
Gdzie mój dom? .....	189
Kontakt nawiązany.....	197
Zasadnicza rozmowa .....	202
Niezależnie od wieku .....	210

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o. 02-868 Warszawa, ul.

Sarabandy 24c tel.: 022 643 93 89, 022 331 91 49

faks: 022 643 70 28 e—mail: [naszaksiegarnia@nk.com.pl](mailto:naszaksiegarnia@nk.com.pl)

Dział Handlowy

tel.: 022 331 91 55, tel./faks: 022 643 64 42

Sprzedaż wysyłkowa

tel.: 022 641 56 32

e-mail: [sklep.wysylkowy@nk.com.pl](mailto:sklep.wysylkowy@nk.com.pl) [www.nk.com.pl](http://www.nk.com.pl)

Redaktor Joanna Egert-Romanowska

Redaktor techniczny Joanna Wieczorek

Korekta Jolanta Sztuczyńska, Anna Skowrońska

Skład i łamanie Piotr Podbielski, [white.pl](http://white.pl)

ISBN 978-83-10-11541-5

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2008 r.

Wydanie pierwsze

Druk: Abedik SA, Poznań